

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LISTOPAD 2018/6

magazynhisteria.pl

GOŚĆ  
SPECJALNY  
DAWID KAIN

## OPOWIA DANIA

INNA PIEŚŃ

KONIEC

MISTRZ

OPOWIEŚĆ O ZŁODZIEJU KOŚCI  
PIWNICA NA NAJWYŻSZYM WZGÓRZU

POZYTYWKA

ŚMIERTELNE ZMĘCZENIE

TYLKO JEDEN RAZ

ZAJĄŁEM SIĘ MOJĄ MAMĄ

ZANIM SIĘ OBRÓCĘ

Horror w muzyce czy  
muzyka w horrorze?

Aleksandra Kaczmarek

ZEZ

STEFAN

GRABIŃSKI

# SPIS TREŚCI:

|  |                               |     |
|--|-------------------------------|-----|
| Słowo od redakcji                      |                               | 3   |
| INNA PIEŚŃ                             | Wiktor Orłowski               | 4   |
| KONIEC                                 | Adam Loraj                    | 17  |
| MISTRZ                                 | Łukasz Krukowski              | 26  |
| OPOWIEŚĆ O ZŁODZIEJU KOŚCI             | Karolina Michałowska-Dzięcioł | 37  |
| PIWNICA NA NAJWYŻSZYM WZGÓRZU          | Dawid Kain                    | 49  |
| POZYTYWKA                              | Przemek Morawski              | 55  |
| ŚMIERTELNE ZMĘCZENIE                   | Jakub Zieliński               | 68  |
| TYLKO JEDEN RAZ                        | Jakub Ciaś                    | 77  |
| ZAJAŁEM SIĘ MOJĄ MAMĄ                  | Michał Krajniak               | 87  |
| ZANIM SIĘ OBRÓCĘ                       | Jakub Luberda                 | 96  |
| Horror w muzyce czy muzyka w horrorze? | Aleksandra Kaczmarska         | 109 |
| ZEZ                                    | Stefan Grabiński              | 113 |

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Okładka** (ilustracja): Barbara Komaniecka

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Barbara Komaniecka, Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Zvyrke

**Korekta:** Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

**email:** [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami ostatnia Histeria w tym roku. Gościem Specjalnym dwudziestego dziewiątego numeru jest Dawid Kain, który prezentuje na naszych łamach opowiadanie *Piwnica na najwyższym wzgórzu*.

Wśród jedenastu tekstów znajdują się również trzy finałowe z konkursu *Zatruty dźwięk*.

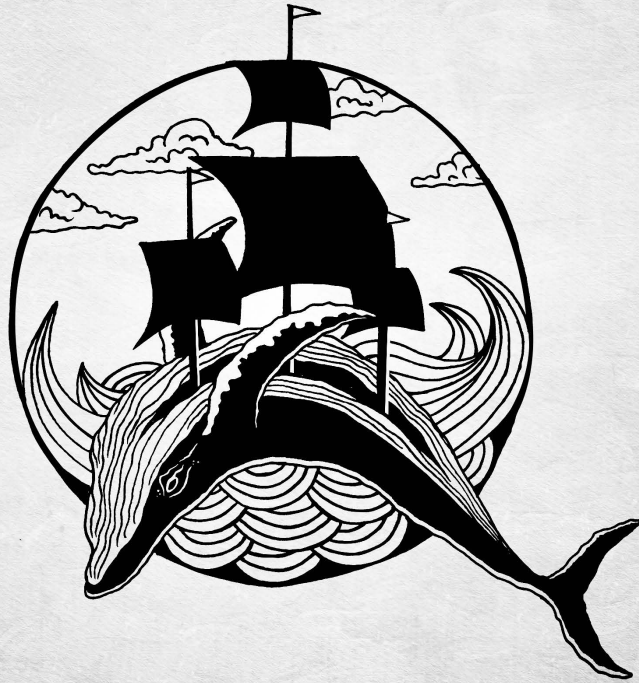
Na koniec artykuł *Horror w muzyce czy muzyka w horrorze?*, autorstwa Aleksandry Kaczmarskiej a także opowiadanie *Zez* Stefana Grabińskiego, którego 82. rocznica śmierci mija w tym miesiącu.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad noworoczną Histerią. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

rys. Dawid Boldys



# INNA PIEŚŃ

Wiktor Orłowski

29.10.2018 11:14 (UTC +9)

Pozycja: 58°06.1'N 179°15.5'W

Kurs: 062°

Prędkość: 14,0 kn

To miał być dobry kurs. *MV Nisshin Maru* dwunastego października wyruszył z portu Innoshima, obierając kurs na Arktykę. Wróci stamtąd za niespełna rok, wioząc kilka setek płetwali karłowatych – łagodnych potworów o ciemnoszarych grzbietach. Do Japonii wrócą elegancko rozebrane na ociekające ciemnoczerwoną posoką części. Wszystko w służbie nauki.

To miał być dobry kurs.

Dziewiętnastego października w samo południe mat Bagwis Libunao pociął sobie rękę.

\*\*\*

Kajuty marynarzy na dolnym pokładzie rozmiarem niewiele różniły się od pojemnej szafy. Szukający sensacji bosman musiał wyjść na ciasny korytarzyk, by przepuścić oficera w drzwiach.

Pierwszy oficer Kurt Nilsen bezceremonialnie zatrzasnął mu je przed nosem.

– Co tu się dzieje, *for faen?* – warknął cicho.

Filipińczyk na koi był blady jak świeżo zagruntowane płótno. Czarne półksiężycy sińców wykwitły mu pod oczami, upodabniając marynarza do pandy. Jego lewe przedramię ściśle oplatał biały opatrunek. Karl spojrzął mu w oczy i zadrżał; były szkliste jak u oprawionego wieloryba.

Kurt wiele razy widział oczy śniętego walenia. Na wielorybnych pławach pływał od trzynastu lat.

Drugi oficer Yokozawa z traskiem zamknął apteczkę.

– Dałem mu kodeinę, żelazo i diazepam – powiedział. – Chyba jest w szoku. Mówi, że go głowa boli.

– Powiedział coś jeszcze?

– Bełkocze po swojemu, a ja nie znam tagalog. Ale... – Yokozawa zawahał się. Jego palce w pośpiechu zatańczyły na ekranie telefonu. – Proszę na to spojrzeć.

Nilsen obejrzał zdjęcie i poczuł u dołu pleców zimny dreszcz. Yokozawa, zanim nałożył Libunao opatrunek, uznał za stosowne sfotografować jego przedramię. Pomysł dość upiorny, jeśli ktoś pytałby Kurta o zdanie, ale za to słuszny.

Seria głębokich nacięć przedstawiała wieloryba. Mówiąc ściślej – kaszalota.

– Powinniśmy o tym powiedzieć kapitanowi.

Na wszystkich jednostkach pływających – nieważnie, czy wojskowych, czy też cywilnych – panowała co do zasady jedna żelazna reguła: kapitan powinien wiedzieć wszystko, co dzieje się na jego okręcie.

Rzecz jasna, o ile pierwszy oficer nie postanowi inaczej.

– Nie – odparł Kurt z wahaniem, wstając z niskiego krzesła. Nie potrafił powiedzieć, co nim powodowało. Kapitan Kuroda niebawem i tak obejmie wachtę, a wówczas dowie się wszystkiego; zaniechanie obowiązków skończy się w najlepszym razie nieprzyjemną rozmową, w najgorszym – soczystym raportem wysmarowanym do zarządu *Kyodo Senpaku Kaisha Ltd.*

Nie wiedział.

Głos Libunao dopadł go jeszcze w drzwiach. Filipińczyk mówił bardzo cicho i z obcym akcentem, ale niewątpliwie po angielsku.

– One śpiewają, *chief*\*. Śpiewają i płaczą.

\*\*\*

Spotkali się dopiero po dwudziestej – on, drugi oficer Yokozawa i główny inżynier Nitobe, niemłody już Japończyk o samurajskim wąsiku i posępnej, mięsistej twarzy inteligentnego człowieka. We trzech wcisnęli się do wąskiej kabiny Kurta.

*Nisshin Maru* był okrętem cywilnym. Ba, okrętem badawczym, przynajmniej z nazwy. Kurt nie mógł po prostu wyrzucić załogi z mesy, gdy tylko nabrał takiej fantazji, a nawet gdyby mógł, nadal wolałby ciasną kubaturę własnego lokum. Sytuacja była delikatna, nie chciał więc wzbudzać niepokoju.

– Słucham panów – zaczął, wyciągając z szafki pękatą butelkę whisky. Może i pływał na japońskim statku, ale, do stu diabłów, nikt go nie zmusi do picia ich ryżowego bimbru!

Na *Nisshin Maru* nie było zresztą mowy o porządnym piciu. Na ponad trzydziestu mężczyzn był tu jedynym Europejczykiem.

Kadra specjalistyczna rekrutowała się z Japończyków, którzy po dwóch łykach stawali się podejrzenie rozbawieni. Załoga niższa – praktycznie sami Filipińczycy i Indonezyjczycy, z których ci drudzy władali angielskim tak łamanym, że aż słyhać było jego ostre kanty – była niewiele lepsza.

Dlatego Kurt zazwyczaj pił sam. Współczesne okręty nie wymagają życia społecznego, a on był tu obcy. Obcy od trzech lat. *Gaijin*.

I zawsze tak będzie.

Nitobe skinieniem głowy podziękował za szklanekę. Yokozawa nerwowym gestem odblokował tablet.

– Sprawdziłem kilka rzeczy w Internecie – zaczął, kładąc urządzenie płasko na blacie. – Byłem pewien, że gdzieś to już widziałem i... Sami spójrzcie. – Stuknięciem w ekran wywołał anglojęzyczny artykuł.

– „Błękitny wieloryb”? – Przetłumaczył inżynier. – To znaczy pletwał błękitny?

– Niezupełnie. To taka internetowa gra dla dzieci. Jeśli to w ogóle można nazwać grą.

– Morska wersja „Angry Birds”? – zażartował Kurt, obracając w palcach elektronicznego papierosa.

Żaden z Japończyków nie roześmiał się. Yokozawa przesunął ekran. Miał już ponad trzydzieści lat, ale w półmroku rozproszonym przez błękitne światło wyglądał na znacznie młodszego. Przydługie włosy opadały mu na oczy; odgarnął je niecierpliwym gestem.

– Ta gra to rodzaj internetowego wyzwania – podjął. – Twórca zmuszał dzieciaki do okaleczania się. Wyzwanie trwa pięćdziesiąt dni i kończy się samobójstwem. Wciąż przewijającym się motywem jest...

– ...wieloryb – dokończył Kurt, przysuwając sobie tablet bliżej. Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz; czym prędzej zapił go łykiem whisky.

Artykuł opatrzone zdjęciem. Na czystej, lekko zaróżowionej skórze przedramienia ktoś ostrym narzędziem pracowicie wyrył schematyczną sylwetkę wieloryba.

– To jakiś absurd – wykrztusił ochryple, czując palenie w gardle. – Tu pływa trzydziestu dorosłych facetów, Yokozawa, a nie banda depresyjnych nastolatków z dostępem do sieci.

*One śpiewają, chief. Śpiewają i płaczą.*

Drugi oficer zmrużył skośne oczy. Przybrały kształt ciemnych szparek tak wąskich, jakby zbiegły się w praniu.

*Gaijin, mówily z rezerwą. Pływasz na Nisshin Maru, ale nie jesteś jednym z nas. Nie mów, że nas znasz.*

Nilsen westchnął.

– Libunao jest od ponad pół roku w pracy – powiedział, starannie dobierając słowa. – Nie orientuję się w temacie, ale chyba ma kiepską sytuację w domu. Każdemu siadłaby psycha.

Japończycy milczeli przez chwilę, nieruchomi niczym kamienne posąжки *Jizō*.

– Może pan mieć rację – odparł wreszcie Yokozawa, ale Kurt wiedział, że drugi oficer i inżynier nie uwierzyli w ani jedno jego słowo. Na tym statku działo się coś niedobrego. Kapitan Kuroda, zwykle skrupulatny i obowiązkowy jak szkolny prymus, nie wezwał Nilsena na rozmowę. Kurt od kilku godzin czekał jak na szpilkach, mentalnie przygotowując się na sztorm stulecia, ale Kuroda go nie wezwał.

Na *Nisshin Maru* działo się coś niedobrego – Yokozawa i Nitobe czuli to w kościach.

A Kurt Nilsen wiedział, że mieli rację.

\*\*\*

W środku nocy wezwano go na mostek. Kurt zerwał się ze swojej koi, usiłując jednocześnie w biegu nałożyć spodnie i zasznurować buty. Wśród dyżurującej stale był

przynajmniej jeden oficer, a w sprawach pilnych należało wezwać kapitana, nie pojmował więc, po jaką cholereę wyrwano z łóżka akurat jego.

Na mostku, prócz mata trzymającego tej nocy wartę, tłoczyło się jeszcze czterech innych marynarzy.

– *Hva for noe dritt?* – rzucił zgryźliwie. – Któryś ma wieczór kawalerski?

– Sonar złapał stado karłów, *chief* – odezwał się mat dyżurujący po angielsku. – Spore.

– Nie mogło to poczekać do rana? – zapytał, choć wiedział, że nie to pytanie powinien zadać.

*Dlaczego wezwaliście mnie? Dlaczego mnie, do stu diabłów, a nie Kurodę?*

Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa.

*Dobrze wiesz, dlaczego, pomyślał, patrząc w ich pobladłe twarze. Bo Kuroda prawie nie wychodzi ze swojej kajuty, jeśli nie musi, i całymi dniami gra w swoje pieprzone shōgi, odkąd tylko opuściliśmy wybrzeże Japonii. Bo robi się tak niekompetentny, że lada chwila zauważy to nawet pieprzony bosman. Bo z tego samego powodu nie złożyłeś mi raportu, chociaż powinieneś.*

Chłopak niepewnie wzruszył ramionami, gestem wskazując mu ekran. Kurt zagryzł wargi, rozpaczliwie tęskniąc za papierosem. Takim prawdziwym, nie e-świństwem, które brał w morze tylko dlatego, że łatwiej było zaopatrzyć się w solidny zapas liquidu.

– To nie wszystko, *chief*. – Młody Filipińczyk niepewnie strzelił spojrzeniem w stronę kolegów. – One... one śpiewają.

Kurt miał na sobie jedynie polar wrzucony na T-shirt, a mimo to poczuł, że zaczyna się pocić.

– Co takiego?

– Nie słyszy pan? – To mogła być jedynie gra sztucznych świateł, ale Nilsen miał wrażenie, że chłopak zbladł. – Nie słyszy pan tego?

– Czego, do ciężkiej cholery, Manalili? – warknął, wyłowiwszy z pamięci jego nazwisko.

Marynarze niepewnie wymienili spojrzenia. Kurt poczuł ukłucie irytacji.

To wszystko były dzieci. Szczypiorzy, które wichry wiejące w portfelu pchnęły wprost w czerń otwartego morza. Najstarszy miał tu dwadzieścia pięć lat.

– Proszę się wsłuchać, *chief* – odezwał się drugi mat o pociągłych, indonezyjskich rysach. – Słysząc, jak wyją.

*Śpiewają i płaczą.*



– Bzdura – warknął nieco zbyt ochryplym głosem. – Po prostu jesteście zmęczeni. Dyżurny zostaje na mostku, całej reszty nie chcę tu widzieć za pięć sekund. Jak chcecie sobie poplotkować jak baby i nałożyć maseczki, to róbcie to w mesie.

\*\*\*

Po opuszczeniu mostka i powrocie do własnej kabiny Kurt długo nie mógł zasnąć. Cichy warkot silników, znajomy i kojący jak mruczenie kota, nie był w stanie ukołysać go do snu. Nilsen przewracał się w przepoconej pościeli; miał wrażenie, że słyszy przesączające się przez kadłub niskie, wibrujące zawrozenie.

*Idiotyzm. Autosugestia.*

Wyskoczył z koi, ubrał się, zerwał z wieszaka sztormiak i, choć zwykle starał się nie robić tego w nocy, wyszedł na dziób.

Pokład był śliski od słonej wody. O tej porze zamarzała cieniutką warstwą zdradzieckiego lodu. Kurt oparł się o burtę i wyciągnął z kieszeni elektronicznego papierosa. Zaciągnął się głęboko dymem o zapachu arbuza.

Musiał pomyśleć.

Dziób *Nisshin Maru* pruć taflę czarnej wody. W blasku księżyca lodowe kry przypominały rozsypane kostki cukru, silniki szumiały miarowo. Po tylu latach na morzu Kurt musiał się skupić, by słyszeć ich warkot – stały się dla niego stałym szumem tła, znajomym i pomijalnym.

Gdzieś w oddali musiały pluskać czarne ogony. Nilsen wyobraził sobie gejzery wypluwanej wody.

*Co ja tu robię?*

Ciasno zapięty sztormiak pił pod brodą. Kurt zziębniętymi wargami wydmuchał kolejny kłęb pary.

*Pieprzę to.*

– Jestem za stary na ten sport – powiedział na głos. – Pieprzę to. Odbębnię ten kurs i wracam do domu.

Nikt mu nie odpowiedział. Na tafli ciemnej wody w spokoju dryfowały kry.

Gdzieś w oddali pluskały czarne ogony.

20.10.2018r. 9:03 (UTC +9)

Pozycja: 60°01.9'N 168°38.5'W

Kurs: 071°

Prędkość: 11,5 kn

O piątej trzydzieści ciało Bagwisa Libunao znaleziono w ładowni. Zakwaterowani z nim marynarze nie zauważyli, kiedy opuścił kabinę. Przyciśnięty do ściany mat Moritaka Masaomi powiedział tylko jedno.

– Wieloryb mu kazał, *chief*. Wieloryb kazał mu to zrobić.

\*\*\*

– Zechce mi pan to wyjaśnić?

*Stan morza – 3. Wiatr – 37 km/h SW. Kapitan Kuroda – wściekły jak demon oni.*

– Tak jest, panie kapitanie. – Kurt powstrzymał chęć wywrócenia oczami. – Załoga przygotowuje się do obchodów Halloween. Mat Libunao postanowił przeprowadzić próbę generalną.

– Pan żartuje, panie Nilsen?

*Tak jakbyś zgadł, pierdolony żółtku*, pomyślał Kurt, zaciskając zęby. Kapitan Kuroda w swoich najlepszych momentach był do rany przyłóż – ale tylko wtedy, gdy chciałeś nabawić się gangreny.

Jego oczy były wąskie, zimne i pełne rezerwy. Kurt wiedział, o czym kapitan myśli.

*Gaijin.*

– Ponosimy za to odpowiedzialność, Nilsen – powiedział sucho. Pierwszy oficer skrzywił się; odpowiedzialność ponoszona po japońsku miała nieprzyjemny zwyczaj rozcinać powłoki skórne brzucha.

– Tak jest.

– Mamy wystarczająco dużo kłopotów z ekologami i *Sea Shepherd*.

– Tak jest – powtórzył Kurt, mierząc ponurym wzrokiem barwne *kakemono* zawieszane za biurkiem dowódcy okrętu. W porównaniu z kabinami zwykłych marynarzy lokum kapitańskie przywodziło na myśl apartament w luksusowym *ryokan*. Kurt będąc tu po raz pierwszy miał

cholerną ochotę roześmiać się na widok dwóch tradycyjnych mieczy z pietyzmem przymocowanych do ściany. Potem mu przeszło.

– Gdzie jest ciało?

– Kazałem je zanieść do ładowni. Tam są chłodnie.

Milczeli przez chwilę. Kurt Nilsen wiedział, co powinno teraz nastąpić. Kuroda powinien zmienić kurs okrętu, zawinąć do najbliższego japońskiego portu i natychmiast przerwać ten rejs. Ale Kuroda tego nie zrobi – widział to w jego oczach.

Nie zrobi tego, a Kurt – druga najważniejsza osoba na *Nisshin Maru* – nie uczyni nic, by na niego wpłynąć.

Tak załatwiało się tu sprawy, tak funkcjonowała jedyna na świecie pływająca rzeźnia pieprzonych wielorybów. Trzysta trzydzieści trzy sztuki w tym roku.

Kurt już widział oczyma wyobraźni te krzykliwe nagłówki – pogrążeni w depresji mordercy pięknych zwierząt odbierają sobie życie! Widział triumfalne uśmiešky cholernych pasterzy mórz.

Oni nie wrócą. Honor i poczucie wstydu im nie pozwoli. *Banzai!*

– Jeśli pan pozwoli, wrócę do swoich obowiązków – powiedział Kurt cicho, zginając kark w oszczędnym ukłonie. Kapitan Kuroda wrócił do przerwanej partii *shōgi*, którą rozgrywał sam ze sobą.

Jego głos dobiegł pierwszego w drzwiach.

– Nilsen? Czy wie pan, dlaczego mat Libunao to zrobił? – Oczy kapitana zrobiły się dziwnie mętne.

*One śpiewają, chief. Śpiewają i płaczą.*

– Nie.

\*\*\*

Po rozmowie z kapitanem Kurt czuł się wypompowany, jakby własnoręcznie podniósł kaszalota. Nie wierzył w urojenia Yokozawy na temat suicydalnej gry internetowej, mimo to zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i złożył prywatną wizytę inżynierowi Nitobe. Rozmowa prowadzona przyciszonym szeptem trwała raptem kilka minut, ale niedługo później ogólnodostępna okrętowa sieć wi-fi w niewyjaśnionych okolicznościach przestała działać.

Nilsen wrócił do swojej kabiny, ślaniając się ze zmęczenia. Na koję runął tak, jak stał – w pełnym ubraniu.

Usłyszał to, zanim zasypiał. Dźwięk był cichy, jednostajny i bardzo smutny, przepęlniony spokojnym bólem – takim, jakim cierpieć może olbrzymie, łagodne zwierzę.

Zasnął, ukołysany ich śpiewem.

\*\*\*

Obudziło go łomotanie do drzwi. Zerwał się z koi, czując w ustach kwaśną suchość. W głowie dudniło mu głucho. Bezwiednie sięgnął po zegarek i przeraził się – spał prawie sześć godzin. Zaspał na wachtę.

– *Chief?* – Yokozawa brzmiał na bardzo zmęczonego. – Kurt?

– Wejść – odezwał się, tłumiąc dreszcze paniki.

Drugi oficer był bardzo blady. Wyglądał jak coś, co kaszałot pożarł i strawił.

– Kolejny chłopak się pociął. Wbił sobie igły w usta. Ja... Chciałem porozmawiać.

– Siadaj.

Yokozawa nie usiadł.

– Ty też to słyszysz? – szepnął, w sposób nietypowy dla Japończyka zwracając się bezpośrednio.

– Niczego nie słyszę – skłamał Nilsen. Cichy śpiew stale łechtął go w skraj świadomości; był równie naturalny, co warkot starych Diesli.

– Pomyślałem, że... – Drugi oficer zachwiał się. Skapitulował i usiadł na niskim krzeselku.

– Wiem, jak to brzmi, ale moja siostra pracuje na uniwersytecie w Osace. Jest neurobiologiem. Opowiadała mi trochę o rzeczach, które mogą wpłynąć na mózg w zły... bardzo zły sposób.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Kurt, chociaż wcale nie chciał się tego dowiedzieć.

– Chodzi o dźwięk. Fale określonej długości mogą zupełnie zmienić działanie mózgu i manipulować nastrojem. Wpłynąć na myśli i skłonić do rzeczy, których człowiek normalnie by nie zrobił. Co, jeżeli...

Nilsen roześmiał się chrapliwie. W jednym momencie zgiął się w pół i ryknął śmiechem tak serdecznym, że omal nie wpadającym w histeryczne rejestry. Łzy spłynęły mu po twarzy, wpadając w krótko przystrzyżoną, jasną brodę.

– Sugerujesz, że... – wykrztusił, łapiąc się za brzuch. – Że parę dużych ryb wyje w taki sposób, żebyśmy się tu zabili? Twierdzisz, że to właśnie robią?

– Słyszę ich śpiew – powiedział Japończyk tak poważnym tonem, że Kurt aż przestał się śmiać.

- To niemożliwe. *Maru-chan* to nie jest pieprzony U-boot, dźwięk tak się nie niesie.
- Słyszę je cały czas. Nawet teraz. To są bardzo mądre zwierzęta, sam przecież wiesz, one mają emocje i potrafią czuć żalobę po utraconych członkach stada. Jesteśmy jedynymi z ostatnich, którzy je zabijają. Inni się poddali, ale nie my. *Nisshin Maru* jest jedyną na świecie faktorią, pływającą rzeźnią dla wielorybów.
- To, co sugerujesz, jest absurdalne – wycedził Nilsen przez zaciśnięte zęby.
- Niczego nie sugeruję. Po prostu... – Yokozawa urwał; wykonał ręką niesprecyzowany gest. – Jesteśmy ostatni. Pomyśl o tym.

23.10.2018r. 12:17 (UTC +9)

Pozycja: 74°22.01'N 134°48.0'W

Kurs: 079°

Prędkość: 0,3 kn

W środę dwudziestego trzeciego października stan morza określono jako 4. Wiał wiatr południowo-zachodni o prędkości czterdziestu sześciu kilometrów na godzinę.

Drugi oficer Yokozawa Tooru powiesił się w swojej kajucie.

\*\*\*

– Ma mi pan coś do powiedzenia w tej sprawie, Nilsen? – zapytał kapitan Kuroda cicho, bawiąc się wiecznym piórem. Miniaturowa plansza do *shōgi* na jego biurku po raz pierwszy, odkąd Kurt pamiętał, stała pusta.

– Nie, panie kapitanie – odpowiedział równie przyciszonym głosem. Język miał spuchnięty i sztywny, tkwił mu w ustach jak kołek. Bardzo źle spał. Od rana bolały go wszystkie mięśnie, jakby solidnie się przedzwigał.

*Jestem na to za stary. Dobijamy do brzegu i spierdalam łowić ryby w krainie fiordów.*

Po raz kolejny pomyślał o tym, jak to się stało, że on – Norweg z dziada pradziada – wylądował na japońskiej jednostce setki mil morskich z dala od domu, pod obcą banderą i wśród ludzi władających obcymi językami, a zwłaszcza jako ich pierwszy oficer. Zwabiła go jadowita sława statku – jedynej na świecie faktorii, która na oczach świata otwarcie kpi sobie z międzynarodowych ustaleń. *Nisshin Maru*.

*Maru-chan*, jak pieszczotliwie zdrabniali jego nazwę Japończycy, oprawiając ciężarne samice płetwala karłowatego. To przez niego spakował się i wyjechał, kiedy tylko nadarzyła się okazja, choć wciąż nie miał pojęcia, dlaczego go przyjęli.

Kuroda opuścił pióro na notatnik i zaczął coś pisać.

– Prasa nie zostawi na nas suchej nitki – powiedział, nie podnosząc wzroku. Był podejrzenie spokojny.

Japończycy nie zwykli okazywać emocji, ale Kurt dobrze znał wybuchy zimnego szału kapitana *MV Nisshin Maru* – te drobne, niemal niezauważalne drżenia powiek, gwałtowne zaciśnięcia warg, suchy i bezosobowy ton.

Kapitan Kuroda był dziś równie pełen energii, co wypatroszony narwal.

Kurt nie odezwał się.

– Czy może pan coś zrobić z tym dźwiękiem? Od rana pęka mi głowa.

– Jakim dźwiękiem, panie kapitanie?

Oblicze Japończyka wygładziło się. W ciemnych oczach błysnęło coś oleiście. Pierwszy oficer spuścił wzrok na jego biurko; kątem oka zerknął na rozłożony notatnik.

Pismo kapitana Kurody było schludne i bezosobowe. Karawana czarnych, starannie narysowanych znaków otaczała prosty rysunek.

Wieloryb.

– Nieważne, Nilsen. Może pan odejść.

\*\*\*

Zimny wiatr szarpał połami niezapiętego sztormiaka. Kurt jakimś skrawkiem świadomości zdawał sobie sprawę, że powinien go zapiąć, że to, co robi, jest bardzo głupie.

Pozostała część słuchała.

Niebo miało barwę cyny. W wodzie ciemniejszej o ledwie kilka tonów wynurzające się płetwy zdawały się być czarne jak ebonit.

Podpłynęły dziś blisko. Bardzo blisko. Ich cichy śpiew zdawał się wygłuszać warkot silników, rezonował w ścięgna i kościach. Kurt czuł się zadziwiająco lekki i ciężki jednocześnie. Nie mógł utrzymać głowy prosto – parsknął śmiechem, kiedy tylko sobie to uświadomił.

W niebo buchnął gejzer słonej wody.

– Za trzy punkty – wyszeptał Kurt, chwiejąc się na piętach. Opierał się o burtę, ustnikiem e-papierosa bezwiednie skrobiąc po cieniutkiej warstewce szronu. W nuty głębokiej pieśni wdarł się piskliwy dysonans – jego własny chichot.

*One śpiewają, chief. Płaczą i śpiewają.*

– No – mruknął. – Jak diwy operowe. Nawet mają podobne gabaryty.

Nagły atak chichotuomal nie przewalił go za burtę.

*Słyszę ich śpiew. Słyszę je cały czas. Nawet teraz.*

E-papieros wypadł mu z ręki. Kurt schylił się, by go podnieść. Rysunek własnoręcznie wyskrobany w cieniutkiej warstwie szronu zaświtał mu na wysokości oczu.

Płetwal karłowaty.

Kurt Nilsen zachichotał.

\*\*\*

– *Chief?* – Ktoś szarpał go za ramię. Kurt podniósł głowę; z trudem ogniskował wzrok na śniadej, szczupłej twarzy Filipińczyka. Z jeszcze większym trudem przychodziło mu przełożenie jego dziwacznej angielszczyzny na język ludzi.

– Hm? – mruknął, rozglądając się dookoła półprzymrokiem.

Nie pamiętał, jak trafił do mesy. Chyba coś jadł – w ustach czuł charakterystyczny posmak ryżu z ryżem, podanego z lekką domieszką ryby i, na skośnooką modłę, owiniętego glonem.

– *Chief*, kapitan nie zjawił się na obiedzie. Od rana nie opuścił swojej kabiny.

– Mhm.

– Abe i Moriyama pukali do drzwi. Pan kapitan nie otwiera.

– Mhm.

Marynarz przestąpił z nogi na nogę. Cała mesa wibrowała dźwiękiem – tęskne, pełne nieskończonego żalu zawodzenie płetwali wprawiało szkła i zastawę w drzenie. Kurt drżał razem z nimi. Dygotały jego ręce, rezonowały narządy kiwające się na rozkołysanych więzadłach.

Uszy wypełniała mu gruba warstwa waty. Powietrze pachniało wielorybim tłuszczem. Kurt znał ten zapach od dziecka, ale woń nagle zdała mu się niesamowicie smutna; poczuł, że wilgotnieją mu oczy.

*Co oni tu robią?*

*To były piękne zwierzęta. Nie zasługiwały na to, żeby cierpieć i nie miały powodu, by tu umierać.*

*Jeśli ktoś miał umrzeć, to...*

– *Chief?* Chyba powinien pan przejąć dowodzenie.

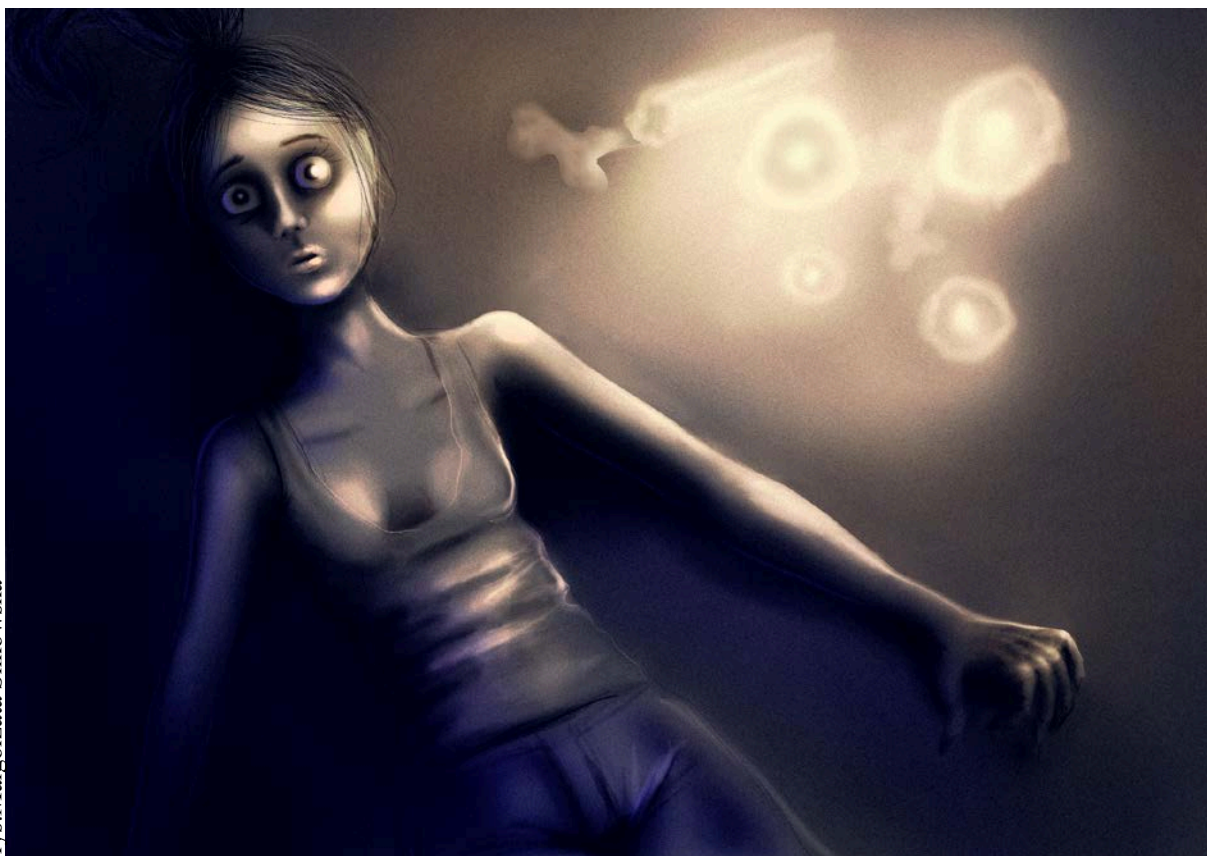
– Co? – Kurt zamrugał gwałtownie. Głos marynarza słyszał jakby z oddali, jak przez grubą warstwę izolacyjnej pianki. Ledwo mógł skupić się nad tym, co do niego mówiono.

Od rana strasznie bolała go głowa.

---

\* *chief* (ang.) – pierwszy oficer





# KONIEC

Adam Loraj

To koniec.

Koniec wszechświata.

Stoję przy jednym z dwóch okien statku ekspedycyjnego *Mojżesz*. To exodus; mój i dwudziestoczteroosobowej załogi. Egipcem jest wszechświat, który właśnie opuszczamy, a Ziemią Obiecaną jest nieznaną przestrzeń, rozciągająca się za granicą otaczającej nas pustki. Czarnej, wyzbytej z gwiazd. Tuż przed dziobem statku, setki tysięcy kilometrów w dali, pustka wydaje się kotłować niczym chmura burzowa. Może mi się wyłącznie wydaje, ale dostrzegam coś, co wygląda jak wyładowania elektryczne. Mgliste pioruny migają i przecinają kopułę świata, rozchodząc się po niej białą pajęczyną. Trwa to wyłącznie ułamek

sekundy. Mój wzrok ledwo to rejestruje. Aparatura milczy.

Trwam, wpatrując się w granicę. Zbliżamy się do niej ze stałą prędkością czterdziestu sześciu kilometrów na sekundę. Wszechświat kurczy się kilka razy szybciej.

Odwracam się na pięcie i opuszczam mostek – niewielkie pomieszczenie, przeznaczone dla czterech osób, kształtem przypominające trapez. Stukot odbija się od wąsko położonych ścian. Wzdłuż korytarza ciągną się świeczki, knoty z wolna wypalają się, a wosk spływa na podłogę. Wdeptuję w zastygłą rzeczku kremowej cieczy. Chrupie mi pod butem. Wentylatory działają z charakterystycznym szumem, wyzbywając się dławiącego aromatu dymu.

Dwa metry dalej szara ściana przechodzi w szybę. U dołu wstępują czarne aury, pozostałości po ognistych językach. O znajdujących się tu jeszcze niedawno świecach świadczą pozostawione, puste spodeczki. Po prawej znajduje się pokój socjalny, w którym trzy osoby klęczą z czołem przyłożonym do podłogi. Kiwają się to w prawo, to w lewo, z głowami przykrytymi rękami. Pada na nich lekki, bladej snop światła. Modlą się do kapliczki, której z tej perspektywy nie widzę. Po lewej jest kuchnia, pusta, z tłustymi osadami ciągnącymi się po meblach. Szczątki naczyń walają się po posadce. Automatyczny odkurzacz spoczywa w kącie, jego niebieska dioda mruga, lecz urządzenie już się nie porusza. Tylko dozownik racji żywnościowych jest nienaruszony.

Idę dalej.

Staram się nie myśleć. Boję się, że każda myśl znów odwiedzi mnie *nocą*, będąc karykaturą, groteską bądź wynaturzeniem pierwotnego obrazu. Koszmary towarzyszą mi od przedwczesnego przebudzenia, które wywołał obłąkany Oskar – medyk o niespełnionych pisarskich aspiracjach. Wyłączył mnie z *kriosnu*, opowiadając o swoim bogu, mieszkającym poza wszechświatem. Od pierwszej chwili przebudzenia spostrzegłem, że reszta załogi przeszła na jego kosmiczną religię.

Żyję w ciasnej klatce, spoglądam szaleństwu prosto w oczy, jestem częścią szaleństwa, które dla mnie rozpoczęło się przed dwoma miesiącami. Pierwszą, którą całkowicie opuściło zdrowie psychiczne jest Aleksandra; leży tuż przy drzwiach do mojej kajuty, zalegając niczym próg. Nie pamiętam, bym widział, że mruga. Rozwarte do granic oczy są przekrwione, źrenice ledwie dostrzegalne. Cały czas patrzy się na sufit. Wyłącznie płytki oddech, unoszące się drobne piersi i drgające palce, niby grające na posadce, odróżniają ją od trupa. Najgorsze są właśnie te palce. Szaleją na białej powierzchni, jakby ta była klawiszami pianina lub fortepianu. Chociaż powinienem słyszeć wyłącznie plaśnięcia, to do moich uszu dociera nostalgiczna muzyka, pełna bólu i strachu. Dławiąca resztki zdrowych

zmysłów.

Drzwi rozsuwają się przede mną. Robię krok, przechodząc nad ciałem pani kapitan.

Siadam na pryczy.

Melodia wygrywana przez Aleksandrę nie milknie, a wręcz przeciwnie. Nasila się, rozbrzmiewając już we wnętrzu głowy.

W kajucie jest parno. Z trzech lamp działa wyłącznie jedna, rzuca blade, migoczące coraz częściej światło, ostrzegając, że wkrótce całkiem odmówi posłuszeństwa. A wtedy będę musiał, za przykładem reszty, wpakować do kajuty tuzin świeczek i modlić się, bym nie uduślił się od nadmiaru dymu. Nie zastanawiam się nawet skąd na statku ekspedycyjnym tak okazały zapas przedpotopowych świeczek, nie mogę myśleć przed zaśnięciem. Kładę się, układając pod głowę dłonie. Na półeczce przy pryczy leży talerz z dziesiątką drobnych niebieskich kapsulek. Miały pomagać mi zasnąć, miałem nadzieję, że leki wyprą koszmary. Myliłem się, zamiast tego nie byłem w stanie przerwać lawiny wizji, jakie zalewały mój umysł i w konsekwencji dusiłem się, prawie umierając we śnie.

Zamykam powieki, zdając sobie sprawę z tego, że nie jestem w stanie o niczym myśleć. W szczególności tuż przed zaśnięciem. Klnę na siebie, na ekspedycję i cały kurczący się wszechświat.

Wydaje mi się, że zasypiam, lecz podnoszę się w tym samym momencie, kiedy gaśnie moja świadomość. Wstaję, nie jestem w swojej kajucie. Nigdzie nie jestem, trwam pomiędzy materią a jej brakiem. Tutaj, w tej komorze z niedostrzegalnymi ścianami, pozbawionej podłogi i sufitu, tańczą cienie utkane z ciemnego światła, wyrastają z pustki, przypominając płataninę samych kończyn z nielicznie nabitymi na pal głowami. Usta rozwierają się, wypuszczając melodię fortepianu lub pianina. Nie potrafię jej rozpoznać. Cienie tańczą, tworząc korytarz, ruszam nim. Szponiaste dłonie chwytają mnie, świadomość, wyplewiają pamięć, pozbywają się emocji. Jestem tylko ja, kroczę przez wariujące cienie, prowadzące mnie na sam kraniec. Kraniec okazuje się być niczym. W jednej chwili jestem w korytarzu, w drugiej już nie. Pustka przyjmuje mnie, spadam, chociaż tutaj nie ma kierunków.

Coś czepia się mojego umysłu.

Budzę się cały spocony. Głowa pulsuje tęnym bólem, jakby ktoś do niej sięgnął i dotknął mózgu.

Staram się podnieść, lecz jakiś ciężar zalega na mnie. Obracam się na plecy, czując, jak czyjaś ręka osuwa się na moje udo. Spuszczam wzrok. Aleksandra swymi martwymi oczyma wpatruje się prosto w moją twarz, dłonie wciąż stukają, tym razem wygrywając powolną, pozbawioną wyrazu melodię. Wydaje mi się, że pragnie coś powiedzieć. Usta drżą

jej, ślina wypływa na dolną wargę. Charczy, chociaż równie dobrze mogę to odebrać jako skowyt czy łkanie. Ostrożnie odsuwam ją na bok, tak, by plecy przywarły jej się do ściany. Sam wstaję, nogi mam jak z waty. W kajucie ledwie jest czym oddychać, wentylator nie pracuje. Lampa również.

Jedynym źródłem światła są dwie świecek ustawione przy progu, nie pozwalające mechanizmowi drzwi na zamknięcie ich. Ciągną się od nich dwie ścieżynki, do tej pory moja kajuta stanowiła wyrwę, teraz woskowa pętla połączyła się, oplatając cały pokład *Mojżesa*. Udaję się do kuchni, biorę swoją rację na ten dzień. W szczelnym, próżniowym worku znajduje się zielona papka bogata w składniki odżywcze. Wlewam sobie ją w gardło, przeżuвам, krzywiąc się lekko. Moja zuchwa wydaje się skrzypieć, przeskakiwać przy każdym poruszeniu.

Aleksandra już pozostaje w mojej kajucie. Zajmuje pryczę, wygrywa swoją melodię. Mruczy coś pod nosem, ale nawet kiedy zbliżam się do niej, skupiam maksymalnie słuch, nie jestem w stanie wyłapać choćby jednego słowa. Litania, jaka wychodzi z ust kobiety przypomina szum na pasmie radiowym. Biorę materac ze składu pod pokładem, kładę go na podłodze u siebie. Tyle mi pozostaje.

Tuż przed moją kajutą spaceruje Stephen, w dłoni trzyma długopis. Stara się malować po ścianach. Niebieski tusz nie trzyma się jednak matowej powierzchni, więc sięga palcem do otwartej rany na lewej piersi. Macza czubki palców we krwi i wyciągając je w geście zwycięstwa, maluje dziwne symbole, pięcioramienną gwiazdę z czymś przypominającym oko w środku. Obok powstają drobne znaki, ciągną się po całej ścianie, a przerywają je symbole, podobne gwiazdy bądź klepsydry z wyrastającymi byczymi rogami po bokach. Stephen jest w transie, podąża sobie znanymi ścieżkami i w przeciwieństwie do Oskara jest niegroźny. Lekarz bowiem przebywa u siebie w kajucie i, o ile dalej żyje, stara się zapisać powieść swojego życia, opus magnum całej ludzkości, jak to się wyraził, rzucając się do szyi nieprzytomnego Daniela. Ledwie byłem w stanie odciągnąć dawnego przyjaciela od młodego, niczego niespodziewającego się mechanika. Zamknąłem Oskara w kajucie, włączając tryb izolacji. Moja karta pokładowa pozwalała na takie przedsięwzięcie. W końcu jestem psychologiem na tym statku.

Mija dzień, później kolejny. W snach spadam w pustkę.

W zasadzie nie mam pojęcia, ile czasu minęło od wybudzenia mnie z *kriosnu*. Według komputera sześćdziesiąt siedem dni. Ale jest on skalibrowany na czas ziemski.

A czas jest względny. Raz sekunda dla komputera to tak naprawdę minuta, godzina, dzień, tydzień, miesiąc, może rok lub lata. Innym razem to czas szaleje, mknąc bez

zastanowienia, a zegary pokładowe wloką się, nawet nie usiłując go dogonić. Moje ciało reaguje skrajnie, tracę siły, starzeję się. Widzę to za każdym razem, kiedy spojrzę na swoje odbicie w lustrze. Policzki zaczynają zwisać, oczy cofają się do oczodołów, czoło marszczy się, a siwizna pokrywa czarne włosy, sięgające mi ramion. Broda również ma więcej bieli niż swojego naturalnego koloru. Mundur dosłownie zwisa na mnie, szeleszcząc przy każdym ruchu.

Aleksandra umiera. Melodia pozostaje.

Stephen zapełnia wszystkie ściany swymi malunkami, przechodzi do *tasiemki*, korytarza ciśnieniowego, służącego do opuszczania statku, gdyby zaszła taka potrzeba. Blokuję za sobą drzwi. Otwiera właz, wsysa go pustka. Jego ciało zostaje rozszarpane przez niewidzialną siłę. Obserwuję to z mostka, kamery zamontowane wokół całego *Mojżesza* ustawiam idealnie na dawnego członka załogi. Stephen wygląda na zadowolonego. Kiedy tors wydaje się wybuchnąć, a kończyny zostają zmiażdżone, nie krzywi się. Przyjmuje ból z godnością. Wykonał swoje zadanie, więc teraz umiera.

Więcej tu martwych niż żywych. Właściwie pozostają tylko ja i chyba Oskar. Reszta pomału nie wiadomo kiedy.

Ciała przenoszę do pokoju rozrywkowego. Układam je tuż przy zaaranżowanym ołtarzu; dziesiątki świeczek, dwie krwawe kreski na podłodze, ciągnące się przez całą długość pomieszczenia i kończące w miejscu, w którym stoję. Na ścianie, zapewne powstały jako pierwszy, malunek przedstawiający kulę wpisaną w gwiazdę, a gwiazda ta ma przeciągnięte wierzchołki, tak że stają się cienkimi kreskami i wcale nie kończą się na krawędziach ścian, a wręcz wchodzą w nie, jakby miały rozciągać się po całym statku, przechodzić przez szyby, być częścią drutów i rur. Te znaki są namalowane węglem, straciły na intensywności, zacierają się.

Zamykam drzwi, odcinając się od bijącego wściekle fetoru.

Świeczki znikają. Jest wyłącznie mrok.

Mrok i upał.

Wentylatory pracują z coraz większym trudem. Powietrze jest coraz trudniejsze do zaczerpnięcia, wpada do płuc, osiada na ich dnie. Nie mogę zrobić wydechu. Kaszlę, czując, jak pot skrapla się na moim czole, jak materiałowa koszulka lepi się do pleców. Zachodzę do sali medycznej, gdzie kładę się na łóżku. Komputer skanuje mój organizm, mechaniczne ramiona sprawdzają reakcję kończyn i źrenic. Na nozdrza i usta opada maska, pomagająca mi oddychać. Mały zbiorniczek zostaje zaczepiony o pasek spodni, od teraz ma mi ciążyć przy każdym kroku. Pada diagnoza systemu lekarskiego – początki astmy. Z racji braku

możliwości zejścia z pokładu zaleca mi się nosić maskę z filtrem w razie duszności. Schodzę na posadzkę i kieruję się na mostek.

Koniec wszechświata.

Jest wyraźnie dostrzegalny. Teraz kraniec pustki nie wygląda jak kotłujące się chmury burzowe. Jest dziwną cieczą, na powierzchni której występują bąbelki powietrza, pękające w tej samej chwili, w której się pojawiają. Rozpryski zawierają w sobie zielony ogień; bucha on, rozjaśniając ciemność, a następnie sunie niby plama w przestrzeni i zanika. Koniec wszechświata wydaje się niezwykle zwyczajny. Nie tak sobie go wyobrażałem. Chociaż mój umysł nie jest w stanie przedstawić obrazu, jaki spodziewałem się ujrzeć, to czuję się oszukany widokiem zza szyby. Przecież to nie tak ma wyglądać. Kolejny zielony rozbłysk, tym razem język kosmicznego ognia mknie prosto na statek. Wydaje się prawie dosięgnąć kadłuba *Mojżesza*, chociaż w rzeczywistości to wiele dziesiątek tysięcy kilometrów. Systemy nawet nie zarejestrowały zbliżającej się energii.

Koniec wszechświata jest coraz bliżej.

Zmierzamy ku sobie.

Mijają kolejne dni, może miesiące. Aleksandra spoczywa u mnie na prycy, siedzi oparta o ścianę i do ciągłego wygrywania melodii dodała spokojne, martwe pomruki, jakby pochodzące z całkiem innej kompozycji. Przynajmniej mam czego słuchać podczas oczekiwania na sen. Koszmary dręczą mnie za każdym razem, dlatego staram się kłaść jak najrzadziej. Przeważnie stoję na mostku i przyglądam się granicy, marząc o dotarciu do niej. Świecek to znikają, to się pojawiają. Zapalone lub nie. Czasem języki ognia wydają się prowadzić mnie pod kajutę zamkniętego Oskara. Ten ostatnio dał znak życia. Zapukał do drzwi, mówiąc, że sięga po nas. Nie powiedział kto, lecz dodał, że on również chce go zobaczyć i poprosił, bym go wypuścił na mostek w tym dniu. Zgodziłem się. Porządkuję pokój rozrywek. Ciała znikają, wrzucam je do tunelu i otwieram właz. Trupy zostają zassane, rozszarpane, znikają.

Jestem jednym z tych ciał. Nagle dryfuję w pustce, czując, jak niewidoczna siła stara się rozerwać mnie na strzępy. Odrywa kończyny od torsu, lecz ja tego nie rejestruję. Wciąż posiadam ręce i nogi, tylko w innej formie. Patrzę, jak się wykrwawiam, jak tracę oddech. To ja, a równocześnie nie. Ja znajduję się obok, przyglądam się wszystkiemu, jestem obserwatorem w moim śnie, jestem tą niewidoczną siłą, która rozszarpuje samą siebie.

Budzą mnie wstrząsy.

Aleksandra stoi w drzwiach, jej dłonie grają w powietrzu. Śpiewa na całe martwe gardło. Nie rozpoznaję słów, ale sama tonacja wystarczy, by wiedzieć, że kobieta czuje

ekscytację. Czeka na ten dzień równie niecierpliwie, co ja i Oskar. Kieruje się w stronę mostka, włączy nogami, starając się zrobić choćby najmniejszy krok. Nie jest w stanie. Nogi ma bez czucia, proste, jakby pozbawione stawów. W jej zawodzeniu rozpoznaję niemą prośbę. Błaga mnie o pomoc. Mówię, że nie zmieścimy się wszyscy na mostku, jak będziemy tam stać. W końcu Oskar również ma mi towarzyszyć. Mogę ją przenieść do maszynowni, w której również jest okno, tuż przy lewym silniku. Nie chce tego. Okno nie wychodzi stamtąd na granicę wszechświata. Rozwiązanie jest proste. Biorę ją za ramię i transportuję do tunelu. Zamykam jej ciało w białym skafandrze, sprawdzam, czy zatrzask hełmu złapał. Zostawiam ją na podłodze, leży uśmiechnięta. Nim oddzieli nas ciężkie drzwi, dziękuje mi za wszystko, co dla niej zrobiłem. Wyznaje, że to dzięki niej zostałem wybudzony jako ostatni. Jestem wybrany. Nie wiem tylko, czy przez nią, czy też przez kogoś lub coś innego. Żegnamy się. Spoglądam na nią przez okrągłą szybkę. Otwieram właz. Odzywa się alarm, rozwierają się wrota do kosmosu. Aleksandra zostaje wystrzelona, przyjęta przez czarną toń. Macha mi jeszcze, unosząc się w próżni. Odmachuję, chociaż zdaję sobie sprawę, że Aleksandra nie ma szans tego dostrzec.

Czas otworzyć Oskara.

Idę do jego kabiny. Jest cicho. Melodia ucichła, gdy tylko pokład *Mojżesza* opuściła Aleksandra. Żałuję tego. Kroki rozbrzmiewają w wąskim korytarzu, kiedy staram się w głowie odtworzyć dźwięki pianina. A może był to jednak fortepian? Dlaczego nie zapytałem Aleksandry?

Przykładam identyfikator do konsoli. Na wyświetlanej klawiaturze wpisuję kod dostępu składający się z siedmiu cyfr. Oskar rzuca się na mnie, rozwiera ramiona i oplata mnie nimi w duszącym uścisku. Klepie po plecach, mówi, że wreszcie nadszedł ten dzień. Pyta o Aleksandrę. Odpowiadam mu, na co reaguje wyłącznie skinieniem. Rusza na mostek, nie chce niczego przegapić. Mówię mu, że jeszcze parę dni do dotarcia do granicy. On jednak wzrusza ramionami. Wiedziony ciekawością zaglądam do wnętrza jego kajuty. Jest sterylnie czysta i wyłącznie pomięty śpiwór świadczy o tym, że z pomieszczenia ktoś korzystał. Wycofuję się.

Oskar opiera się dłońmi o szybę, do której przykleja twarz. Nos rozkwasa się na twardej powierzchni, a tłuste włosy na czole łamią się pod naporem.

Podchodzę, zatrzymując się przy jego prawym ramieniu. Granica jest tuż przed nami. Dużo bliżej, niż wskazywałyby na to wyświetlane na ekranach komputerów odległości. Zaledwie parę minut dzieli nas od jej przekroczenia. Tafla cieczy pełna bąbli zamienia się w gładką powierzchnię, może gdzieś na górze lub w dowolnie innym kierunku występują

eksplodujące bańki, wylewające w kosmos zielony ogień, ale ja ich już nie dostrzegam. W czarnej toni widzę zniekształcone odbicie *Mojżesza*. Statek jest niewielki, wydaje się niczym przy ogromie kulistego wszechświata.

Dziób *Mojżesza* dotyka granicy.

Koniec.

Przekraczamy koniec.

Przejściu towarzyszą wstrząsy. Salwy iskier wystrzeliwiają z komputerów, które nagle się przepalają i gasną. Lampa rzucająca dotychczas trupio-białe światło również gaśnie. Pozostajemy w ciemności, co tylko ułatwia podziwianie tegoż dziwnego procesu wykraczania poza świat. Przestaję cokolwiek czuć, pozwalam zalać się obrazom i to one kreują mnie na te chwile, które zdają się istnieć poza czasem. Jestem młody, jestem stary. Umieram i żyję równocześnie, przeżywając wszystkie zdarzenia z mojej, jak i nie mojej egzystencji, poznaję odpowiedzi dotyczące początków świata, człowieka, sensu jego istnienia i tego, co znajduje się za kurtyną śmierci. Zdobywam tę wiedzę, która znika równie szybko, jak się pojawiła, pozostaje po niej wyłącznie echo, gdyż tutaj te prawdy nie występują. Widzę miliony nienazwanych kolorów, eksplodują na powierzchni statku. Wyglądają jak wiry, fale, obłoki i wszelkie inne kształty niezdatne do opisu. Łuna wdziera się na mostek. Wszelka materia promieniuje, włącznie z moim ciałem. Kosmiczny róż wylewa się zewsząd, zalewa mnie, odcinając od wciąż istniejącej gdzieś w tyle ciemności. Tracę swoje ciało, zostaję rozszczępiony na miliony osobnych fragmentów, widzę to dokładnie, obserwuję z tyłu, jakby schowany w nieistniejącej skrytce rzeczywistości. Dosłownie niknę, podobnie statek. Pozostaję ja, jako jestestwo i statek jako widmo tego, czym kiedyś był.

Oskar nie istnieje. Został we wszechświecie. Miał się tylko upewnić, że dotrwa do przejścia. Ono już się kończy, więc mógł odejść.

Zostaję wypluty z końca wszechświata.

Złota astronomiczna sylwetka otacza wszystko wokół, tworząc *pozawszechświat*. Jest teraz, chociaż czas rozumiany przeze mnie tutaj nie obowiązuje. Boski dla człowieka byt jest ponad wszelkie opisy. Wydaje się humanoidalny, ale to mój umysł stara się odnaleźć znajome kształty. Jego ogrom przewyższa pojmowanie, stanowi wszystko, co mnie otacza, jest światem, a jednocześnie częścią czegoś jeszcze bardziej monstrualnego. Wydaje się siedzieć, odpoczywać. W jego górnych kończynach, splątanych kosmicznych pasmach wychodzących z potylicy, promieniujących oślepiającą kosmiczną aurą, kurczy się piłeczka, która jest moim wszechświatem. Ugniata go jak zabawkę, bo tym właśnie jest. Wyłącznie zabawką, w której przypadkowo powstało życie. Nieinteligentne, nic nieznaczące. Jego, dojmującego bytu,

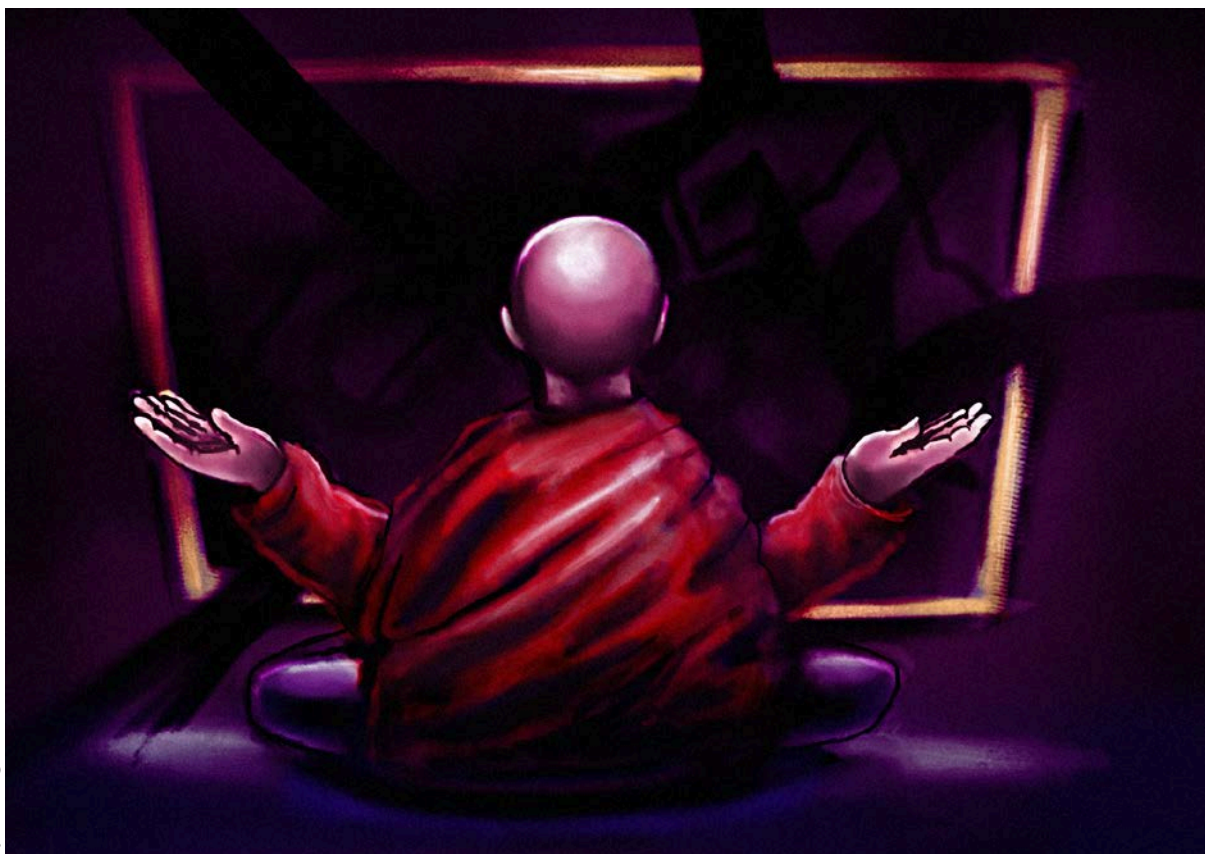


śmiercionośne działanie nie jest złe, rozumiem. On nas nie zabija, nie powoduje gaśnięcia gwiazd, kurczenia się wszechświata. Nie może zniszczyć czegoś, co dla niego nie istnieje. Więc bawi się, nieświadom nawet, że ja go widzę. Kolosalny bóg bawi się, zgniatając piłeczkę, która po milionach lat w końcu zacznie się rozszerzać. Patrzę na ten proces, trwając.

Piłka zostaje zgnieciona. Wydaje mi się, że przez sekundę słyszę znajomą melodię. To pianino, jestem pewien. Aleksandra kiedyś mi mówiła, że zaczęła chodzić na lekcję gry na pianinie, gdy tylko skończyła cztery lata. Pamięć o kobiecie przemija jednak, pamiętam, wiem kim jest. I pustka. Jestem ja. Sam. Tylko ja.

Piłka znika w splątanych pasmach złotych kończyn.

To koniec.



# MISTRZ

Łukasz Krukowski

Mnich z całą powagą zapytał Zhao Zhou: „Czy pies ma Naturę Buddy?”

Zhao Zhou odparł: *mu!*<sup>1</sup>

Urodziłem się w domu, w małej wiosce. Opowiedziałbym o tym, ponieważ w tamtych czasach już prawie nikt się tak nie rodził – ludzie zyskiwali zaufanie do szpitali – jednak nigdy nie opisano mi tego wydarzenia. Nie znałem też historii żadnego z rodziców, wiedziałem jedynie, że z niejasnych przyczyn zdecydowali się wyjechać z dużego miasta i zamieszkać tutaj, na niemal zupełnym odludziu.

---

<sup>1</sup> Pierwszy przypadek z księgi Wumenguan zatytułowany „Zhao Zhou o wrodzonej naturze psa”.

Wokół nie znalazłem żadnych rówieśników. Do pewnego czasu nasz dom był jedynym w promieniu co najmniej kilometra; inne dzieci poznałem dopiero, gdy poszedłem do szkoły. Trafiłem do pięciosobowej klasy, składającej się z dwóch ciężko upośledzonych chłopców, jednej dziewczynki rannej kiedyś w wypadku – nie mogła nawet utrzymać ołówka – i kogoś, kogo imienia zawsze zapominam, ponieważ wkrótce, po najwyżej trzech miesiącach pierwszego roku, przeniósł się gdzieś indziej.

Tylko z nim zdarzało mi się rozmawiać.

Przez niemal całą początkową edukację byłem więc sam; nie wiedziałem nawet, że istnieją ludzie inni od moich rodziców, nauczyciela, dwóch upośledzonych chłopców i niepełnosprawnej dziewczynki. Czasami, ale bardzo rzadko, widywałem także kobietę pracującą w sklepie.

Nasz dom – jak już wspominałem – znajdował się na zupełnym odludziu, jednak zmieniło się to w dniu moich dziewiątych urodzin. Był to dzień wolny od szkoły i pracy, ale nie miałem wtedy pojęcia o tym drugim, bo moi rodzice nie pracowali – domyślałem się jednak, że kiedyś musieli pracować wyjątkowo ciężko i już nie muszą tego robić. Pamiętam, że słońce świeciło niezwykle mocno, a ja siedziałem przy oknie i chciałem spojrzeć wprost w oślepiającą, żółtą gwiazdę. Raz za razem poddawałem się po jednym rzucie oka, ale próbowałem niestrudzenie tak długo, że w końcu nie widziałem już niczego – byłem pewny, że oślepiłem.

To właśnie wtedy usłyszałem ryk silnika, tak rzadki tutaj i przykuwający uwagę. Moi rodzice rzucili się do okna, pamiętam zdziwienie nagłym poruszeniem, jednak jeszcze bardziej zdziwiłem się tym, co stało się na drodze – ogromny samochód zatrzymał się przed domem. Wsiadł z niego wysoki mężczyzna w na oko średnim wieku i nie patrząc na nas, przyciśniętych do szyby, omiół wzrokiem pusty teren po drugiej stronie drogi.

Budowa ruszyła na wiosnę. On jeden – ten nieznany nam człowiek – stawiał wszystko od podstaw. Sam wykopał fundamenty, sam wznosił ściany, sam je później tynkował, a na końcu wstawił okna. Obserwowanie tych niemal codziennych prac stało się jedną z moich głównych rozrywek. Wielokrotnie widziałem go mokrego od potu, bez góry ubrania, jak układał pustak za pustakiem albo machał łopatą z niezwykłym samozaparciem. Już wtedy – gdy miałem dziesięć lat – chciałem być kiedyś taki, jak on. Niemal nierealna była dla mnie praca, którą wykonywał, i widziałem, że mój ojciec również nie do końca wierzy w to, co obserwuje codziennie przez okno. Jak jeden człowiek, zastanawiałem się, może budować tak ogromny dom?

– Jest kimś niezwykłym – rzekł raz ojciec do matki, a ona przytaknęła mu skinieniem głowy. Pierwszy raz słyszałem, by w moim domu powiedziano coś podobnego.

– Niezwykłym? – spytałem, nie rozumiejąc.

– Przekonasz się kiedyś – odparł ojciec. – Wszyscy się przekonamy.

Dom został ukończony na krótko przed moimi dwunastymi urodzinami. Zacząłem wtedy wchodzić w wiek, w którym bardzo trudno jest wytrzymać w izolacji. Nie miałem żadnych kolegów czy znajomych, a zajęcia ograniczały mi się właściwie do pomagania ojcu i patrzenia tępo w okno. Pewnego dnia, a był to dzień wolny od szkoły oraz wyjątkowo gorący i słoneczny, wpadłem na naprawę szalony, jak na mnie, pomysłu.

Mimo że dom wyglądał z zewnątrz na ukończony, nieznajomy zdawał się jeszcze w nim nie mieszkać. Tak jak zawsze – przyjeżdżał rano, wchodził do środka i odjeżdżał po południu. Byłem pewny, że prowadzi prace wykończeniowe, maluje ściany lub coś podobnego. W tamtym czasie – i nieswojo się czuję, gdy o tym pomyślę – w tamtym czasie już od dawna jedynym powodem, dla którego żyłem, była pewność, że kiedyś dowiem się więcej o tym człowieku i o jego domu. Tego dnia, wyjątkowo gorącego, gdy słońce świeciło przez okno wprost w moje oczy, postanowiłem, że wieczorem wymknę się i sprawdzę, co tam jest. Wejść jakoś – za wszelką cenę, mógłbym nawet wybić szybę – i sprawdzę.

Czekałem wiele godzin, ale w końcu samochód odjechał z piskiem opon. Zrozumiałem, że przyszedł mój czas, i aż zadrzałem na myśl o tym, co miałem zamiar zrobić. Stałem na progu domu, gdy ojciec złapał mnie za ramię.

– Dokąd idziesz? – zapytał cicho.

Odwróciłem się, nic nie mówiąc, i spojrzałem mu w oczy, a on puścił moje ramię i wyszedłem na zewnątrz.

– Muszę się przewietrzyć – rzuciłem zza drzwi, ale ojciec wiedział, jakie są moje prawdziwe zamiary.

– Uważaj na siebie – odparł.

Stanąłem na środku drogi, naprzeciw wznoszonego od dwóch lat domu. Był co najmniej o połowę większy od naszego, uwagę zwracały jednak nieproporcjonalnie małe okna. Wzięłem głęboki oddech – powietrze się schłodziło – i przeszedłem na drugą stronę.

Ogromne, drewniane drzwi uchyliły się od lekkiego popchnięcia. W środku panował półmrok. Światło słońca, które świeciło już z zachodniego horyzontu, powinno było mieć ciepły odcień, a jednak, wpadając do środka, zniekształcone przez niezwykle szyby w oknach, przypominało bardziej światło księżycy.

Dom nie miał żadnych pomieszczeń, był ogromną, pustą halą. Na samym środku betonowej podłogi leżała mała, fioletowa mata, i coś w tej macie, w sposobie, w jaki padało na nią światło, sprawiło, że stałem jak sparaliżowany.

Cała moja uwaga skoncentrowała się na jednej myśli – myśli o tym, że nie powinienem był tu przychodzić. Że to miejsce – tak niesamowite w swojej atmosferze – nie jest miejscem dla ludzi podobnych do mnie i dostęp do niego mogą mieć tylko ci, jak powiedział mój ojciec, *niezwykli*.

Paraliż nie ustąpił, gdy usłyszałem dźwięk hamującego samochodu i otwierających się drzwi.

Osoba, która weszła do środka i mnie minęła, mogła być nieznanym budującym ten dom, ale było w niej coś nieludzkiego. Szła wyprostowana, nie spojrzała na mnie ani razu. Drżałem, obserwując jej mechaniczne, niemożliwe ruchy, sposób, w jaki zginały się jej kończyny, gdy przykucnęła nagle i zwinęła matę. Wzięła ją w obie ręce i, gdy skierowała się z powrotem do drzwi, dojrzałem jej oczy.

Nie mogę przypomnieć sobie tych oczu, pamiętam jedynie, że osunąłem się na ziemię. Ocknąłem się później – nikogo już nie było w pobliżu, paraliż ustąpił. Leżałem na progu, czując tylko zimne, nocne powietrze.

Czym prędzej wróciłem do domu, do ojca i matki, którzy nic nie powiedzieli, a i ja milczałem.

\*\*\*

Trzy lata później, gdy regularnie się już goliłem i pomagałem ojcu w najcięższych pracach, usłyszeliśmy nagle, będąc na dworze, opętańczy śmiech. W domu nie mówiło się już o nieznanym, panowała zмова milczenia – matka jedynie, nieostrożna, czasami coś wspomniała, że przyjechał lub odjechał, ale ojciec natychmiast ją za to karcił. Wtedy jednak – słysząc ten przerażający dźwięk – przerwaliśmy obaj pracę i popatrzyliśmy na siebie z trwogą.

Od tamtej pory samochody pełne ludzi zaczęły jeździć tą drogą, wiele osób odwiedzało nieznanego i zdawało się nocować w jego domu. Różni – starzy, młodzi, rozmaitych kolorów skóry i sposobów ubioru. Bałem się o nim myśleć; z tego też powodu nie zastanawiałem się, dlaczego przez pięć lat nie nawiązał z nami żadnego kontaktu i wzajemnie – my nie nawiązaliśmy z nim. Odczuwałem jedynie nieokreślony niepokój, szczególnie

w chwilach, gdy mężczyzna wynurzał się ze środka budynku i odbywał długie, dziwne spacery po swojej posesji.

Osoby lub rzeczy, którą spotkałem tam dawniej, nie wziąłbym nigdy za nieznanego w obecnej postaci. Sposób poruszania się, istota jego natury – wszystko było inne.

W którymś momencie ubiór gości się ujednolicił. Przybrali długie, brązowe szaty, i niemal nie wychodzili z domu nieznanego.

Pewnego dnia, w moim piętnastym roku życia, odważyłem się zadać pytanie w sklepie.

– Przepraszam, czy... od kilku lat... przychodzi tu... pewien mężczyzna?

– Pewien mężczyzna? – Stara właścicielka uśmiechnęła się, nie rozumiejąc.

– Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna.

– Na palcach dwóch dłoni mogę policzyć, kto tu przychodzi, a od czasu wprowadzenia się twoich rodziców nie było nikogo nowego.

– Rozumiem.

Wracając do domu zobaczyłem, że jakiś samochód – furgonetka – wjechał w płot naszej działki. Zacząłem biec, by sprawdzić, co się stało, i z pewnej odległości dojrzałem nieruchome, martwe kształty pod kołami. Wśród krwi i mięsa zdołałem rozpoznać zdeformowaną głowę ojca oraz kawałek poszarpanego ubrania matki.

– Stój! – zawołał ktoś z boku, ale słyszałem go jakby z daleka, nie mogąc zrozumieć tego, co się stało. – Stój...

Czy stało się *cokolwiek*? Mój organizm powinien był reagować, a jednak...

Stanął przede mną wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Wtedy tego nie wiedziałem, ale przywołując wielokrotnie to wspomnienie w myślach, zrozumiałem później, że tłumił uśmiech. Jego twarz, niezwykła, o rysach niepodobnych żadnemu innemu człowiekowi, zbliżyła się do mojej i złożyła propozycję z rodzaju tych, którym się nie odmawia.

– Czy mogę ci pomóc? To zwykły wypadek.

Rodziców pochowano nazajutrz, zniszczony płot uprzątnięto. Przeprowadziłem się na drugą stronę ulicy.

\*\*\*

Sala medytacyjna zajmowała cały budynek, uczniowie siedzieli jednak tylko przy ścianach, twarzami do nich. Ja siedziałem przy ścianie wschodniej, oczy miałem otwarte, w pełnym lotosie mogłem wytrzymać już ponad dobę.

Monitor dotknął mojego ramienia, na znak, że chce mnie uderzyć kijem *kyōsaku*. Po chwili uderzył – siedziałem dalej ze wzmożoną uwagą. Starałem się siedzieć w *shikantaza*, ale właściwie był to mój ostatni dzień takiego siedzenia. Nazajutrz miałem rozpocząć zapytywanie: „Co to jest Mu?”. Z tego powodu wydawało mi się, że jestem nieco rozproszony, przeróżne *makyō* zaprzętały mój umysł i zmysły. Jedno z nich mówiło: dzisiejsze *dokusan* będzie wyjątkowe.

Dzisiejsze *dokusan*, moje pierwsze, pomyślałem, będzie się odbywało w budynku, który przecież kiedyś...

Który kiedyś *był, czym był*. Skarciłem się w myślach. To nie miało znaczenia – przeszłość osunęła się w nicość.

Wstałem, ukloniłem się wszystkim i wyszedłem. Natychmiast zadrzałem, chłodne powietrze przeniknęło przez szatę. Po drugiej stronie ulicy paliły się słabe światła, po jednym w Izbie Mistrza i w Izbie Uczniów. Uczniów było dwóch, a nowicjuszy – dwudziestu czterech. Znałem jednego Ucznia, gdy był nowicjuszem, ale nie widziałem go, od kiedy przeprowadził się do Mistrza.

Nazwy i metody, których używaliśmy my, nowicjusze, pochodziły z tradycji zen. Był to, według Mistrza, dobry wstęp do prawdziwej Nauki.

– Musicie zrozumieć – powiedział do nas któregoś dnia – że nie istnieje zły sposób. Na górę można wbiec, ale można także wejść powoli, z wieloma przystankami po drodze. Każdy człowiek jest inny; wschodnie prawdy powinny jednak przynieść, prędzej czy później, oczekiwany skutek. Mam wielką nadzieję, że większość z was osiągnie Oświecenie.

Wierzyłem w Oświecenie, ale to nie ono utrzymywało mnie przy życiu. Mimo że jedliśmy jeden skromny posiłek dziennie, nigdy nie doznałem uczucia głodu ani pragnienia. Przebywanie w sali medytacyjnej sprawiało, że człowiek żywił się energią wszystkich pozostałych medytujących i ta energia przepływała przez nas, wypełniała cały budynek. Byłem daleki od Oświecenia, praktykowałem dopiero trzy lata, odległość jednak nie przeszkadzała mi w bezpośrednim odczuwaniu ogromu pracy, którą każdego dnia wykonywaliśmy z pozostałymi nowicjuszami. Wiedziałem, że jeśli jest mi to pisane – pewnego dnia się przebudzę.

Stojąc tak i patrząc w noc, przypomniałem sobie słowa Adama w kilka chwil po tym, gdy urzeczywistnił swoją Prawdziwą Naturę.

– Wszystko jest jednym i jedno jest wszystkim – mówił z niezwykłą iskrą w oczach. – Kiedy pytam „Co to jest Mu?”, to nie pytam o nic, ale pytam też o ciebie. Rozumiesz? Czy to rozumiesz?

Nikt, z kim wtedy rozmawiał, nie odpowiedział na żadne pytanie.

– Ach, jakie to piękne! – powtarzał Adam, płacząc. – Każdy z nas ma Umysł Buddy, każdy! Gdybyście mogli to poczuć... Ale możecie przecież! Jesteście od tego o krok! Ach, jakie to...

Czego uczy się teraz? – myślałem. Jak wygląda nauka po Oświeceniu, które przecież uważane jest przez wielu za kres wszelkiej nauki?

Usłyszałem za sobą kroki, a gdy się odwróciłem, zobaczyłem Claudię – jedną z najmłodszych kobiet w naszej wspólnoty.

– Cześć, Erik – powiedziała. – Jak ci poszła dzisiejsza sesja? Ile wytrwałeś?

– Prawie dziewiętnaście godzin. Czy ty także masz dzisiaj *dokusan*?

– Nie, nie jestem jeszcze na tym etapie. Zbyt słabo się koncentruję.

– Od kiedy tu jesteś? Niedługo chyba?

– Wiesz... Od kilkunastu miesięcy. Być może dłużej, ale czas upływa mi bardzo dziwnie. Nie potrafię nawet określić pory roku, w której tu przyjechałam, a już na pewno nie umiem podać precyzyjnej daty.

– Rozumiem.

Powietrze stawało się już lodowate, ledwo mogłem wytrzymać zimno, jednak coś powstrzymało mnie przed powrotem do sali medytacyjnej. Poczułem, jakbym koniecznie musiał tu pozostać, choćby najkrótszą chwilę.

– Posłuchaj, Claudia... – Nie wiedziałem, co się dzieje, ale jakaś siła, której źródła nie potrafiłem określić, popchnęła mnie do zadania tego pytania. – Czy wiesz, czym jest Mu?

– Mu? Nie wiem.

I wtedy, po usłyszeniu jej słów stłumionych podmuchem wiatru, osiągnąłem Oświecenie.

\*\*\*

Czułem się nieswojo, siedząc w poczekalni, ale nie dlatego, że kiedyś, w dawnych czasach, stanowiła korytarz w moim własnym domu. Po prostu nie mogłem się doczekać, by opowiedzieć wszystko Mistrzowi, by podzielić się z nim radością i wyrazić swój podziw oraz wdzięczność. Drżałem na myśl, że zaraz dowie się tego, co może już przeczuwał – że decyzja, by mnie nauczać, była słuszna.

Z pokoju wyszedł roztrzęsiony nowicjusz. Jego twarz wyrażała najwyższe, szaleńcze skupienie, które było konieczne do zrozumienia słów Mistrza. Nadeszła moja kolej.



Zapukałem, wszedłem i ukloniłem się w progu. Po dwóch krokach znów się ukloniłem, a później raz jeszcze, przed samym Mistrzem. Siedział na ziemi w pełnym lotosie i patrzył na mnie uważnie dużymi, starymi już oczami.

– To twoje pierwsze *dokusan*. Czy jest pytanie, które chciałbyś mi zadać?

– Nie. Osiągnąłem Oświecenie.

Początkowo nic się nie stało, ale po chwili Mistrz drgnął nieznacznie. Przez wiele minut nie mówił ani słowa, przewiercał mnie tylko wzrokiem, nie mrugając. Wytrzymałem jego spojrzenie bez trudu – wiedziałem, że jest to konieczne, by zweryfikować moje słowa. Natura musiała zostać poddana próbie – próbie, którą przeszedłem, ponieważ zostałem obdarzony Umysłem Buddy.

– Od dziś – powiedział cicho i usłyszałem dziwne, nienaturalne napięcie w jego głosie – będziesz moim Uczniem.

Wstał i dał mi znak ręką, bym poszedł za nim. Przeszliśmy całą poczekalnię; nie spojrzałem na nikogo ze zdziwionych nowicjuszy. Mistrz poruszał się zupełnie bezgłośnie, mimo że miał na sobie buty – ja, bosy, robiłem większy hałas od niego. Wiedziałem, dokąd idziemy – do największego pokoju w domu. Zdziwiłem się jednak, ponieważ salon był teraz podzielony. Pośrodku postawiono dodatkową ścianę, a na niej zawieszono ogromny obraz. Przedstawiał coś nieokreślonego – czarny, przytłaczający swym ogromem kształt, niezupełnie obły, ale także nie kanciasty. Wydawał się wynurzać z wewnątrz obrazu i przenikać do rzeczywistości; nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. W rogu widniał zamazany tytuł i podpis – „Tsavogel, TL”.

Mistrz usiadł przy ścianie, pod obrazem. Dopiero wtedy ocknąłem się z transu wywołanego przez „Tsavogel” i spostrzegłem ogromną, fioletową matę pod moimi stopami.

– Dysonanse zacząłem słyszeć w drugim dniu – zaczął wolno, patrząc pustym wzrokiem przed siebie, a ja stałem, nie wiedząc, co robić, i przyglądałem mu się w milczeniu. Głos był jedynym dźwiękiem dobiegającym moich uszu. – Początkowo nie rozumiałem ich, pytałem swojego mistrza: „Co robić?”, a on milczał. Niekiedy mówił, że to *makyō*, ale ja byłem pewny, że się myli. Dysonanse były prawdziwe, najbardziej rzeczywiste ze wszystkich wrażeń. Z początku wybrzmiewały z rzadka; później, po tygodniu albo dwóch, słyszałem je nieustannie. Gdy słyszy się czasami jakiś dźwięk, piszczenie w uchu lub coś podobnego, słyszy się go z wnętrza siebie. Dysonanse jednak w oczywisty sposób pochodziły z zewnątrz – ze świata. Świat zdawał się krzyczeć, wydając przy tym ten jazgot, a ja zdawałem się być jego jedynym świadomym odbiorcą. Odnosiłem wrażenie, że dysonanse docierają do każdego, ale nie każdy chce ich doświadczać.

Mistrz umilkł na chwilę; zorientowałem się, że z każdym słowem coraz bardziej drzę.

– Odszedłem z klasztoru i przyjechałem tutaj – kontynuował. – Każdego dnia zmagalem się z dysonansami. Medytowałem, budując ten dom. Nie miałem żadnego planu. Nie wiedziałem, co robić. Moje myśli, mimo tego, że osiągnąłem *satori*, nie mogły mi się podporządkować. Zacząłem rozumieć naturę świata – w istocie, jest on Jednym, i każda istota ma Umysł Buddy, bo wszyscy są tym Umysłem, i tak dalej, i tak dalej. Wiedziałem to od wielu tygodni, a przeczuwałem od wielu lat, jednak w pewnym momencie, podczas budowy, coś – któryś z dysonansów – dotknął mojej świadomości w sposób tak szczególny, że ukląknęłam, a później upadłem na twarz. Doznałem wizji innego wszechświata, który rozciąga się poza tym wszechświatem, i ujrzałem Istotę go wypełniającą – demiurga. Nie czułem już, że jestem całym stworzeniem, tylko ogromny ból i rozpacz – świat nasz jest Jednym, a Jedno jest całym światem, i jesteśmy nieskończenie samotni.

...Nadal słyszałem dysonanse. Wydawało się, że Istota, którą przeczuwałem w kolejnym wszechświecie, jest ich źródłem, jednak, spoglądając przez moment na całe stworzenie, dostrzegłem przerażającą, obezwładniającą prawdę. Dysonanse niosły się przez wszystko – przez całe stworzenie, przez wszystkie wszechświaty.

...Nagle Istota weszła ze mną w relację i powiedziała mi w zakłóconym, jak przez zepsute radio, niewyraźnym przekazie, którego wrzask ledwie dało się wytrzymać, te przerażające słowa:

*...usłyszałem tylko odgłos wiecznej burzy, nad którą nie panuje nikt, a błyszcząca tęcza z zachodu, bez słońca, które ją stworzyło, wisiała nad przepaścią i spływała w nią kroplami. A kiedy spojrzałem w niezmierny świat, szukając boskiego oka, wytrzeszczyło się ono na mnie pustym, bezdennym oczodołem; a wieczność legła na chaosie i szarpała go zębami, i przeżuwała samą siebie...<sup>2</sup>*

...Istota cedziła słowa mechanicznie, tak jak ja mówię teraz, ponieważ jeśli raz usłyszysz ten przekaz, to nie sposób jest o nim zapomnieć. Objawia się on ludziom w snach, ale jeśli nie trenowałeś umysłu i nie osiągnąłeś *satori*, to nie możesz samodzielnie reprezentować tego świata, i od przekazu postradasz wszystkie zmysły albo wyprzesz go ze świadomości i nigdy, nigdy już nie usłyszysz.

– Mistrzu – powiedziałem, gdy spostrzegłem stróżkę krwi wypływającą z jego nosa, ale powstrzymał mnie, unosząc dłoni.

---

<sup>2</sup> Cytat z „Mowy wypowiedzianej przez umarłego Chrystusa ze szczytu kosmicznego gmachu o tym, że nie ma Boga”, autor – Jean Paul, tłumaczenie – Maria Żmigrodzka.

– Posłuchaj – kontynuował – Istota zdradziła mi sposób na ostatecznie uwolnienie, na wyjście poza istnienie, i pomogła mi, chcąc naprawić swój błąd stworzenia. Istota mnie zbawiła.

– Jak? – spytałem drżącym głosem, mimo że wszystko w moim ciele chciało uciekać z tego miejsca i nigdy, nigdy nie wracać.

– Jest to ostatni poziom wtajemniczenia. Pomóż mi, proszę, zdjąć „Tsavogel”.

Mistrz wstał i ustawił się po jednej stronie obrazu, a ja automatycznie przeszedłem na drugą; chwyciliśmy ramę. Ciężar był ogromny, ale udało nam się go poruszyć – ujrzałem, co jest za nim, na ścianie, a raczej tam, gdzie powinna być ściana, i gdy zrozumiałem, na co patrzę, upuściłem obraz, który upadł i się roztrzaskał.

– Mój przyjaciel maluje ich wiele – powiedział Mistrz.

W ścianie ziała ogromna, czarna dziura, a tam, gdzie powinna być druga połowa salonu – tylko hipnotyzująca, koszmarna ciemność. Wpatrywałem się w nią długo, sam nie wiem, być może minął nawet cały dzień, i gdy wzrok mój przyzwyczył się do czerni, gdzieś w głębi dojrzałem kształt Tsavogelu – ogromny i pulsujący.

– Nie – wyszeptałem.

– Jesteś zbawiony, jeśli widzisz obłok. Wystarczy, że tam wejdiesz.

– Nie – powtórzyłem. – Nie chcę. Twój plan jest pomyłką, zbawienie jest iluzją. Przepraszam, ale osiągnąłem Oświecenie, i wiem, że to tylko *ma...*

Mistrz westchnął ciężko.

– Ten świat jest pomyłką – powiedział bardzo cicho, jak gdyby tylko do siebie, i popchnął mnie w pustkę.

Premiera  
8.11.2018



# Fantazmaty

tom II

**20 opowiadań, które poprowadzą Was przez gorące piaski pustyni, chłodne pustkowia, ruiny i lodowate przestrzenie kosmosu.**

Fantazmaty. Tom II to zbiór fantastycznych opowiadań napisanych przez prawdziwie niezwykle, różnorodne grono zarówno debiutujących, jak i doświadczonych pisarzy i pisarek. To entuzjaści science-fiction, fantasy, światów postapokaliptycznych i tych, które dopiero są świadkami początków swoich dziejów.

Każdy z tekstów jest perfekcyjnym, starannie dopracowanym i wartym poznania fantazmatem.

**Pobierz Fantazmaty. Tom II za darmo na:**

[www.fantazmaty.pl](http://www.fantazmaty.pl)





# OPowieść

## O ZŁODZIEJU KOŚCI

Karolina Michałowska-Dzięcioł

Starość, cóż to za nieuleczalna choroba! Starość jest karą za młodość. Za te wszystkie bez troskie chwile, przepelnione śmiechem, witalnością, energią. Za krzywdzenie innych ludzi. *Każdy ma taką starość na jaką sobie zasłużył*, zwykła mawiać babcia Martyny, Eugenia. Osiemdziesięciopięcioletnia staruszka trzymała się nad wyraz dobrze. Uśmiech nie schodził praktycznie nigdy z jej pomarszczonej, ciemnej twarzy. Śmiała się często i z przekonaniem. Wszędzie podróżowała na swoim ukochanym, malutkim i zniszczonym już przez nieubłagalnie pędzący do przodu czas rowerku. Przerażliwy, dokuczliwy pisk jego opon

sygnalizował jej przyjazd. Kolejnym jej dźwiękowym znakiem rozpoznawczym było szeleszczenie wiezionych przez nią papierowych toreb z Biedronki, wywołujących w ten sposób niemalże gęsia skórę.

Czas nie łamał babci Eugenii. Nie łamał także jej kręgosłupa, kości, nie dobierał się do krzyża. Pozostała do końca sobą – – radosną staruszką o miłym uśmiechu i łagodnym usposobieniu. Żwawą i pełną życia. Wszystko zmieniło się jakieś dwa lata później. Z babcią Eugenią zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Przestała wychodzić z domu, po rodzinie krążyły pogłoski, iż zwariowała. Miała tylko jedno dziecko, córkę Emilię. Zmarła ona na raka, pozostawiając jej jedyną i ukochaną wnuczkę Martynę. To właśnie na nią spadł obowiązek sprawowania pieczy nad staruszką. Specjalnie w tym celu wyprowadziła się ze swojej rodzinnej wsi.

Martyna nie traktowała tej wizyty poważnie. Zacierała już dłonie na myśl o mieszkaniu i spadku po majątnej babci. Zgodziła się na przeprowadzkę, podejrzewając, że stan Eugenii jest już na tyle rozpaczliwy, iż nie będzie im dane długo pomieszkać wspólnie. Nastolatka marzyła o hucznym życiu w Warszawie, dalekim od żywota, jakiego doświadczała na wsi. W swojej podróżnej walizce w kolorze czystego błękitu zmieściła wszystkie swoje bluzeczki sięgające pępka oraz króciutkie spódniczki.

Kiedy wysiadła przed blokiem, westchnęła. Nigdy wcześniej nie odwiedzała babci, ani nie miała pojęcia, w jakich warunkach mieszka. To ta żwawa i spragniona kontaktu z rodziną osoba zawsze przyjeżdżała na swoim gruchocie w celu podtrzymania coraz bardziej rozmywających się rodzinnych więzi. Raz chciana, raz nie chciana. Nikt się nigdy specjalnie nie cieszył z tych odwiedzin. Na gościnnym stole lądowały symboliczne ciastka, kanapki i herbata. Padały grzecznościowe, rutynowe pytania o zdrowko, które zależnie od humoru babci Eugenii raz wprawiły ją w złość, innym razem cieszyły. Potrafiła zarówno chwalić się znakomitym jak na swoje lata samopoczuciem, jak i denerwować narzuceniem jej takich tematów. I tak wszystko zawsze zmierzało do jednego. Każdy czekał, aż babcia Eugenia, w podziękowaniu za przyjęcie, wyciągnie ze swojej torebki lekko pożółkłą kopertę, w której znajdowały się niemałe nominały. A wyciągała ją zawsze pod koniec odwiedzin. Potem wsiadała na ten swój rowerek i odjeżdżała.

Nikt się wtedy nie interesował specjalnie czy szczęśliwie dojedzie do domu. Nikt nie dzwonił. *A mówią, że kostucha sprawiedliwa, i dla biednych, i dla bogatych* – miał w zwyczaju komentować babcię ojciec Martyny. Wkurzała go chęć do życia, jaką nadal przejawiała Eugenia. *Swoje się już nażyła, swoje już się nawydawała, trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść* – powtarzał cały czas Martynie. Ta również zaczęła patrzeć na babcię tylko

i wyłącznie przez pryzmat jej pieniędzy. Nie czuła się przez to wcale gorzej. Przecież wszyscy właśnie tak na nią patrzyli! Toteż kiedy babcia zaczęła chorować, a po rodzinie zaczęły krążyć pogłoski o tym, iż gorzej już być nie będzie, każdy zaczął się interesować jej losami. Jednak to Martyna, jako jedyna wnuczka, miała do opieki nad babcią, zwieńczonej otrzymaniem hojnego spadku, największe prawo.

Patrzyła teraz na obskurny blok, w którym mieszkała babcia, i kręciła głową z dezaprobatą. Nie, to zdecydowanie nie było to, czego się spodziewała. Ona, mając tyle pieniędzy, nie kisiłaby się w takim czymś. Niestety zdobycie ich wymagać będzie poświęcenia. Stojąc przed klatką schodową odpaliła cienkiego papierosa, ostentacyjnie zaciągając się dymem. Była ubrana w czarny T-shirt z wizerunkiem Kinga Diamonda, czarne skórzane spodnie, na biodrach miała skórzany pasek najeżony ostrymi kolcami. Blond włosy związała w dwa długie warkocze.

Co jakiś czas do drzwi wejściowych podchodzili inni ludzie. Wpisywali w ślimaczym tempie czterocyfrowy kod, obserwując nieufanie zza ramienia, czy Martyna aby nie patrzy, z jakich cyferek się on składa. Po otwarciu drzwi jak najszybciej zatrzaskiwali je za sobą, żeby dziewczyna nie postanowiła skorzystać z okazji i wbić się nielegalnie do środka. Wszyscy mieszkańcy byli starzy. Lub, jak to ładniej można określić, w sędziwym wieku. *No kurwa zajebicie, współlokatorzy i sąsiedzi jak z marzeń* – pomyślała Martyna.

Kiedy skończyła palić papierosa, rzuciła go niedbale na kostkę brukową, nie dogaszając tłące się jeszcze żaru. Dzwoniła pod numer mieszkania babci Eugenii parę razy, jednak ciągle odpowiadała jej złowroga cisza. Co za szczęście, że знаła kod! Po wpisaniu go i wejściu do środka czekały ją strome, wysokie i niewygodne schody. Martyna nie należała do ludzi uwielbiających jakąkolwiek aktywność fizyczną. Sapała, chrząkała z niezadowoleniem, aż w końcu znalazła się na dziesiątym piętrze. Dzwoniła parę razy, ale kiedy ponownie nie uzyskała żadnej odpowiedzi, popchnęła z całej siły drzwi i weszła do środka. Uderzył ją w nozdrza niesamowity smród. Zapach starości, połączony ze stęchlizną i intensywnym, kilkudniowym potem. W małym przedsiionku dało się wyczuć fekalia. Zawiniły uchylone lekko drzwiczki od toalety. Martyna szybko zlokalizowała źródło tego koszmaru i szybciotko zamknęła je szczelnie.

– Babciu jestem! – krzyknęła, fałszywie zadowolonym i uprzejmym tonem, kiedy już udało jej się opanować pierwotny odruch wymiotny, jaki zaatakował ją przy wejściu do mieszkania. Odpowiedziała jej cisza. Ściągnęła swoje toporne glany, powiesiła na drewnianym wieszaku wiosenny, czarny płaszcz. Uchyliła kolejne drzwi i ujrzała malutką, zgarbioną i sztywną postać, siedzącą w bezruchu na bujanym foteliku. Wyglądała jakby spała.

Martyna zrobiła delikatny krok do tyłu, gdy nagle poczuła okropny, przesywający ból w kostce i głośne chrupnięcie. Krzyknęła boleśnie i zaczęła wykonywać gwałtowne, nieskoordynowane ruchy. Niestety, nie mogła ruszyć prawą nogą. Była unieruchomiona. Martyna zaczęła szlochać i kłać pod nosem.

*Kurwa. Pułapka na myszy.* Staruszka zostawiła ją niemalże przy wejściu do pokoju. Dziewczyna wlaźła prosto w nią, prawą nogą. Metalowe, brzęczące ustrojstwo zacisnęło się boleśnie na jej kostce i raniło delikatną skórę, znajdującą się pod skórzanym materiałem spodni. Martyna starała się opanować szlochanie, pochyliła się, aby podwinąć prawą nogawkę. Fuj. Na ciele pojawiła się krwawa, nierówna, kilkucentymetrowa rana. *Nawet na bardziej nowoczesną pułapkę na myszy, żałuje starucha!* – pomyślała, zgorszona. Podjęła cichutkie i bezskuteczne próby uwolnienia nogi z ucisku żelaznej pułapki. Niestety, zacisnęła się ona na kostce jak kajdanki. Każda próba poradzenia sobie z problemem w sposób siłowy stawała się źródłem jeszcze większego bólu. *Pierdolona chujoza, chujoza, chujoza!* – krzyknęła rozpaczliwie Martyna, a stróżka zimnego potu popłynęła jej ze skóry głowy, zatrzymując się na policzku. W tym momencie głowa staruszki, obrócona na lewy bok, jak do spania, w mgnieniu oka odwróciła się w stronę dziewczyny. Oczy babci Eugenii były szeroko otwarte, niemalże wytrzeszczone. Staruszka wyglądała jak istota niespełna rozumu. Ciężki gul podszedł Martynie do gardła.— Witaj, kochanie! – Mimika twarzy babci Eugenii zmieniła się błyskawicznie w momencie rozpoznania wnuczki. – Nareszcie jesteś! Czekałam na ciebie! – No jestem, jestem – warknęła niechętnie Martyna, ocierając dłońią policzek z potu. – Tylko chciałam tutaj do babci wejść i... weszłam w coś... – Dziewczyna wymownie wskazała w dół, na uwięzioną kostkę. – A no tak, a no tak. – Twarz staruszki wykrzywiła się w złośliwym, pełnym satysfakcji uśmiechu, co tylko rozzłościło Martynę. – Widzisz, kochanie, czekałam tutaj na ciebie, ale ludziom w starszym wieku zdarza się czasami niespodziewanie przymknąć oko, zdarzyło się i mi... Musiałam zostawić jakąś pułapkę w razie gdyby coś zaatakowało mnie podczas snu.– Tak, tak, na przykład ja albo jakaś malutka mysz – warknęła Martyna, podejmując ostatnią i demonstracyjną próbę poradzenia sobie z żelastwem. Oczywiście zakończoną niepowodzeniem.– Poczekaj, kochaniutka, ja mam kluczyk od tego zatrzasku... mam go... gdzieś. – Babcia Eugenia zaczęła nerwowo rozglądać się po swoim zagraconym sprzętami w stylu retro pokoju i drapać się wymownie po głowie. *Kurwa, no pięknie, pięknie po prostu* – pomyślała Martyna.



Uwolnienie jej nogi zajęło obu Paniom jakąś godzinę. Przez ten czas babcia Eugenia przeszukiwała wszystkie zakurzone kąty, otwierała każdą szufladę, szafkę, sprawdzała każdy zakamarek. Martyna przez ten czas stała nieruchomo na środku pokoju, z twarzą pokrytą purpurą, ostentacyjnie wywracając oczami. Jak dobrze, że babci Eugenii pogarsza się wzrok. I że nie może również dostrzec tego, czym pokrytą ma facjatę King Diamond, widniejący na koszulce Martyny.

W końcu babcia odnalazła kluczyk w kieszonce fartuszka kuchennego i za jego pomocą uwolniła, zbolałą i zeszywniałą kostkę swojej wnuczki. Po szczęśliwym zakończeniu tego feralnego wydarzenia staruszka przystąpiła do parzenia herbaty, zapraszając Martynę do rozpakowania swoich rzeczy w pokoju obok, na co ta ochoczo przystała. Każda chwila zapewniająca jej intymność i spokój od Eugenie wydawała się być na wagę złota.

Dziewczyna weszła do małego, wąziutkiego pokoiku i po raz kolejny nie potrafiła ukryć zniesmaczenia. Był urządzonej jak cały dom, w kiczowatym stylu. Łóżko było stare, jednoosobowe, zaścielone w sposób niechlujny, dywan – kolorowy, w pstrokate wzorki, pokryty powłoką szarego kurzu i niezidentyfikowanego włosia. Ściany były również pomalowane na kolorowo, ze schodzącą z nich farbą. Wisiał na nich dywan w czerwone maki. Martyna podeszła do mahoniowej szafy i przystąpiła do opróżniania jej z babciowej pościeli, piżamy i przeróżnych serwetek. O dziwo miejsca było dość sporo. Dziewczyna z zadowoleniem stwierdziła, iż nie ma potrzeby martwić się o zmieszczenie w niej swoich modnych ciuchów i dodatków. Oprócz licznej garderoby przywiozła przecież ze sobą również mnóstwo naćwiekowanych pasków, bransoletek i wisiorów. Zabrała też połyskującą, żelazną zawieszkę do glanów.

Podczas przepakowywania, sięgania w najdalsze kąty szafy i wyciągania z nich ogromnych pęków kurzu i włosów, poczuła coś dziwnego i twardego. Zimny w dotyku i długi przedmiot. Zaskoczona, chwyciła go i powolutku wyciągnęła. Zamarła z przerażenia. To była kość. Długa, wielka i zimna niczym trup. Do złudzenia przypominała kość ludzką. Martyna zaniemówiła, ale po chwili otrząsnęła się ostatecznie z szoku. Babcia ostatnimi czasy znana była w całej rodzinie ze swoich starczych dziwactw. Od zawsze uwielbiała kurczaki. Za czasów jej młodości, przyrządzane na różne sposoby, były jej popisowym daniem. Z wiekiem nie przeszło jej to gastronomiczne zamiłowanie. Ojciec opowiadał Martynie liczne historie – jak babcia zaczęła obchodzić się z resztkami wcześniej przyrządzonego przez siebie posiłku. Po starannym obgryzieniu kości kurczaka i wyssaniu z nich namiętne szpiku chomikowała kości w różnych miejscach w domu. Co prawda kość, jaką znalazła Martyna, w niczym nie przypominała kości kurczaka, jednak napięcie z buńczucznej nastolatki momentalnie zeszło.

Obrzydliwa sprawa. Tak samo jak obrzydliwa jest starość. Dziewczyna wrzuciła z pogardą, niedbale kość do szafki, tam, gdzie została znaleziona, i zamknęła ją. Tutaj nie będzie umieszczać ubrań. Musi przeszukać dokładnie cały ten mebel, zanim cokolwiek zdecyduje się w nim położyć. Może być przecież więcej tych ohydnych kości. Z rozważań wybił ją głos babci, sugerujący, iż herbata już czeka na gościnnym stole. Czyli na Martynę czeka najgorsze z możliwych zadań, konwersacja ze staruszką. Westchnęła nieszczęśliwie, przypatrując się swoim dłoniom, w których wcześniej trzymała kość.– Zaraz przyjdę babciu, muszę najpierw umyć ręce – krzyknęła.

\*\*\*

Wieczór upłynął Martynie pod znakiem rozmów o zdrowiu i lekach, jakie bierze babcia. A było o czym rozmawiać. O posiadanej przez nią ogromnej apteczce mógł pomarzyć niejeden schorowany poważnie człowiek. *Ma pieniądze, to ma i na leki* – pomyślała zgryźliwie Martyna. Siedziały obydwie przy mahoniowym stoliku, w otoczeniu wszechobecnego kiczu, bezguścia i syfu. Tak, Martyna będzie musiała tutaj sprzątać. Obiecała sprzątać, pomagać i doglądać chorej babci. A przez ten czas także studiować. Prawo, którego w ogóle nie rozumiała, a na które wysłał ją ambitny ojciec. Prawo, czymże jest niby prawo... Gdyby Martyna mogła na to pytanie odpowiedzieć szczerze i samodzielnie, zacytowałaby utwór Kata „Bastard”: *Kocham ciemność, kocham noc, pluje na prawo, bo kocham wolność!*. Tak dokładnie Martyna widziała prawo. Jeśli prawo ma prawo do tego, aby istnieć, w takim razie Martynie przysługuje prawo, aby owo prawo pierdolić. I to olbrzymim kutasem, z brakiem poślizgu.

Martyna dokładnie przyglądała się babci Eugenii. Te namiętne i uważne obserwacje sprawiły, że odetchnęła z ulgą. To już nie jest ta sama, krzykliwa babcia Eugenia. Już niedługo. Miała okropnie pomarszczone, zasuszone dłonie, z wyraźnie zarysowanym układem krwionośnym. Te żyły były do tego stopnia uwydatnione, iż Martyna zaczęła się zastanawiać, czy to normalne. Staruszka ledwie mówiła, usilnie i łapczywie zasysając powietrze, aby mieć szansę opowiedzenia więcej. Poza jej bolączkami nic już nie było ważne. Chodziła z trudem, podpierając się dwoma łaskami. Jedynie szaleńczy uśmiech od czasu do czasu gościł na jej wychudzonej, zmizerowanej twarzy. Wyglądała jak opalony na heban upiór. Była mieszaniną szpetnych cieni i brzydkich rysów.

Martyna kurtuazyjnie spędziła na rozmowie z babcią jakieś pół godziny. Przez ten czas wypila niedobłą, rozwodnioną herbatę i zjadła szcerstwiałą, twardą jak kamień babciną

szarlotkę. Miała ochotę na to, by uszczknąć znajdującego się koło niej na półmisku sernika, jednak jego wygląd wskazywał raczej na to, iż jest w stanie znacznie bardziej agonalnym niż szarlotka. Podziękowała więc za przyjęcie i wspólną wieczerzę. Umyła się w malutkiej toalecie, w lodowato zimnej wodzie. Z odrazą zauważyła, że w kubeczku nie ma szczoteczki babci, zaś na umywalce leży dumnie jej sztuczna szczęka. Pożółkła, brudna i śmierdząca. Martynę przeszedł dreszcz obrzydzenia. Przebrała się w swoje czarne, krótkie szorty i koszulkę z potworem Frankensteina, służącą jej do spania. Pierwotnie planowała pochwalić się na swoich kontach na portalach społecznościowych zmianą tymczasowego miejsca zamieszkania, lecz krótki wieczór spędzony tutaj zdążył jej uświadomić, że przecież nie ma czym. Nie chciała również rozmawiać ani ze swoim chłopakiem, ani z przyjaciółmi. Przeróżne nieciekawe wonie, docierające do niej z różnych części domu i pokoju, zbyt uciążliwie mieszały jej w głowie. Otworzyła malutkie okno na oścież i położyła się do łóżka, stwierdzając, że w swej funkcjonalności jest ono wprost proporcjonalne do wyglądu. Stare, niewygodne. Z każdym odwróceniem na bok skrzypiało, twarde deski wbijały się Martynie w krzyż. Jedynie ciemność i cisza kołły dziewczynie nerwy. Nagle usłyszała delikatny stukot laski pod drzwiami swojego pokoju, które po chwili otworzyły się z hukiem na całą szerokość. – Śpisz? – zapytała troskliwie babcia Eugenia.– Śpię... – odpowiedziała nieprzychylnym, rozdrażnionym tonem Martyna– To uważaj kochanie na swoje kości – rzuciła staruszka, po czym nieśpiesznie oddaliła się w swoją stronę.*Dziwaczka stara* – pomyślała z odrazą Martyna. I zasnęła.

\*\*\*

Głośny śmiech dziecka rozbudził Martynę. Był środek nocy. Mogłaby przysiąc, że ktoś wcześniej próbował ściągnąć z niej kołdrę. Mogłaby. Tyle że Martyna nie jest debilką i głowę ma zdrową. Jednak pomimo przebudzenia dziecięcy śmiech był doskonale słyszalny. Dochodził z przedpokoju lub z pokoju babci. Pewnie nie może zasnąć, jak to starzy ludzie, i postanowiła włączyć telewizor. Jako że nie słyszy dobrze, to na cały regulator. A może usnęła podczas oglądania? Martyna nieśpiesznie wstała z łóżka. Wyłączy babce ten durny telewizor, niech lepiej nie marnuje na multimedia pieniędzy, które powinna dostać ona. Podchodząc do drzwi, zobaczyła w szybie coś dziwnego. Coś jakby cień małego dziecka, biegnącego z rozbawieniem po korytarzu. Odsunęła się ostrożnie, jednak gdy upewniła się, że tajemniczy cień zniknął, a śmiech jest słyszalny z pokoju Eugenii, odważyła się uchylić lekko drzwi. Słyszała niewyraźne rozmowy. Jeden z głosów należał z pewnością do babki,

drugi zaś do... jakby małej dziewczynki. Martyna podeszła kilka kroków bliżej i zatrzymała się, nastawiając uważnie ucho. To, co usłyszała, zdziwiło ją i przstraszyło. Dźwięk jakby trzaskanych, pękających kości. I górujący nad tym upiornym spektaklem śmiech dziecka. – Malutka, już już, starczy... – jęczała boleśnie babka. Odpowiedział jej dziwny, zwierzęcy chichot i ponowne wyraźne trzaśnięcie. Babcia krzyknęła z bólu. – Malutka, no już, starczy na dzisiaj, no, już mnie bolą te kości, jestem już stara – błagała lęklwym, łamiącym się głosem Eugenia. Istota, która ją torturowała, była jednak nieuległa. Nie mówiła nic, nie wydawała żadnych dźwięków poza delikatnym, dźwięcznym chichotem. Babka jęczała, krzyczała, a obrzydliwe trzaski i odgłosy łamania wypełniały powietrze. W pewnym momencie skończyły się. Nastąpiła cisza, podczas której Martyna mogła wychwycić jedynie ciche łkanie babki. Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć, ale kiedy usłyszała tupot małych, dziecięcych nóżek, szybko wycofała się, domknęła drzwi i wskoczyła pośpiesznie do łóżka, zakrywając całą siebie, wraz z twarzą, kołdrą. Tupot był słyszalny w przedśionku, nagle rozległ się odgłos otwieranych i zamykanych z powrotem drzwi. Martynie serce waliło jak oszalałe. Chciała wyjść i rozejrzeć się po korytarzu lub wejść do pokoju babki, ale odwaga, którą zawsze uważała za swoją cechę wiodącą, jakby gdzieś bezpowrotnie uleciała. Przysłuchiwała się płaczom staruszki przez całą noc.

\*\*\*

Martyna nie spała. Cały czas zastanawiała się, jak nazywał się horror, który wczorajszej nocy oglądała babka. Leżała do szóstej nad ranem, następnie wstała i ubrała się w pokój. Otworzyła delikatnie drzwi. Do jej nozdrzy doleciał zapach spalonego sera i jajek. Ach, tak. Babka robi jajecznice. Ale to przecież Martyna miała babce gotować. No trudno. Dobrze, że nie robi kurczaków, zawsze mogło być gorzej. Bo Martyna nawet kurczaków nie potrafiła dobrze przyrządzić. Najchętniej wrzuciłaby całą nagą tuszę z Carrfeura na patelnię. – Dzień dobry, kochanie! – rzuciła radośnie babka, gdy Martyna pojawiła się w kuchni. – Jak tam Twoje kości? – Nie najlepiej. – Martyna spróbowała przyjąć ekstremalnie wyprostowaną postawę ciała. – To babci łóżko jest straszliwie nie wygodne, boli mnie po tej nocy cały krzyż. – Mnie strasznie bolą kości. – Babcia Eugenia uśmiechnęła się pod nosem, przewracając łopatką żółtą breję, znajdującą się na patelni. – Starość nie radość, boli wszystko, ale mimo wszystko najbardziej kości

Martyna pokiwała wolniutko głową na znak przyjęcia tej kwestii do wiadomości. Była niewyspana. Jakieś dziwne rzeczy działy się wczorajszej nocy. Spojrzała na nieustannie

mieszana przez babcię cuchnącą papkę – Babciu, ta jajecznicza to chyba już... – wyjąkała niepewnie.– Ach tak, tak – zaśmiała się staruszka. – Już podaję. Wybacz. To starość. Czasami zapominam, że coś robię nawet w chwili robienia. Dobrze, że nigdy nie zapominam o swoich kościach.

Martyna olewała te babcine bezsensowne teksty. Ludzie starsi pierdzielą głupoty. Mają pierdolca zwłaszcza na punkcie własnego zdrowia. Ta seniorka ma akurat fazę na kości. *Ale no kurwa! Czy ja tutaj muszę ciągle słuchać o kościach?!* – pomyślała Martyna. Siedziały naprzeciwko siebie i jadły w skupieniu jajecznicę. A może raczej, to babcia jadła. Martyna z trudem kierowała każdy kęs jajeczniczy do przelęku. Była mdła, ale soli nie było nigdzie. Ser był przypalony, a kiełbasa, znajdująca się w niej, wyraźnie stara.– Uważaj, kochanie – przerwała ciszę babcia tonem skupienia. – Uważaj, bo mogą być w niej kości. – Co????!! – wykrzyknęła Martyna. Kości, kości, wszędzie kości. To było jakieś szaleństwo. – Przecież w jajeczniczy nie ma kości, babciu – odrzekła. Przez chwilę w jej głowie pojawiła się obrzydliwa wizja, iż ta jebnięta starucha mogła dodać swoje chowane po domu kości do jajeczniczy. – Nie ma, bo nie powinno być, ale mogą być – odpowiedziała ze śmiertelną powagą. – Kości są wszędzie, ja już tracę nad tym powoli panowanie. – Zdezorientowana, upuściła widelec na ziemię. Martyna podała go z powrotem błyskawicznie. Jeden dobry uczynek jeszcze nigdy nie zaszkodził nikomu.– A skąd babciu w takim razie tyle tych kości? – zapytała zjadliwie wnuczka. No tak, rozmowa jak z dzieckiem. Czyli jesteśmy dziećmi nie jeden, lecz dwa razy w życiu. – Ze mnie, z innych ludzi, twoich jeszcze nie ma... – odrzekła staruszka, wgapiając się namiętnie w blat stołu. Martyna poczuła, jak zaczynają trząść jej się ręce. Nie powinna była zamieszkać z tak starym człowiekiem. To nie na jej nerwy. Oni gadają głupoty, bo taki już ich los, a normalni ludzie biorą to do siebie i się przerażają. – Ja swoje kości, babciu, to mam tutaj. – Martyna wskazała na swoją prawą dłoń i zacisnęła w pięść. – Tu mam swoje kości, a babcia ma na przykład Tu... – Coś uderzyło w Martynę z niespotykaną jej wcześniej mocą. Babcia miała na sobie długą, fioletową spódnicę. Dziewczyna chciała wskazać palcem na odsłoniętą nogę Eugenii. Jednak ta wyglądała jak złamana wpół. Jej dolna część składała się wyłącznie z pomarszczonej, wiotkiej i wiszącej skóry. – Dobrze, kochanie, dobrze, ja tutaj mam kość – odrzekła radosnym głosem babcia, pokazując zszokowanej Martynie wygiętego w prawą stronę kikuta, pokrytego fałdzistą skórą. – Jeszcze ją mam, tylko teraz jest troszkę inna!

Martyna poczuła, jak zalewa ją pot. Ten widok był najokropniejszym, czego doświadczyła w całym swoim życiu. Co to za choroba? Jak to się stało? Łzy zaczęły cisnąć jej się do oczu, miała ochotę krzyknąć.– Nie płacz, wnusiu – odparła czule Eugenia. – Niedługo

w ogóle stanę się inna. Brak własnych kości nie oznacza śmierci, zawsze można je zamienić innymi.

Dla Martyny tego już było zbyt wiele. Nie mogła dłużej powstrzymać łez. – Muszę zadzwonić na pogotowie, babciu, coś się z tobą dzieje – wybąkała, nie przestając płakać. – Nie, nie możesz dzwonić na pogotowie. Oni nic nie poradzą. Poza tym mogą się mnie pytać, skąd mam w sobie czyjeś kości! – Babcia wskazała palcem na drobniutkie kostki, porzucane pod bocznym kaloryferem. Martyna dopiero teraz je zauważyła. – To są kości jakiegoś noworodka, przyniesione aż z Wrocławia. A te obok to kości kota. Te ostatnie są dla Ciebie. – Jak to dla mnie?! – krzyknęła Martyna. – Jakie kości dla mnie, babciu, o czym ty mówisz?! – Ona poprosiła mnie o nowe kości. – Na twarzy Eugonii malowało się cyniczne wyrachowanie. – Moje już są stare, nie nadają się do dobrej zabawy i przestawiania z miejsca na miejsce – westchnęła. – Ile może takie małe dziecko bawić się takimi kośćmi? Niedługo umrę, a im bliżej mi do śmierci, tym mniej jest zabawy ze mną. – Więc po to tu jestem, aby ktoś się bawił moimi kośćmi? – zapytała pewnym głosem Martyna, czując, jak z minuty na minutę odzyskuje grunt pod nogami i spokój ducha. To stara wariatka. Ewidentnie jej się coś stało, nie tylko z główką. Jakaś dziwna choroba, skóry czy kości, której Martyna nie zna. Ale są przecież takie przeróżne, dziwne choroby, atakujące ludzi na starość. I też wyglądają tak obrzydliwie. Im szybciej babcia umrze tym lepiej. Niech jej przestawiają się te ukochane kości. I tak nie wygląda, jakby cierpiała z tego powodu fizycznie. – Dzisiaj dostaniesz te kości kota. – Babcia wskazała palcem. – Wyjmie ci na początek z lewej nogi i umieści te. Nie bój się tylko niczego, kochana wnusiu. Wiadomo, najlepiej żeby wymieniła ci je na ludzkie. Ale ja w życiu miałam już w sobie różne, po wielu zwierzętach. Po psach, kozach, koniach. Ona kolekcjonuje te kości, zbiera sobie wszystkie i robi różne śmieszne rzeczy, ale mnie już z wiekiem coraz więcej przestaje na tym świecie śmieszyć... – powiedziała teatralnie zbolalym głosem. – Jestem już stara. Starość nie jest w ogóle śmieszna.

Wstała, odeszła od stołu i ułożyła się w na kanapie, przed telewizorem. Martyna odprowadziła ją wzrokiem. Nie mogła przestać obserwować nogi z przemieszczoną kością. Dziwny jest ten świat. – Czy mogłabyś, kochanie, włączyć mi Polsat? – zagadała babcia. – Zaraz się mój serial zaczyna, jestem ciekawa, czy w końcu odratują tą Bożenkę w tym szpitalu, czy nie.

Martyna bez słowa podeszła i włączyła telewizor. Staruszka mruknęła z zadowoleniem, gdy w pierwszym kadrze, jaki pojawił się na ekranie, ukazała się podstarzała kobieta, leżąca w czepku i pod kroplówką w szpitalu. Martyna wyszła z mieszkania. Nie powinna zostawiać babki samej, ale robi to tylko na chwilę. Chociaż chwileczka spokoju od

tematu kości. Przewietrzyła się przez ten czas, przespacerowała, zapaliła papierosa. Zadzwoniła do znajomych i ojca, okłamując ich, że wszystko jest w porządku. Dopiero jak ten koszmar się skończy, opowie wszystkim o fazie, jaka włączyła się całkiem konkretnej kiedyś babce. Przeszedł koło Martyny rudy kot. *Może to Ty zostaniesz dzisiaj dawcą moich kości?* – zaśmiała się w duchu. Wieczór minął całkiem spokojnie, babka spała na przemian z oglądaniem telewizji i nic już nie mówiła dziwnego. Martyna jednak postanowiła, że dowie się w końcu całej prawdy

\*\*\*

Całą noc siedziała na czatach. Po upewnieniu się, że babka zasnęła na swoim bujanym fotelu, wróciła do własnego pokoju. Czekwała. Skoro poprzedniej nocy usłyszała, jak ktoś wchodzi i wychodzi przez drzwi, teraz również będzie musiał jakoś się do domu dostać. Martyna własnoręcznie zamknęła i zakneblowała drzwi wyjściowe. Jeśli babka nie zwariowała do końca, ktoś musi mieć klucze. Martyna, tyle czasu wisiała na klamce od pokojowych drzwi, aż w końcu, pomimo walki, usnęła. Poprzednia, nieprzespana noc, doszła do głosu.

Obudził ją dźwięk przekręcanego zamka i otwieranych drzwi wyjściowych. A więc to prawda. Ktoś tutaj wchodzi, ma czym otworzyć drzwi. Martyna początkowo miała podejrzenie, co się dzieje, lecz strach sparaliżował ją całkowicie, kiedy ponownie usłyszała te dziecięce niewinne chichoty i głośny tupot małych stópek, biegnących po raz kolejny do pokoju babki. Coś głęboko schowanego w jej sercu nakazywało jej wstać i biec staruszce na ratunek. Nie mogła jednak pozwolić, by zastawiono pułapkę na nie obydwie. Sięgnęła po telefon komórkowy i szybko wybrała numer na policję.– Ktoś jest u mojej babci w domu, ktoś obcy – wyszeptła cichutko, po czym rzuciła telefon na łóżko. Nie dokończyła wzywania pomocy, nie podała adresu. Bała się o staruszkę. Tym razem nie słyszała jęków ani krzyków. Żadnych odgłosów tortur. Nie mogła jednak czekać na najgorsze. Sięgnęła po długi, ostry nóż, który przyniosła specjalnie wcześniej i schowała w pościeli. Wyszła i skierowała się do pokoju babci Eugenii. Stawiała powolne, cichutkie kroki. Zdębiała, kiedy spostrzegła na drodze prowadzącej od drzwi małe kostki i chrząstki, oraz śladowe ilości krwi. Zaczęła podążać drogą wyznaczoną przez nie, która zaprowadziła ją pod drzwi sypialni. Martyna nie wiedziała, czy dobrze robi, ale z hukiem otworzyła je i z impetem wtargnęła do środka. Zobaczyła coś niewyobrażalnego. Babka siedziała na ziemi, w rozkroku, ukazującym jej wielkie, bawełniane majty w kolorze przybrudzonej bieli. Zawzięcie i z zapalem grzebała

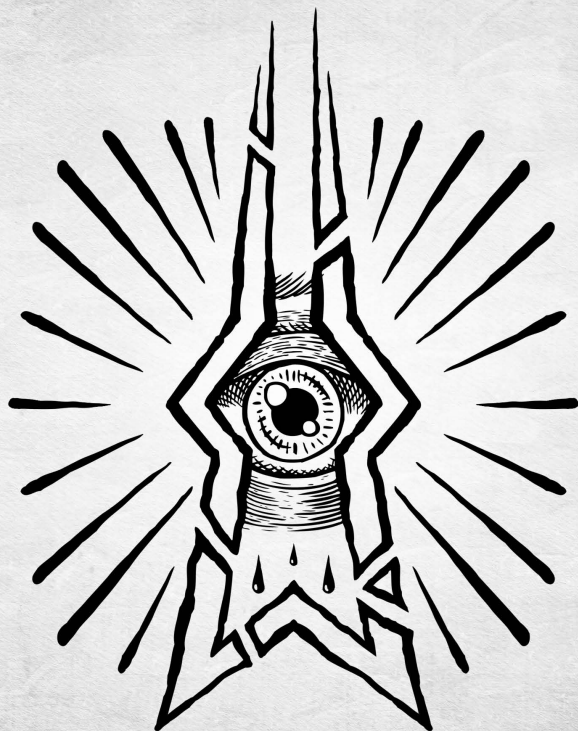
w ogromnym czarnym worze, z którego wylatywały liczne, ludzkie kości. Obok worka stały rozmaite kleje w tubach. Na ziemi obok babki siedział, uśmiechając się złowieszczo, niedokończony kościotrup. Model ludzkiej anatomii kostnej. Nieproporcjonalny i dziwaczny. Babka składała go, nucąc jakąś starą pieśń, przykładając pojedyncze elementy, wyjmowane z worka. Martynie zachciało się rzygać, zrobiła krok do tyłu. Babka spojrzała się na nią i westchnęła.– Rozumiem twoje zdziwienie, ale jesteś zbyt młoda, aby to zrozumieć... Rodzina na zawsze powinna być razem...

Do Martyny nic nie docierało. Jej głowa, jej umysł, zszokowany, nie był w stanie połączyć logicznie żadnych informacji.– Widzisz, wnusiu, tę czaszkę? – Babcia Eugenia wskazała palcem głowę kościotrupa. – To czaszka Twojej matki. Miała wyjątkowo piękną czaszkę i twarz. Najpiękniejszą z naszej rodziny. Kręgosłup jest po dziadku Kaziu, on miał bardzo sztywny kręgosłup moralny, ręce są po moich rodzicach, a twoich pradziadkach, oni mieli zawsze pod górkę, musieli ciężko pracować swymi dłońmi. A nogi...

Martyna z przerażeniem spojrzała się instynktownie na swoje nogi i zaczęła drżeć. Poziom adrenaliny podniósł się jej do maksimum. Babka podniosła wzrok, przerywając swoją pracę.– Cóż... brakuje mi odpowiednich, rodzinnych kości, pomyślałam o twoich...



rys. Dawid Boldys



# PIWNICA NA NAJWYŻSZYM WZGÓRZU

Dawid Kain

Dziś w nocy umarło mi dziecko. Już trzecie w tym tygodniu. Trzecie i nie ostatnie. Chyba nie umiem być dobrą matką. Może po prostu jestem za młoda. Może tacy jak ja nie powinni brać się wcale za typowo ludzkie sprawy. Ale to nie znaczy, że nie warto próbować. *Sacrum plus profanum* równa się niewiadoma.

Klikam ikonkę.

STWÓRZ NOWE DZIECKO.

Wybieram kolor skóry i oczu, i płeć, i wagę, i całą resztę.

Zaznaczam opcję „Bez upośledzeń/zerowy stopień kalectwa”. Wybieram najprostszą drogę, ale przecież jestem początkująca, a tamte ustawienia są przeznaczone dla najbardziej zaawansowanych graczy, którzy poradzą sobie z takimi przeszkodami, jak Zespół Downa,

wodogłowie, progeria czy na przykład brak kończyn. Głęboko wierzę, że za parę miesięcy i ja stanę się uzdolnionym rodzicem, muszę tylko dużo ćwiczyć i się nie poddawać.

Jedna z maminych rad brzmi: nie poddawać się, choćby nie wiadomo co się działo. A Mama ma zawsze rację. Ona sama kiedyś w ogóle nie mogła mieć dzieci, dopóki dobry Pan Bóg nie pobłogosławił jej mną, ukochanym aniołeczkiem zesłanym z samego Nieba. Wytrwałość i wiara są najważniejsze. Będę więc próbowała do skutku, aż moje maleństwo wyrośnie na silnego mężczyznę bądź roztrofną kobietę. Kto wie, może wtedy będę już wystarczająco biegła, by móc wychować na ludzi nawet niewidomy korpusik?

Klikam ikonkę.

**RÓDŹ TERAZ!**

Przez trzydzieści sekund komputer przetwarza wprowadzone dane. Czas mi się dłuży. Liczę te sekundy, raz, dwa, trzy, cztery i tak dalej, żeby moja głowa działała równie dobrze, jak maszyna.

Muszę być zajęta. Nie mogę myśleć o tym, co zobaczyłam wczoraj wieczorem, przez dziurkę od klucza zerkając w telewizyjny ekran.

W końcu gra wypływa na ekran kolejne dziecko. Alleluja! Noworodek jest prześliczny, wygląda identycznie jak ten, który zmarł mi w nocy, może to jest nawet ten sam, zmartwychwstał jak Jezus albo Łazarz. Od razu zaczyna wrzeszczeć, więc szybkim ruchem myszki przyciągam do jego ust wirtualną pierś i pozwalam maleństwu ssać ją przez dokładnie minutę, którą też odliczam w myślach sekunda po sekundzie. Zanim dojdzie do kataklizmu, zakładam dzieciątku pieluszkę.

**PIERWSZY ETAP ZAKOŃCZONY!**

Trochę się cieszę, ale tylko troszeczkę, bo to nie jest wielkie osiągnięcie. Tylko raz mi się zdarzyło, że przegrałam dziecko już na samym początku, niechcący zrzucając je z łóżeczka przy karmieniu. Bam! Czerwona plama na białej podłodze. Obrzydliwa! Nie powinno się mówić „obrzydliwa”, to był w końcu ślad po moim potomku, ale za ładne to nie było. Z głośników popłynął szatański rechot i przestraszyłam się tak bardzo, bardzo, bardzo, że aż wskoczyłam na łóżko, wpełzłam pod kołdrę i przesiedziałam tam tyle czasu, ile trzeba, żeby odmówić pięćdziesiąt razy Ojciec Nasz.

**WYBIERZ IMIĘ DLA SWOJEGO DZIECKA.**

Urodziłam dziś chłopca – dziewczynki jakoś szybciej mi zdychały, to wyjątkowo słabowita płęć – więc postanawiam dać mu imię kojarzące się z siłą: Goliat. Parę tygodni temu niby to mądry Salomon z przejedzenia najpierw zsiniał, a później wybuchł na

kawałeczki. Wszystko dlatego, że zasnęłam nad klawiaturą, zapominając wyjąć malcowi butelkę z ust. A ten głupolek jadł i jadł, aż go w końcu popękało na amen.

Nagle słyszę skrzypienie drzwi i kroki Mamy na schodach.

Klikam „Zachowaj dziecko”, a potem od razu wyłączam komputer.

Zastanawiam się, czy dziś do mojej Piwnicy zejdzie Mama czy Matka. Kocham obie, ale Mamę troszeńkę bardziej.

Mama jest miła i dobra, i ciągle mnie przytula, i razem się modlimy, i jemy, i w ogóle wszystko, wszystko, wszystko razem robimy.

Matka ma skwaszoną minę i jest smutna, i wściekła, dużo opowiada o bardzo złych rzeczach, które się przytrafiły Ojczyźnie, o zaborach i grabieży Narodowego Majątku, natrętnym brukaniu niewiast i pomście siedmiokrotnej, która czeka wszystkich naszych wrogów.

Matka pozwala mi grać tylko godzinę dziennie, a ja ostatnio grzeszyłam raz za razem, wydłużając ten czas nawet dwukrotnie. Mama pozwala grać więcej, ale przez ostatnie dni wcale jej nie było, schowała się głęboko we wnętrzu Matki i nie wychodziła nawet na momencik.

– Marysiu, pora obmyć rany.

Mówi „Marysiu”, czyli to Mama jak nic, bo tylko Mama tak do mnie mówi. Alleluja! Nareszcie wróciła i będzie dla mnie dobra!

Patrzę na zegarek. Dochodzi dwunasta. Mama ma rację, pora obmyć rany. To takie nasze małe piwniczne rytuały.

Zdejmuję koszulkę i w samych majtkach kładę się na łóżku. Sprężyny skrzypią jękliwie: skrzyp-skrzyp-skrzyp. Czasem w nocy skrzypią tak głośno, że mnie budzą, dlatego staram się wcale nie ruszać. Wyobrażam sobie wtedy, że jestem Jezusem w grobie i nie mogę nawet drgnąć aż do chwili zmartwychwstania, bo inaczej przyjdzie Szatan i pokrzyżuje moje plany na amen. Zastanawiam się czasem, czy Jezus po śmierci też nudził się tak bardzo, jak ja przed zaśnięciem. Nie mógł czynić cudów ani w ogóle nic. Cały weekend w grobie, porażka. No ale przynajmniej można policzyć sobie Boże Owieczki, które skaczą ci nad głową w ciemności i beczą, ale nie z płaczu, tylko ze szczęścia, bo idą hop, hop do Nieba. Jeśli Mama nie kłamie, w naszej Ojczyźnie jest więcej Bożych Owieczek niż w jakimkolwiek innym kraju.

Mama delikatnie dotyka moich „ran”, gładzi je palcami, pojękując. A jak pojękuje, to trochę przypomina skrzypienie łóżka, co mnie trochę śmieszy, ale staram się nie chichrać, bo jeszcze niechcący zmienię Mamę w Matkę i dopiero się zacznę. Te rany to tak naprawdę od

dawna nie są żadnymi ranami, tylko paskudnymi bliznami – widziałam raz w lustreczku – ale Mama prawie zawsze nazywa je ranami, bo chyba blizny są niewiele warte i lepiej, jak się ma świeże rany, bo to bardziej bohaterskie czy jakoś tak.

Wzdycha cicho. To dla niej cięższe niż dla mnie, więc jest mi jej żal i chętnie bym ją przytuliła, ale siedzę tyłem, więc już nie będę się odwracać.

Potem sięga po gąbkę i z namaszczeniem moczy ją w wodzie święconej, modląc się pod nosem.

– Mamo. A czy na świecie jest nas już trochę więcej? Chociaż troszeczkę? – pytam, ale to brzmi głupio, bo kiedyś już o to pytałam i pamiętam smutną odpowiedź aż do teraz.

Tak naprawdę zawsze mam ochotę spytać, czy kiedykolwiek wypuści mnie z tej Piwnicy, ale takie kwestie budzą w mojej rodzicielce istic szatański gniew.

– Was? – dziwi się Mama, delikatnie przemywając zabliznione miejsca tuż poniżej łopatek, gdzie kiedyś rosły mi piękne skrzydła, ale już od baaardzo daaawna ich nie ma, zostały tylko te bolące ślady na pamiętkę. Jak mówi „Was”, to się boję, bo tak podobno mówią esesmany, ale przecież Mama nie jest żadnym esesmanem, tylko prawdziwą Polką z krwi przelanej za Ojczyznę i kości bestialsko pomordowanych Przodków.

– To znaczy aniołów– opowiadam, a przed oczami migają mi tamte sceny... w uszach brzęczą mi tamte słowa... te z podglądniętego wczoraj programu. Podglądniętego grzeszenie, przez dziurkę od klucza.

– Mówiłam ci już przecież, że jesteś jedyna. Jedyniutka na całym wielkim świecie. Dlatego muszę cię chronić. Ukrywać tutaj. Zło czai się na każdym kroku. Szczególnie w tym kraju, gdzie od zawsze esesmany, ubeki i żydłaki krew przelewali.

– Wiem, no ale może od tamtego czasu Bóg przysłał do nas jeszcze kogoś. Przecież niezbadane są Jego Wyroki, sama mówiłaś.

– Nie, Marysiu. Jesteś wyjątkowa. I przez to skazana na wieczną samotność.

Powtarza to codziennie, ale ja coraz mniej się taka czuję. Znaczy się: wyjątkowa. Szczególnie po tym, czego dowiedziałam się wczoraj. Bo samotna, to owszem, jestem wiecznie – przecież nie znam nikogo poza Mamą i Matką, jej świętymi figurkami, modlitwami, Piwnicą, w której mieszkam, starym komputerem i moimi cyfrowymi maleństwami, które cały czas umierają jakby kompletnie powariowały.

Matka wiele razy powtarzała mi, skąd pochodzę, nigdy wcześniej nie śmiałybym w to powątpiewać. Byłam dzieckiem niepokalanie poczętym, aniołem zesłanym przez Boga Wszechmogącego na Ziemi Polskie niecałe osiemnaście lat temu. Miałam być dowodem, że Pan szczególnie umiłował sobie Nasz Naród, ale niestety tuż po moim przyjściu na świat

pijany lekarz-łapówkarz-komunista postanowił dla zgrywy odciąć mi skalpelem skrzydła. Mama mówi, że podkusił go Szatan, ale mi się czasem wydaje, że tamten lekarz był po prostu zazdrosny. No bo w końcu każdy by chciał mieć skrzydła, żeby sobie fruwać gdzie chce – przecież lepiej być latającym aniołkiem niż pijanym łapówkarzem, szczególnie że tych ostatnich jest podobno tak pełno, że się już w szpitalach i urzędach nie mieszczą, przynajmniej tak mówi Matka.

Dotąd wierzyłam w słowa Matki jak w Pismo Święte, ale wczoraj zgrzeszyłam, przez dziurkę od klucza podglądając program o „Świebodzińskiej Strefie”.

– Mamo, a myślisz, że...?– słowa więzną mi w gardle.

– Tak, córciu kochana?

Boję się spytać o to, co padło z ust Telewizyjnego Pana: *Mimo że od Zdarzenia Świebodzińskiego minęło już osiemnaście lat, miejsce dalej budzi skrajne emocje zarówno wśród wiernych, jak też niewierzących. Ci ostatni uznają całe zjawisko za wysokobudżetową budkę sponsorowaną przez polski rząd. Ci pierwsi, mówiąc o Mesjaszu Narodów, Janie Pawle drugim i Matce Boskiej na bezchmurnym niebie, twierdzą, że powrót Zbawiciela na nasze ziemie był tylko kwestią czasu. Z całą pewnością wiadomo tylko jedno – wewnątrz otoczonej wysokim murem Strefy dzieją się rzeczy wymykające się rozsądkowi, czy może raczej: Święte. Są doniesienia o śmiałkach, którzy dostali się do środka i wracali odmienieni, mówiąc językami i pokazując stygmaty na nadgarstkach i stopach. Są teorie o miejscu dotkniętym przez Palec Boży, w którym idąc polną drogą można nagle znaleźć się na Golgocie, na własne oczy ujrzeć mękę pańską, albo wchodząc do rozpadającej się stodoły paść na kolana przed żłobkiem pełnym światłości. Są niezbyt wyraźne fotografie anielskich gniazd, w tym tego najśłynniejszego, które zostało uwite w koronie słynnego pomnika. Jest w końcu bardzo znane i bardzo kontrowersyjne nagranie kobiety w dość jednoznacznym akcie ze świetlistą istotą, nigdy jednak nie udało się ustalić jej tożsamości ani potwierdzić, czy zdołała żywa opuścić Strefę.*

Odwracam się, patrząc w wielkie i smutne oczy Mamy. Nie mogę jej tego zrobić, nie mogę podważać tego, czym karmiła mnie od małego. Zadaję więc inne pytanie, niż to, które żarzyło mi się boleśnie na końcu języka – najbardziej paląca kwestia zgaszona w zarodku przez mój wstyd i lęk.

– Myślisz, że one jeszcze kiedyś odrosną? Znaczą się: moje skrzydła.

Nagle ruchy Mamy stają się mniej ostrożne. Trze mnie gąbką tak mocno, że to zaczyna boleć. Chyba Mama właśnie staje się Matką. Łzy same napływają mi do oczu, trochę z tego, że mnie boli, a trochę z tego, że boję się Matki, ale wiem, że nie powinnam beczeć, bo

w sumie nie dzieje mi się nic strasznego w porównaniu z tym, co zdrajcy wyprawiają z Ojczyzną, jak ją co dzień okradają, plugawią i gnębią. Nawet jeśli wcale nie jestem wyjątkowa, nawet jeśli nie jestem jedyna, nawet jeśli to wszystko zaczęło się w tamtym dziwnym miejscu, o którym wczoraj usłyszałam po raz pierwszy.

– Nie. Raz obcięte nigdy już nie odrastają – odpowiada cichym głosem Matka, brzmiąc jakby sama była aniołem, który wszystko utracił już na zawsze.

rys. Barbara Komaniecka



# POZYTYWKA

Przemek Morawski

I

Pozytywka była stara. Choć studiowałem jej mechanizm niezwykle wnikliwie, do dziś pozostał on dla mnie tajemnicą. Pewnym było jedno: tak skonstruowane urządzenie nie mogło

służyć do zabawy. Gorączkowo więc starałem się odkryć, w jakim celu została złożona, nie przyniosło to jednak żadnego skutku.

Szereg szpul, zębatek i spiral wciąż tworzył dla mnie nieodgadniony system. Sposób ich działania musiał opierać się na zbiorze jakichś niespotykanych prawideł. Nigdzie też nie mogłem znaleźć miejsca, w którym można by ją nakręcić. Doskonale gładkie kawałki hebanu, pokryte nieznanymi mi wzorami, które przywodziły na myśl jakieś zapomniane kulty, wydawały się tworzyć nierozzerwalną całość. Nawet zawiasy skonstruowano tak kunsztownie, że sprawiały wrażenie wyrosłych z polerowanego drewna.

Całymi dniami przesiadywałem zamknięty w gabinecie, usiłując wydobyć z pozytywki jakikolwiek dźwięk. Na zmianę grzebałem w jej mechanizmie i studiowałem stertę ksiąg z dziedziny zegarmistrzostwa, sprowadzoną do domu z nadzieją znalezienia choćby najmniejszej wzmianki o tym urządzeniu. Niestety, wszystkie próby szczyły na niczym.

Moja obsesja nasilała się i wiedziałem, że jeżeli nie usłyszę ukrytej w pozytywce melodii, z pewnością przyjdzie mi oszaleć.

Nie pamiętam już, skąd przedmiot ten wziął się w moim domu. Pewnie kupiłem go w jakimś antykwariacie. Takie zakupy zdarzały mi się wcale często. Zawsze, kiedy znajdowałem coś godnego uwagi, kupowałem to bez zastanowienia.

Pozytywka musiała przeleżeć niezauważona aż do dnia, w którym natknąłem się na nią ponownie.

Wtedy dopiero dostrzegłem, że jest coś pociągającego w tym niezwykłym przedmiocie. Coś, co sprawiło, że zacząłem myśleć o nim coraz częściej. Aż pozytywka stała się moją obsesją.

Zaniedbałem przez to dotychczasowe obowiązki – nie tylko przestałem komponować, lecz także nie siadałem już nawet do fortepianu. Gdybym miał rodzinę, w tym czasie pewnie bym ją stracił.

Pośród tego obłędu tylko jedna rzecz pozwalała mi wytrwać. W jakiś pokrętny sposób utwierdziłem się bowiem w przekonaniu, że pozytywka jest remedium na moje problemy. Że to w niej kryje się spełnienie moich pragnień. Że dzięki niej zaspokoję wszystkie ambicje.

Musiałem tylko usłyszeć, jak gra.

## II

– Pan w to naprawdę wierzy? – Głos Anny Krzyckiej wyrwał mnie z odrętwienia. Jednak nie odzywała się teraz do mnie.



– Ależ to prawda! – odparł zapytany. – Mogę pani zaręczyć!

Nie znałem go. Było to dla mnie zaskakujące, gdyż na półpiętro Ziemiańskiej wstęp miały jedynie wielkie osobistości.

Nawet mnie tam nie dopuszczano.

Siedząc nad kolejną czarną kawą, przysłuchiwałem się ich rozmowie. Tego popołudnia stolik skamandrytów był prawie pusty. Prócz Anny i nieznanego mi mężczyzny siedział przy nim jedynie Lechoń. Poeta pozostawał milczący i nie zwracał uwagi na towarzystwo.

Anna odrzuciła w tył burzę kasztanowych włosów i upiła łyk kawy. Zdawała się jaśnieć w tym nikłym świetle, jakie panowało w lokalu.

Przychodziłem tu tylko po to, by ją zobaczyć. By być w pobliżu i czekać dnia, w którym i mnie poprosi, bym z nią usiadł.

Kochałem Annę.

Mógłbym nieprzerwanie wpatrywać się w owal jej twarzy, na której kokieteria igrała z niechęcią. Będąc jedną z najwybitniejszych kompozytorek Warszawy, mogła pozwolić sobie na taki sposób bycia. Ja natomiast mogłem jedynie podziwiać tę kobietę w tajemnicy i mieć nadzieję, że już wkrótce stanę się częścią jej zakłętego kręgu.

– W całą sprawę zamieszany jest nawet sam Albert Rzecki. Opuszczona posiadłość, w której znaleziono zwłoki, należała właśnie do niego.

Z mojego miejsca nie mogłem dokładnie przyjrzeć się temu mężczyźnie. Miałem pewność, że znalazł się tam przez przypadek. Doskonale wskazywała na to mina Lechonia, który mimowolnie krzywił się przy każdym zdaniu. Tamten jednak opowiadał dalej:

– Nie wiadomo, jaką wiarę wyznaje ta dziwna sekta, ale pewnym jest, że składają ofiary z ludzi.

Do stolika musiał przyprowadzić go Tuwim. Pewnie znali się z Qui Pro Quo lub Morskiego Oka, kabaretów, do których Tuwim pisał teksty. I do których nigdy się nie przyznawał. Ta ich kabaretowa asocjacja wyprowadzała mnie z równowagi. W końcu ja też oddałem temu środowisku pewne zasługi – nie zliczę, ile piosenek śpiewanych między skeczami było mojego autorstwa. Jednak ja tę współpracę starałem się ukryć nieco skrzętniej. Zresztą wcale nie chciałem dosiadać się do nich w ten sposób. Miałem pewność, że mogę zwrócić ich uwagę tym, co tworzę dla oper i filharmonii.

– To podobno jakiś stary zakon – kontynuował mężczyzna – powstały wieki temu. W Warszawie miałby działać od lat.

– Dla mnie brzmi to dość fantastycznie. – Anna wypowiedziała te słowa z lekką drwiną, która mnie ucieszyła. – Albert Rzecki bawiący się w tego typu rzezy? – dodała. – Dość ma innych zajęć.

– Naprawdę? A kiedy ostatnio wystawił jakąś operę?

Choć nie widziałem dokładnie twarzy Anny, doskonale znałem grymas, który musiał się teraz na niej pojawić. Owo zwężenie oczu, nieprzyjemne jak dźwięk paznokcia skrobiącego tablicę.

Anna ceniła Rzeckiego. Współpracę z nim poczytywała sobie jako niemały honor. I trzeba przyznać, że niewielu było w Warszawie muzyków, którzy nie podzielaliby tego entuzjazmu.

– Pan nigdy nie zdoła pojąć, na czym polega praca prawdziwego artysty.

Uśmiechnąłem się na te słowa. Ostre, choć wypowiedziane przecież tak łagodnie. Nawet Lechonia zdanie to wyrwało z zamyślenia. Żałowałem tylko, że nie mogę zobaczyć miny tamtego.

– Proszę mnie więc oświecić – odezwał się, urażony.

– Niech pan nie bierze tego do siebie – odparła Anna ze śmiechem. – Po prostu praca w kabarecie a komponowanie oper to dwie różne rzeczy. Czym innym jest bawić się w wojnę, a czym innym iść na front.

Mężczyzna milczał. Słowa Anny musiały go zaboлеć. Pewnie nawet bardziej niż poprzednie. Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż na półpiętrze znów zrobiło się gwarnie. Do stolika wrócił Tuwim z Wieniawą-Długoszewskim. Towarzyszyła im wspaniała Zula Pogorzelska, posiadaczka najpiękniejszych nóg w stolicy.

Anna jej nie znosiła, miałem więc pewność, że nie zabawi tu dłużej. Nie czekając aż wyjdzie, wstałem, uregulowałem rachunek i wróciłem do domu.

### III

Tego wieczoru poczułem nieodpartą chęć tworzenia. Pragnienie tak silne, że wykręcało mnie od środka. Potęgowane przeświadczeniem, że wystarczy zdobyć sławę, a Anna pozwoli mi zbliżyć się do siebie.

Kiedy usiadłem do fortepianu, ręce same zaczęły błędzić po klawiaturze, a z instrumentu rozległy się dźwięki, jakich jeszcze nigdy nie słyszałem.

Grałem nieprzerwanie, nie bacząc na upływ czasu i nie czując zmęczenia. Otaczająca mnie muzyka niosła ze sobą jakąś zaskakującą energię. Jej tkliwość wiązała się

z gwałtownością, szczęście łączyło się z rozpaczą, aż w końcu z pracy moich rąk zaczęła klarować się melodia tak niespotykana, tak czysta i uderzająca, że poczułem spokój, jaki od lat nie był mi dany. Grałem dalej, nie czując nawet łez, które spływały mi po policzkach.

W końcu wśród tej radości przeszył mnie dreszcz strachu – musiałem zapisać ten motyw, by nie stracić go bez powrotnie. Oderwałem się od fortepianu i ruszyłem po papier nutowy. Po drodze nuciłem głośno dopiero co wymyślony utwór i po chwili zdałem sobie sprawę z tego, że coś mi akompaniuje.

Moim ciałem wstrząsnął spazm lęku.

Pozytywka grała.

Jej mechanizm, wprawiony w ruch, wydobywał z siebie dokładnie taką samą melodię, jaką przed chwilą udało mi się stworzyć. Gdy do niej podszedłem, motyw zaczął się rozwijać.

To, co ja wygrywałem godzinami, teraz szybko przeszło w inne partie, jeszcze bardziej złożone i porywające. Owładnięty magią słyszanych dźwięków, nie wiedziałem, co począć.

Melodia zaczynała tworzyć coraz bardziej spiętrzoną konstrukcję, aż w końcu odniosłem wrażenie, że wszystko zaszło za daleko. Czułem się, jakbym dokonał świętokradztwa. Dłonie mi drżały. Usta popękały od suchości. Trzęsłem się, chociaż w domu nie było zimno. Nie rozumiałem, jak pozytywka może wygrywać tak skomplikowany motyw.

Zmuszając się do nadludzkiego wysiłku, wyciągnąłem przed siebie rękę i zamknąłem pudełko.

Pozytywka umilkła, a ja padłem na ziemię, niemal zemdłony. Targało mną pragnienie, by jeszcze raz usłyszeć tę hipnotyzującą melodię. Czułem się jak morfinista, usiłujący wyrwać się ze zgubnego nałogu. I tak jak większość morfinistów, w końcu uległem.

Wstałem, uniosłem wieko, pozytywka jednak nie zagrała.

#### IV

Od tamtej pory słyszałem tę melodię nieustannie. Zaplątana w myślach, nie pozwalała mi skupić się na niczym innym. Nieprzerwanie odtwarzała się w mojej głowie, jednak tylko do momentu, do którego sam ją zagrałem. Cała reszta pozostawała mglistym wspomnieniem. Wspomnieniem obcowania z czymś niepowtarzalnym.

To uczucie towarzyszyło mi nawet teraz, kiedy znów siedziałem w Ziemiańskiej, przypatrując się ukradkiem Annie.

Nie było już przy niej mężczyzny z kabaretu. Rozmowa jednak dotyczyła poruszanych przez niego zagadnień.

– To niebywałe! Sam Albert Rzecki wyznawcą jakiegoś dzikiego kultu! – emocjonował się młody poeta, przyjęty pod skrzydła Lechonia. – Pani musi to chyba przeżywać najbardziej! – zwrócił się do Anny.

– Ludzie sztuki mają swoje namiętności – odparła bez emocji. – Taka już ich natura. Zresztą pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Jej stonowana nonszalancja niezwykle mnie pociągała. I choć to ona trzymała mnie od Anny na dystans, cieszyłem się, że z równą niechęcią traktuje wszystkich w swoim otoczeniu.

– Ma pani rację – odpowiedział poeta. – Może dlatego i mnie ta sprawa niezwykle intryguje? Należałem już do różnych stowarzyszeń, ale to to coś zupełnie innego!

– Ja w tym nie widzę niczego porywającego.

– Nie wierzę pani. Takie rzeczy działają na wszystkich.

Anna wstrząsnęła włosami i przechyliła się w jego stronę.

– Pan jest jeszcze za młody, żeby to zrozumieć – powiedziała. – Ale Albert Rzecki to postać tragiczna. Genialny artysta, zniszczony przez los i własne ambicje. Kiedy zaczął odnosić pierwsze sukcesy, zaczęli umierać ludzie, których najbardziej kochał. Zupełnie, jakby była to cena za uznanie i sławę. Czy pan byłby skłonny do takich poświęceń? – Anna przerwała na chwilę, czekając odpowiedzi. Poeta milczał, więc podjęła znowu: – Kiedy nie pozostał już nikt z jego bliskich, jego gwiazda zbledła. Od lat próbował wrócić do formy, jednak bezskutecznie. To dlatego szukał ratunku wszędzie, gdzie miał nadzieję go znaleźć. To, co dla pana jest intrygujące, w rzeczywistości było jedynie gestem rozpaczny.

– Sugeruje pani, że dzięki temu Rzecki miał nadzieję na nowo zacząć tworzyć?

– Niczego nie sugeruję. – Głos Anny był tak zimny, że aż przyprawił mnie o dreszcze. – Mówię tylko, że nie można wierzyć we wszystko, co piszą gazety.

– Nie wierzę we wszystko. Ale dużo tutaj faktów. – Poeta zamachał egzemplarzem jakiegoś dziennika. – Proszę. – Podał go Annie. – Niech pani sama to przejrzy.

Anna wzięła gazetę, nie spoglądając na nią, wstała i skłaniając się, powiedziała cieplejszym już tonem:

– Tak zrobię. A tymczasem muszę iść.

Schodząc po schodach, ruszyła w moją stronę. Poczułem, jak serce zaczyna bić mi szybciej. Śledziłem każdy jej ruch, napawając się nim i marząc, by zatrzymała się przy mnie, choćby na chwilę. I tak się stało.

Trzymana przez nią gazeta wypadła jej z ręki, a ja schyliłem się, by ją podnieść. Już miałem oddać ją Annie, kiedy moją uwagę przykuło jedno ze zdjęć, przedstawiające Alberta Rzeckiego. Mężczyzna siedział przy pianinie, notując nuty, a jego skupiona twarz wyglądała

tak, jakby czegoś nasłuchiwał. Nie to jednak było najistotniejsze. Na pienienia leżała pozytywka. Taka sama jak ta, która należała do mnie.

– Może pan ją zatrzymać. – Usłyszałem nad sobą głos Anny.

Kiedy uniosłem głowę, już jej nie było. Poczulem się jak idiota. Mając nadzieję, że nikt z zebranych tego nie zauważył, wyprostowałem się i rozłożyłem na stole *Kurier Metapsychiczny*. Oglądając dokładniej fotografię Rzeckiego, wiedziałem, że nie mogę żałować tego, co się stało. Na reszcie znalazłem jakiś trop.

Rozsiadając się wygodniej, upiłem łyk kawy i zacząłem czytać.

## V

Informacje, które znalazłem w gazecie, utwierdziły mnie tylko w przekonaniu o niezwykłości pozytywki. Choć o niej samej nie było tam słowa, sam fakt, że należała do Alberta Rzeckiego, wystarczył, by pobudzić moją wyobraźnię. Szczególnie w świetle ostatnich wydarzeń.

Albert Rzecki został aresztowany pod zarzutem uczestnictwa w tajemniczych obrzędach. W ich czasie składano ofiary z ludzi. Wszystko miało odbywać się w podziemiach jego letniej posiadłości, gdzie znaleziono ludzkie szczątki oraz symbole nieznanego kultu, z przerażającym ołtarzem na czele.

O samym kulcie znalazłem tylko krótką wzmiankę. Jak stwierdzał autor artykułu – „organizacja jest wysoce zakamufLOWANA i od jej członków nie sposób wyciągnąć żadnych informacji. A niechby już znalazł się ktoś, kto miałby w tej sprawie coś do powiedzenia, nie zrobi tego w obawie o własne życie”.

Wiedziałem jednak, że podążając tym tropem, będę w stanie dowiedzieć się czegoś więcej.

Po nieprzespanej nocy, pełnej dreszczy i gorączkowych myśli, udałem się do Biblioteki Publicznej, pięknego budynku autorstwa Jana Heuricha, leżącego przy ulicy Koszykowej.

Nie liczyłem, że znajdę tam coś szczególnego. Miałem jednak nadzieję na odkrycie kolejnych punktów zaczepienia.

Przez cały czas towarzyszyło mi przy tym dziwne wrażenie czyjejś obecności. Czulem niemal na karku obcy oddech.

Szedłem w amoku, co chwilę obracając się, by sprawdzić, czy nie jestem śledzony. Stroniłem od ludzi, widząc w nich wyznawców tajemniczego kultu. Chowałem się w zaułkach i bramach, jak morderca uciekający z miejsca zbrodni. Kiedy w końcu dotarłem

do biblioteki, uczucie to nie zelżało. W chłodnych murach budynku wydawało się nawet narastać.

Ze stertą ksiąg, dokumentów i starych gazet zasiadłem przy pulpicie i zacząłem je przeglądać. Miałem przy tej pracy jakiś nadludzki zapał, coś, co powodowało, że działałem metodycznie i szybko, wręcz gorączkowo, nie trwoniąc choćby minuty na odpoczynek i nie czując głodu czy pragnienia. Nawet po kilku godzinach nie byłem znużony.

Jednocześnie wciąż rozglądałem się wkoło, szukając wpatrzonych we mnie oczu. Byłem pewien, że ktoś mnie obserwuje, choć poza mną czytelnia była pusta.

Tym razem nie szukałem już niczego w książkach o technice, zegarmistrzostwie czy skomplikowanych mechanizmach. To, co zajmowało mnie teraz, skupiało się na spirytyzmie, magii i zagadnieniach związanych z okultyzmem. Poszukiwania zacząłem od starych numerów *Kuriera Metapsychicznego*. Gazeta pełna sensacyjnych doniesień i opowieści niesamowitych, nie przyniosła mi jednak nic nowego. W żadnym numerze nie znalazłem wzmianki o Rzeckim ani o kulcie, którego był wyznawcą. Niektóre artykuły traktowały o innych uwikłanych w tę sprawę ludziach, jednak dotyczyły czegoś zupełnie innego.

Także książki zdawały się milczeć w kwestiach, które najbardziej mnie interesowały. Opasłe tomy, woluminy sprzed lat i te zupełnie nowe, poruszały jedynie sprawy powszechnie znane, tematy, którymi wszyscy fascynowali się od lat i o których niemal każdy miał jakąś wiedzę. Zacząłem już myśleć, że moje poszukiwania nie przyniosą żadnego efektu, kiedy natknąłem się na coś dziwnego.

Zauważyłem to już wcześniej, ale wtedy nie wydało mi się to istotne. Na marginesach niektórych książek widniały odręczne notatki, krótkie i enigmatyczne, posługujące się jedynie skrótami. Zrazu nie przykuły one mojej uwagi i dopiero kiedy natrafiłem na nie po raz kolejny, spostrzegłem, że wykonane zostały tym samym charakterem pisma. Notatkom zawsze towarzyszyły podkreślenia.

Zacząłem spisywać je wszystkie w rzędzie, próbując dociec, co mogłyby oznaczać. Panowała w nich pewna regularność. Zestawione razem, zaczęły w końcu nasuwać mi wyjaśnienie – Dz., 12. K. R., 54, 78. Bł., 93. Bt., 135. Ug., 234. Musiały to być przypisy wskazujące, gdzie należy szukać kolejnych wskazówek. Uznałem, że skróty odnoszą się do tytułów, liczby zaś do stron. Kiedy przejrzałem kilka książek, okazało się, że miałem rację.

Nie udało mi się rozszyfrować wszystkich odniesień, a to, co zaczęło się z nich klarować, pozostawiało zbyt wiele domysłów, żebym mógł to zrozumieć. Ustaliłem tylko, że w Warszawie rzeczywiście działała tajemnicza sekta – wynikało to z zestawienia niektórych

podkreślonych zdań. Ktoś także musiał szukać informacji na ten temat. Był jednak lepiej zorientowany.

Moje odkrycie wskazywało jednoznacznie, że wszystkie sensacyjne plotki, które wstrząsnęły stolicą w ostatnich dniach, były prawdziwe.

Nie zdążyłem do końca się nad tym zastanowić, bo z zamyślenia wyrwał mnie hałas. Wyraźny szmer dobiegający zza regałów. Zerwałem się natychmiast i ruszyłem w jego stronę. Dźwięk zaczął się powtarzać, jednak zawsze w innym miejscu. Biegałem jak oszalały, usiłując dociec, co było jego źródłem. Rzucąłem się między półki, w nadziei, że tym razem to ja okażę się szybszy. Na podłogę zaczęły spadać potrącane przeze mnie książki. Mało brakowało, a wyróciłbym cały regał.

– Przepraszam, czy wszystko w porządku? – usłyszałem za sobą ciepły głos.

Choć nie było w nim niczego niezwykłego, słowa te zdjęły mnie strachem. Odwróciłem się powoli.

Przede mną stał bibliotekarz, zgarbiony staruszek o miłej twarzy, ten sam, który mnie tu wpuścił i wydał mi książki.

– Może lepiej będzie, jeśli pójdzie pan już do domu? – odezwał się przyjacielskim tonem. – Proszę się nie martwić, posprzątam wszystko za pana.

Nagle poczułem się zmęczony. Żołądek skręcił mi się z głodu. W jednej chwili zrozumiałem, że nie dowiem się już niczego więcej. Zawstydzony i pełny rezygnacji, odszedłem stamtąd bez słowa. Wydawało mi się, że przegrałem.

Dopiero później miało okazać się, że klęska była jeszcze przede mną.

## VI

Tej nocy śniłem o Annie. Nie był to jednak sen podobny do tych, które nawiedzały mnie wcześniej.

Wędrowaliśmy wśród lodowców i śniegu, zmierzając ku widocznej na horyzoncie górze. Niebo, złane czerwienią zachodzącego słońca, barwiło wszystko rubinową poświatą. Nie czuliśmy zimna. Zacinający wiatr niósł ze sobą mroźne powietrze, które przynosiło jedynie orzeźwienie. Bose stopy grzęzły nam w zaspach, ale nie męczyło to nas.

Kiedy w końcu stanęliśmy u podnóża góry, otworzyła się przed nami lodowa grota, rozciągnięta w dół obszernym korytarzem. Weszliśmy do niej.

Wnętrze było ciemne, ale nie obawialiśmy się, że zgubimy drogę. Mieliśmy wrażenie, że już tutaj byliśmy, że wracamy do domu z dalekiej podróży, że te ściany lodu przyciągają

nas i same prowadzą właściwą ścieżką. Po długim marszu naszym oczom ukazała się odległa aura, rozświetlająca miejsce, do którego zmierzaliśmy.

Z każdym krokiem rosło we mnie uczucie ciepła i spokoju. Bliskość Anny przepelniała moje serce radością. Trzymając mocno jej rękę, zmierzałem ku przeznaczeniu, któremu byłem w stanie oddać się w pełni.

Na miejscu znaleźliśmy niewielką sadzawkę, zamkniętą w błękitnych ramach lodu. Jej tafla emanowała przyjemnym światłem.

Anna zbliżyła się do wody i zanurzyła stopę. Chwilę badała temperaturę, po czym odwróciła się do mnie z uśmiechem. W jej oczach pełgał blask niezwykłej radości. Rozebrała się i powoli zeszła w tę dziwną toń, niknąc pod nią całkowicie.

Pchany jakimś przymusem, ruszyłem za nią. Jej sylwetka zniknęła szybko i żeby nie stracić jej z oczu, także rzuciłem się w spienione teraz otmęty.

Woda nie była zimna. Oplotła mnie w zmysłowym uścisku, doprowadzając moje ciało do rozkoszy. Widziałem przed sobą mglistą postać Anny, majaczącą coraz słabiej, która w końcu całkiem się rozmyła.

Z szumu szalejącego w moich uszach zaczęła wyodrębniać się cicha melodia. Melodia doskonale mi znana. Melodia z pozytywki.

Będąc już prawie przy dnie, zdałem sobie sprawę z tego, że płynę teraz w górę. Jednak kiedy się obejrzałem, wciąż jaśniał za mną blask rozsiewany przez sadzawkę, do której wskoczyłem.

Muzyka grała już bardzo głośno.

Dno, jeszcze do niedawna ciemne i nieprzeniknione, teraz stało się przezroczyste i dostrzegłem za nim kontury mojego pokoju. Przenikając je, wyrwałem się ze snu.

Usiadłem na łóżku, oddychając ciężko, mokry od zimnego potu. Wyraźnie słyszałem bicie własnego serca. Słyszałem krew pulsującą w skroniach. Słyszałem w końcu tę tajemniczą melodię, która stała się moją obsesją.

Pozytywka grała.

Podszedłem do niej, z trudem łapiąc równowagę. Choć drżałem ze strachu, nie chciałem przerwać płynących z niej tonów. Dźwięki, które z siebie wydobywała, zaczęły stopniowo działać na mnie kojąco. Powoli nabierałem pewności, że to ja jestem ich autorem. Że pozytywka musi odbierać i przetwarzać w jakiś sposób wszystkie moje emocje i myśli, czyniąc z nich muzykę, którą chciałbym skomponować.

Owładnięty tym odkryciem, chwyciłem za papier i zacząłem spisywać słyszane dźwięki. W odpowiedzi na to pozytywka rozpoczęła cały motyw od nowa. Tworzony utwór napawał



mnie zachwytem. Stawiałem szereg nut, czując się, jakbym tworzył nowe światy. Z moich oczu płynęły łzy. Łzy szczęścia i rozpacz. Miłości i żalu. I wszystkie one znajdowały odzwierciedlenie w powstającej właśnie kompozycji. Kolejne takty były coraz bardziej poruszające. Słuchając ich, drżałem z rozkoszy. Pojedyncze tony zatraciły się już zupełnie, splątane w gęsty wir dźwięków, dotykający mojego ciała w sposób niemal fizyczny.

Kiedy euforia sięgnęła zenitu, pozytywka zamilkła. Dzieło było skończone.

Gdy postawiłem ostatnią nutę, padłem bez sił na podłogę. Jeszcze zanim straciłem przytomność, wstrząsnęło mną dławiące przecucie. Przecucie, że stało się coś przerażającego.

## VII

– Musicie mnie do niej dopuścić! – Wtargnąłem do domu Anny, nie bacząc na usiłującą powstrzymać mnie służbę. – Muszę przekonać się na własne oczy!

Przebiegłem przez pełny ludzi korytarz i stanąłem u drzwi salonu. Wszystko to, czego się obawiałem, okazało się prawdą.

Ciało Anny leżało przykryte prześcieradłem. Przy fortepianie rozsypał się plik nut, których nie zdążyła już zapisać do końca. Zebrani, ze smutnymi minami, powtarzali w kółko tylko jedno słowo – serce. Podobno dostała ataku w czasie pracy nad nową kompozycją.

Wiadomość o śmierci Anny dotarła do mnie z samego rana. Jeden z przyjaciół, który wiedział o moim afekcie do Krzyckiej, przesłał mi liścik z tą informacją. Nie bacząc już na nic, wezwałem dorożkę i ruszyłem do jej willi na Sadybie.

Przez całą drogę miałem nadzieję, że wiadomość okaże się pomyłką. Ponurym żartem lub zwykłym przeinaczeniem. Teraz jednak nie mogłem mieć wątpliwości.

Na widok nieruchomego ciała Anny, jej bladej dłoni wystającej spod płótna, poczułem nieopisaną rozpacz. Dojmujące uczucie wewnętrznej pustki. Miałem ochotę umrzeć. Przestać istnieć.

Bezradny i zrezygnowany, z ciałem odrętwiałym i zeszywniałym z bólu, padłem przy niej na kolana i zacząłem całować jej martwą skórę. Zebrani w salonie ludzie usiłowali mnie podnieść. Doprowadzić do porządku. Wyrwałem się im i runąłem w tył, na porzrucany po podłodze nutowy papier.

Jedno spojrzenie nań wystarczyło, bym zrozumiał wszystko. Bym pojął, jaką cenę zapłacił Rzecki za swoją sławę i jaką cenę przyszło teraz zapłacić mnie.

Zachciało mi się śmiać.

Musiałem wyglądać jak szaleniec, kiedy drżącymi rękami przeglądałem kompozycję, nad którą pracowała Anna, śmiejąc się przy tym obłąkańczo. Poznałem ją od razu. Była to ta sama melodia, którą udało mi się spisać wczorajszej nocy.

Melodia z pozytywki.



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



# ŚMIERTELNE ZMĘCZENIE

Jakub Zieliński

Otworzyłem oczy o poranku, kolejnego jałowego dnia.

W zasadzie nawet dobrze nie wiem – po co? Będę miał kilkanaście godzin, akurat do zmierzchu, aby poznać odpowiedź na to pytanie. Położę się spać, wiedząc, jaki był cel mojej dzisiejszej egzystencji... albo nadal będę rozproszony i sfrustrowany.

Stawiam na tę drugą opcję.

\*\*\*

Niespiesznie piję kawę. Mogę do woli delectować jej ulotnym ciepłem, aromatem, czernią...

A raczej: *mógłbym, gdybym potrafił.*

To jedna z wielu rzeczy, których nie poznałem na uniwersytecie, a jakiej oczekuje ode mnie tak zwany *ogół* społeczeństwa. Przynajmniej jego wrażliwsza część.

*Znać. Czuć. Doświadczać. Kochać. Delectować się. Rozumieć.*

Sram na to, dokładnie tak samo mocno jak na brak zrozumienia dla mojej indywidualności.

Zaparzę następny kubek albo wrócę w sen. Zamiast działania napoju czuję bowiem dalej znużenie.

Niech motyle za oknem złączą metaforyczną walkę ze świtem, ja odpadam.

\*\*\*

Zazwyczaj śpię po kilkanaście godzin na dobę. Chyba że dopadają mnie koszmary. Na przykład ten dotyczący bycia pogrzebanym żywcem i konsumowanym przez dziesiątki robaków. Wtedy zrywam się z łóżka, krzycząc, zmęczony dwa razy bardziej niż zwykle. Na szczęście mam też zapas proszków na bezsenność...

Kiedyś wyglądało to nieco inaczej. Poranek rozpoczynałem bowiem lekturą gazety, po której przechodziłem do śledzenia wybranych pozycji programu telewizyjnego. Koncentrowałem się na detalach, tropach, jakimś schemacie...

Porządek świata. Ukryty kod, przeznaczony tylko dla mnie. Zestaw wskazówek co do tego, jak wykorzystać resztę życia. Objawiający się znienacka moim oczom, niczym sylwetka zatopiona we wnętrzu obrazu trójwymiarowego.

Tarłem papier i nerwowo wciskałem przyciski pilota, lecz wszystko na próżno. Kod nie istniał. Przynajmniej nie w tych częściach codziennego chaosu, jakie nieustannie badałem. Widocznie nie dane było mi być wybranym przez opatrność dla zrozumienia losów planety Ziemi.

Ktoś inny musiał być bardziej godnym.

Albo dać wystarczająco dużą łapówkę... jak to się zwykle zdarza.

\*\*\*

Przypomniał mi się dzięki temu stary horror, który oglądałem, będąc dzieckiem. Nagi mężczyzna, siedzący na poddaszu w otoczeniu świec, posługuje się metalową kostką, aby przejść do innego wymiaru, gdzie spodziewa się zyskać ostateczną rozkosz, nieosiągalne inną drogą doznania. Zamiast tego jednak wielkie metalowe haki wbijają się w jego skórę i rozrywają ciało na strzępy. Krew, krzyk i latające w powietrzu flaki. Jeśli takie są efekty uboczne rozszyfrowania Kodu, wolę zrezygnować. Nie szukam przecież Ostatecznej Przyjemności – jedynie odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

A śmierć, w dodatku na drodze takiego okrucieństwa, jest wysoką ceną, jaką przysłoby mi za to zapłacić.

\*\*\*

*Lód. Skala.*

*Moje serce.*

Już dawno zaniechałem jego wskrzeszenia. Uznałem, że jest mi całkowicie zbędne i do niczego niepotrzebne, powodując tylko zamieszanie na ścieżkach komunikacyjnych umysłu.

Jeśli ktoś mdleje na ulicy albo potyka o wystający korzeń, to tylko jego sprawa. Nawet gdy stoję raptem dwa kroki od nieszczęśnika...

Kiedy w akcie złości, jedyne zaślepiającego mnie i przeważającego szalę rozsądku uczucia, obrażę wrażliwą dziewczynę lub emocjonalnego młodzieńca, mam to po prostu w dupie. Niech uczą się, że życie jest trudne, a z bólem trzeba umieć koegzystować.

Jestem perfekcyjnie znieczulony na emocje tego świata.

Są mi one zupełnie obojętne. Nie chcę się w nie angażować, nawet przez krótką chwilę.

\*\*\*

Brud... Zamknięte okiennice... Znowu zmęczenie.

Staję przy ścianie i opieram dłonie na parapecie. Z tej pozycji przyglądam się często ludziom. Czynię to o różnych porach dnia i nocy, dlatego jestem świadkiem ciekawych scen...

Nie obchodzi mnie jednak ich los. Są tylko powłokami, pozbawionymi imion i nazwisk. Nie potrafię i nie chcę się o nich w żaden sposób zatroszczyć.

Jestem obserwatorem, niemym i biernym ludzkim posągiem. Studiuję los świata i jego mieszkańców w chwilach ostatecznego, nieuchronnego upadku tej planety.

Nie rozumiem większości rzeczy, jakie dotyczą pozostałych. Na przykład cholernego kultu ciała i urody. Dlaczego łatwiej zwracamy uwagę na ludzi pięknych i młodych, dbających o siebie niż na doświadczonych i naznaczonych piętnem bólu i cierpienia starców? Czemu nie moglibyśmy im ulżyć i złagodzić męki?

Nic nie ma znaczenia. Nic nie ma sensu. Wszystko jest marnością...

\*\*\*

Babcia powtarzała mi wielokrotnie, że jeśli będę za bardzo narzekał, to pewnego dnia przyjdzie po mnie Kostucha. Ponura, chuda dama o długich palcach. Wydrze ostatnie tchnienie z mej piersi i sprawi, że nie będę już nic czuł...

Nadal czekam na spełnienie tej przepowiedni. Jak na razie tylko w jednym przypadku omal nie doszło do sytuacji, w której rozjechałby mnie pędzący na oślep samochód ciężarowy.

Nie udało mi się zobaczyć oblicza kierowcy, jednak zakładam, że musiał być szalenie rozczarowany.

\*\*\*

Następny poranek. Daleki jednak od zwykłości...

Doświadczyłem dziś czegoś nowego i dziwnego zarazem. Jestem odrobinę zdenerwowany, chociaż ten stan emocjonalny omijał mnie skutecznie przez długie tygodnie...

Spoglądałem, jak to mam w zwyczaju, przez brudne okno na życie innych. W sąsiednim mieszkaniu zasłony są najczęściej szczelnie zasunięte, tak że mogę spokojnie kontemplować ich zielonkawy kolor. Ot, stara dobra nuda.

Teraz jednak sytuacja miała się inaczej. Doznałem zaszczytu wglądu do wnętrza domu. Co więcej, ujrzałem nawet jego gospodarza.

Był całkiem nagi. Tkwił w bezruchu i wpatrywał się prosto we mnie, niczym zimny marmurowy posąg. Sądziłem, że po sekundzie zreflektuje się i zasunie kotary, ale nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego, wycelował palcem wskazującym prosto w przestrzeń gdzieś

w pobliżu mojej głowy i wymówił słowa, których oczywiście nie mogłem usłyszeć. Z ruchu warg odczytałem jednak ich znaczenie. Najwyraźniej ów jegomość starał się mnie przed czymś ostrzec... albo tylko stwierdzał oczywisty dla niego fakt. Nie wiedzieć czemu, ujrzałem teraz w myślach obraz babci bełkoczącej o Kostusze...

– Będziesz następny!

Wyrok czy żart? A może próba zgadnięcia? Niektórzy szaleńcy potrafią wszak całymi godzinami wpatrywać się w cudze okna i wyczekiwać na wzrokowy kontakt z „ofiara”, następnie obnażając się lub podrzynając własne gardła, gdy już do niego dochodzi. Lecz akurat ja doświadczyłem nawet więcej, niż bym chciał...

– Będziesz następny!!!

\*\*\*

Tej nocy spałem niespokojnie. Wierciłem się, co chwilę przewracając z boku na bok i nerwowo mamrocząc. W końcu krzyknąłem na tyle głośno, że aż przebudziłem z tego neurotycznego koszmaru.

Cień. Wydawało mi się, że jeden z cieni w pokoju przybrał ludzką postać, czyhając teraz na moje życie. Wyraźnie oddzielony od przymgłonego światła latarni w tle, zdawał się pulsować i falować niczym wzburzona woda. Zamrugałem kilkakrotnie oczami, starając się dłonią wymacać przycisk lampki nocnej. Zanim tego dokonałem, w różnych częściach pokoju usłyszałem dziwne, ponure szepty...

\*\*\*

Nastanie jasności niczego nie wyjaśniło. Owszem, cień zniknął, za to na parapecie okna pojawił się wielki czarny kruk trzymający w dziobie odciętą różę. Gdy tylko odwrócił ku mnie swe oblicze, usłyszałem gwałtowne łomotanie do drzwi wejściowych.

Całe dotychczasowe apatia i znużenie, dwie dręczące mnie od wielu miesięcy podle siostry, ukryły się teraz w odległym krańcu świadomości, przyczajone w oczekiwaniu na dalszy rozwój zdarzeń.

Wciąż nie mogłem pojąć, kto chce mnie ujrzyć w samym środku zimowej nocy. Przytykając zaspane oko do judasza, w jednym momencie zmartwiałem.

Za drzwiami mojego azylu stała Śmierć. Koścista, przerażająco blada kobieta w czarnej pelerynie. Wbrew sceptykom nie zrezygnowała ze swego standardowego



wizerunku ani z atrybutu w postaci zardzewiałej kosy. Na jej lewym ramieniu siedział znajomy kruk, już bez róży, badający teraz drzwi ciekawskim spojrzeniem.

Nigdy nie wpisywałem się w poczet tych wszystkich płaczących nieudaczników powtarzających, że „tylko ona na mnie czeka” i podobne bzdety. Szczerze mówiąc liczyłem nawet przekornie na to, iż w moim przypadku los uczyni wyjątek i podeśle mi jakąś seksowną egzystencjalistkę. Najlepiej samotną brunetkę, niemieszkającą przesadnie daleko ode mnie.

Zadziwiłem sam siebie: nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, oderwałem wzrok od drzwi i szybko otworzyłem okno. Mieszkałem na drugim piętrze, ale postanowiłem podjąć ryzyko i uciec na balkon sąsiada. W końcu co miałem do stracenia?

Babcia miała rację... Śmierć już tutaj była i chciała mnie ukarać.

Ukarać... Ale dlaczego? Może i faktycznie byłem w ostatnim czasie w dołku, ale żeby od razu tak radykalnie? Wyższa Istota, która nas obserwuje gdzieś z góry, nie ma za grosz wyczucia!

Stanąłem ostrożnie na zlodowaciałej poręczy, z trudem utrzymując równowagę. Nie przewidywałem takiego rozwoju sytuacji, toteż uciekałem odziany tylko w pospiesznie założone trampki. Oczywiście mało użyteczne przy tej pogodzie.

Teraz była to już poważna rozgrywka. Pomiędzy mną a Nią. Jak przeczuwałem, zaprzestała bezskutecznego łomotania w grube drzwi apartamentu i skierowała przed wejście do budynku, siejąc zapewne popłoch wśród moich sąsiadów. Gdy nareszcie odważyłem się na skok na balkon znajdujący się tuż ponad obskurną speluną, omal nie przypląciłem tego złamaniem nogi.

Dało w ten sposób o sobie znać ciągle wylegiwanie w łóżku i dni spędzone na gapieniu w sufit albo czytaniu w kółko jednej i tej samej strony w książce...

Jajogłowi określają to dekadencją, ja – sposobem na przetrwanie.

Wyteżyłem resztkę sił i podciągnąłem się do góry, z trudem wdrapując się po śliskich prętach. Zapukałem w szybę i krzyknąłem o pomoc, jednak bez odzewu. Postanowiłem więc rozbić ciężką cegłą szybę i wtargnąłem do środka.

W staroświecko umeblowanym i przepelnionym zapachem stęchlizny mieszkaniu nie było nikogo – ciszę mąciło tylko miarowe tykanie hebanowego zegara. Pomyślałem, że to lokum należało do kogoś, kto jakiś czas temu poddał się walce z losem... Może nawet znalazłbym z tym człowiekiem wspólny język?

Nie miałem jednak w tym momencie czasu ani ochoty na dalszą refleksję. Przebiegłem obok wyłożonego białymi płytkami pieca kaflowego i szarpnąłem za miedzianą zasuwkę.

Ocierając pot z czoła, zacząłem kroczyć po schodach w stronę wyjścia znajdującego się w brudnej bramie. Omal nie staranowałem zdumionego dozorca, wywijającego w ślad za mną pięścią i przeklinającego wniebogłosey. Na progu było ślisko, toteż musiałem nieco zwolnić tempa, wbijając równocześnie wzrok w wyłączony o tej porze neon knajpy.

Poczułem nieodpartą pokusę wstąpienia tam na drinka. Albo – nawet bardziej – w celu schronienia się przed ścigającą mnie kreaturą. Liczyłem na to, że demoniczna istota nie wpadnie na pomysł, aby wejść do tego specyficznego przybytku.

Całe niebo w jednej chwili pociemniało. Mięśnie karku drżały i próbowały stawić opór, jednak zmusiłem je do uległości i spojrzałem w górę. Z góry, niczym stado kruczoczarnych ptaków, podążali w stronę budynków jeźdźcy Apokalipsy, na czele których dumnie galopowała znajoma już Śmierć. Niemalże bezszelestni, jednak zabójczo skuteczni w swej perswazji, o czym przekonywały mnie legendarne opowieści i historyczne fakty. Poczułem, że od tego spotkania nie będzie ucieczki ani żadnej racjonalnej wymówki. Zewsząd dochodził do mych uszu dziwny szum, zwiastujący nadciągającą plagę szarańczy...

\*\*\*

Niewiele się zastanawiając, wbiegłem do baru. O dziwo, moja obecność tam nikogo specjalnie nie wzruszyła. Trwali dalej posepni nad swymi kieliszkami i kuflami, z rzadka – i lakonicznie – komentując nowości z kraju i ze świata dobiegające ze starego odbiornika radiowego. Najwyraźniej apokalipsa miała dorwać w swój zimny uścisk tylko mnie, oszczędzając innych. A może to tylko cisza przed przysłowiową burzą? I naiwna ignorancja wobec nadciągającego zagrożenia?

Przerażony i rozdygotany, zająłem miejsce w głębi lokalu. Drżąc z przerażenia, przysięgałem teraz zarazem, że nie zmarnuję już więcej choćby dnia swej egzystencji – jeśli tylko uda mi się przeżyć to starcie. Zamówiłem cichym głosem dwie setki wódki i wypłem je duszkiem, kuląc się jednocześnie za plecami masywnego łysielca z krzeselka obok. Zauważył moje nerwowe ruchy i marszcząc czoło, zapytał wprost:

- Pardon, że przeszkadzam, ale... chowasz się tu przed kimś?
- Nie tyle przed kimś, ile przed czymś. Zresztą, nieważne. I tak nie możesz mi pomóc.
- Tak tylko zapytałem – zachnął się nieco, wyraźnie urażony neurotycznym tonem mojej odpowiedzi, podszytej ogromnym lękiem przed konfrontacją z Kostuchą. – Mógłbyś być jednak nieco miłszy, gdy komuś odpowiadasz, prawda?
- Po prostu nie ma dla mnie ratunku...

– Doprawdy? No to, koleżko, wyobraź sobie, że ja też się tu przed kimś chowam.

– Taa, pewnie przed żoną – zażartował chudzielec ze stolika obok, z palcami niemal brązowymi od wieloletniego palenia tanich papierosów.

– Jak, kurde, my wszyscy – zawtórował mu barman, po czym całe towarzystwo wybuchnęło salwą gromkiego śmiechu. Najwyraźniej nikt mi nie wierzył...

Ucichli jednak niczym trusie w chwili, gdy drzwi do lokalu otworzyły się z ogromnym impetem, a na progu stanęła znana mi metafizyczna postać. Rozpostarła swe poszarzałe skrzydła, powodując tym samym poruszenie kilku wiszących u pułapu żyrandoli, po czym wycelowała kościstym palcem prosto w miejsce, na którym siedziałem. Temperatura powietrza w lokalu raptownie spadła o kilka stopni, a wszystkiemu towarzyszyły odgłosy krzyków i szamotaniny dochodzące z zewnątrz. Najwyraźniej towarzysze Śmierci wykorzystywali swą wizytę tutaj dla celów bardziej przyziemnych, niż nawracanie zagubionych owieczek...

– TY!!! – wrzasnęło monstrum, po czym – zanim ktokolwiek zdołał choćby mrugnąć – gigantycznym susem przemierzyło dzielącą nas odległość i zamachnęło swą ostrą bronią.

Kolejnej sceny nie dane mi było ujrzeć, gdyż w akcie desperacji upadłem na kolana i skuliłem pod blatem, modląc się w duchu, by to zdarzenie okazało się jedynie kolejnym idiotycznym koszmarem, wynikiem przejedzenia czy też...

Po krótkiej chwili, gdy nadal nie czułem fizycznego cierpienia i bólu ze strony Śmierci, odważyłem się unieść głowę i spojrzeć dyskretnie na sąsiada z krzesła obok.

Niespodzianka.

Drżał niczym liść osiki, pocąc się i niezrozumiale bełkocząc, podczas gdy mityczna istota trzymała na jego szyi ostrze kosy, cedząc przez zęby gniewnym głosem:

– Znalazłam cię nareszcie, ty łotrze. Myślałeś, że przede mną uciekniesz? Że uda ci się uniknąć naszego spotkania?

– Proszę... jestem niewinny... zostaw mnie!

– Nic z tych rzeczy. Ściąłeś włosy i przytyłeś, ale i tak cię rozpoznaję. Gdy przyszłam po ciebie pierwszy raz, zachowałeś się jak szczeniak i uciekłeś. Nadal nie wiem, skąd mogłeś mieć aż dwa litry kwasu solnego, jednak przez miesiąc nie byłam w stanie ujrzeć czegokolwiek... Gnojek !!!

Przycisnęła kosę jeszcze mocniej do jego grdyki i powoli zaczęła iść w stronę drzwi, mijając po drodze ukrytych we wszystkich możliwych zakamarkach klientów. Grubas, mając do wyboru niechybną dekapitację lub pójście w ślad za demonem, postanowił jeszcze pozostać w świecie żywych.

Na zewnątrz pojawiła się gęsta mgła, szczelnie zasłaniająca i otaczająca resztę ulicy. Z rzadka tylko przecinały ją sylwetki poruszających się w jej wnętrzu postaci – towarzyszy Śmierci, oczekujących niecierpliwie na powrót w zaświaty. Nastąpił on w chwili, w której wciągnęła ona w sam środek zjawiska atmosferycznego przerażonego mężczyznę. Tuż przed zniknięciem odwróciła się raz jeszcze w stronę lokalu i wraz z gestem palca wskazującego, przesłała mi ostrzeżenie:

– A ty, marudo, lepiej uważaj... bo nie znasz dnia ni godziny...

\*\*\*

I tak oto moje życie nabrało jakże paradoksalnego sensu. Wspaniale. Po prostu – wspaniale.

Do końca mych dni, zanim ponownie się z nią nie spotkam, będę miał przed oczyma te sceny i upiorne oblicze.

Będę hołdował temu wydarzeniu z przeszłości i czekał cierpliwie na powrót Śmierci.

Jednak do chwili ponownego spotkania, muszę być czujnym. I w odpowiedniej formie. Zatem – żadne nadmierne zmęczenie czy chwilowa senność nie wchodzi w rachubę. Tak jak i spotkania z nadmiernie zrzędzącymi i smutnymi znajomymi. Wystarczy mi już zmartwień w perspektywie jej powrotu...



rys. Roman Panasiuk

# TYLKO JEDEN RAZ

Jakub Ciaś

Pierwsze płatki śniegu zaczęły leniwie lecieć w dół, aby spotkać się z brukowaną ulicą. Wybiła już jakiś czas temu godzina szesnasta, toteż szarówka zimowego dnia właśnie ustępowała miejsca ciemności. Byłem głodny, ponieważ od mojego ostatniego posiłku minęło już parę godzin, a mimo to nie poddawałem się i nie robiłem sobie przerwy. Przycisnąłem mocniej podbródek do skrzypiec, lewą ręką sprawnie zmieniałem położenie palców, grając *Ständchen* Schuberta. Z moich ust buchnęły kłęby pary, ponieważ przy aktualnie granym fragmencie zawsze wstrzymywałem oddech. Ludzie nie zwracali na mnie uwagi, pochłonięci swoimi sprawami, nikt nie stał blisko, nikt nie słuchał. W otwartym futerale smętnie odbijały światło pobliskiej latarni drobne monety. Tylko monety, żadnych banknotów. Grałem automatycznie i wydawało mi się, że nawet ja sam nie słucham. Gdzie podziała się

wrażliwość ludzi na sztukę? Czy naprawdę nikogo już nie urzekają słodkie tony skrzypiec? Czy dzisiaj po raz kolejny w obleśnym, wynajmowanym pokoiku na kolacje zjem paskudną owsiankę, udając, że mnie nie ma, aby uniknąć rozmowy o czynszu z właścicielem? Melodia urwała się, kiedy oderwałem smyczek od strun. Oparłem instrument i smyczek o budynek, obok którego grałem, i wsadziłem rękę za poły płaszcza, szukając połówki dogaszonej wcześniej cygaretki najpośledniejszego typu. Znalazłem, wsadziłem do ust i zapaliłem zapalką, głęboko zaciągając się dymem. Pomachałem gwałtownie dłonią, aby zapalka zgasła i celnym pstryknięciem palcami posłałem ją do najbliższej studzienki przy krawężniku. Zaciągnąłem się po raz wtóry, czując, jak nikotyna odrobinę wygłusza burczenie mojego żołądka. Rozejrzałem się po ulicy, jakbym wybudził się z długiego odrętwienia. Każdy gdzieś pędził – do rodziny, może do fabryki na nocną zmianę, może po prezenty na zbliżające się wielkimi krokami Boże Narodzenie. Wtedy mój wzrok spotkał się z nim. Stał po drugiej stronie ulicy ubrany w bogato wyglądający płaszcz i przypatrywał mi się z uwagą. Średniego wzrostu, nobliwy mężczyzna po czterdziestce. Jego głowę przed mrozem chronił staromodny kapelusz typu bowler, a w ręku trzymał wyśmienicie szyty nesesser z ciemnej skóry. Nawet stąd mogłem dojrzeć, jak srebrna, jasna klamra walizeczki odbija się w jego wygłancowanych na wysoki połysk butach. Żał było mi wyrzucić resztkę tytoniu, ale czułem pod skórą, że właśnie nadeszła moja szansa. Cisnąłem resztkę cygaretki na chodnik i rozgniotłem niedopałek obcasem, zdecydowanym ruchem chwyciłem smyczek i skrzypce. Oparłem podbródek o zimne drewno i zacząłem się zastanawiać, czym zrobić na nim wrażenie. Zesztywniałe palce nacisnęły na zimne struny, prawa ręka ruszyła nieśmiało i w mroźne powietrze popołudnia uderzyła melodia *Thais meditation* Masseneta. Zamknąłem oczy, ponieważ to sprawiało, że grałem automatycznie i żaden obraz z ulicy nie wytrącał mnie ze skupienia. Średnio zamożny fabrykant szukający taniego muzyka na wesele córki? Urzędnik potrzebujący muzyki na oficjalną kolację decydującą o awansie? Zrozpaczony mąż chcący zapewnić piękną ostatnią drogę zmarłej żonie? Bawiłem się domysłami, mając głęboką nadzieję, że kiedy skończę grać, on nadal będzie tam stał. Potencjalny klient przy moim obecnym oplakany położeniu finansowym byłby prawdziwym szczęściem. Skończyłem grać, nie otwierając oczu, i kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki, ukloniłem się nisko. Otworzyłem oczy i aż zrobiło mi się ciepłej z podniecenia – jegomość stał teraz tuż przy mnie, bijąc brawo i uśmiechając się szeroko. Odwzajemniłem uśmiech i ukloniłem się ponownie. Jego lewa dłoń, zdobna w dwa ciężkie sygnety, zanurkowała w kieszeni i już po chwili mój futerał zdobyły dwa banknoty o bardzo wysokim nominale.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – powiedział ciepłym basem, wyciągając do mnie rękę. – Beaumont. Noel Beaumont.

Wsadziłem szybkim ruchem smyczek pod pachę i gorliwie potrząsałem jego dłonią, przedstawiając się.

– To, co pan zagrał, było wyśmienite! – Uśmiechnął się pod smoliście czarnym wąsem.

– Bardzo panu dziękuję, rzadko dzisiaj spotyka się ludzi, którzy potrafią docenić Masseneta.

– Masseneta – mruknął, kiwając z uśmiechem głową.

Spojrzałem w jego oczy zimnoniebieskiej barwy i mimo że się uśmiechał, poczułem lekki niepokój.

– Czy da się pan skusić na wczesną kolację w moim towarzystwie? Byłoby mi ogromnie miło. Mam nadzieję, że artystę pana kalibru nie gnają dzisiaj nigdzie żadne pilne sprawy? – zapytał, pochylając się lekko w moją stronę.

Miałem rację, trafiłem bez pudła – szykowała się praca – a sądząc po tym, co zagościło w moim futerale z jego ręki – dobrze płatna.

– Z miłą chęcią, jednakże pozwoli pan, że sprawdzę, czy nie mam na dziś żadnych uczniów. – Wyciągnąłem z kieszeni nieduży notes w oprawce z czarnej skóry, którego kartki na co dzień służyły mi do skręcania tytoniu. Otworzyłem notes i wlepiłem wzrok w pustą kartkę, stukając się palcem wskazującym po dolnej wardze.

– Z radością przystanę na pańską szczerą propozycję. – Czarny notesik szybko zamknął się w mojej dłoni i powędrował z powrotem na swoje miejsce.

Sponsor mojej dzisiejszej kolacji przywołał na twarz jeszcze szerszy uśmiech, który nawiasem mówiąc wydał mi się nieco cyniczny. Jegomość miał w sobie coś niepokojącego. Zazwyczaj miałem oko do ludzi i potrafiłem dosyć dokładnie określić profesję i temperament, lecz ten mężczyzna jakoś umykał mojej ocenie. Pecunia non olet, pomyślałem, zamykając skrzypce w futerale i odwróciłem się do mojego dobroczyńcy.

– Proszę za mną – powiedział, wskazując ręką pobliską, dobrze oświetloną, reprezentacyjną ulicę miasta. Ruszyliśmy nieśpiesznym krokiem.

\*\*\*

Westchnąłem głęboko i delikatnie odsunąłem od siebie talerz z resztkami wyśmienitego rostbefu. Przyjąłem ze skinieniem głową cygaretkę, którą właśnie w srebrnej

papierośnicy podsunął mi Beaumont. Kelnerzy krzatali się dookoła nas, zabierając talerze i kładąc na naszym stoliku dwa pękate kieliszki brandy i ciężką kryształową popielniczkę. Uderzyłem się po kieszeni spodni, starając się dociec, gdzie mam zapalki, jednak mój kompan był szybszy i natychmiast podał mi ogień z fikuśnej, bogato zdobionej zapalniczki. Wypuściliśmy kłęby dymu w stronę nastrojowej, niedużej lampeczki wiszącej nad naszym stolikiem.

– Teraz możemy porozmawiać o interesach. – Noel uśmiechnął się, strzepując popiół na nieskazitelnie czysty kryształ popielnicy.

Jeżeli można powiedzieć o człowieku, że zastrzygł uszami, to to właśnie zrobiłem i puszczając nadzwyczaj równe kółko dymu, wlepiłem wzrok w mojego rozmówcę.

– Sprawa, którą chciałbym panu przedstawić, jest prosta. Potrzebuję skrzypka i to na jutro na godzinę dwudziestą trzecią. Jestem osobą odpowiedzialną za organizację pewnego bardzo ważnego dla naszego klubu spotkania.

– Klubu? – Uniosłem brwi.

– Silvercreek Club – odpowiedział, rozkoszując się własnymi słowami i zerkając, czy nazwa zrobi na mnie wrażenie.

Zrobiła. Zrobiła ogromne wrażenie. Silvercreek Club miał swoją siedzibę na obrzeżach miasta i jeżeli wierzyć temu, co mówi pospólstwo, to wstęp tam miała sama góra ludzi, którzy coś znaczyli. Już sama siedziba klubu sprawiała, że maluczkim przebiegały ciarki po plecach – ogromna posiadłość w starodawnym lesie, otoczona wysokim, artystycznie wykutym płotem zwieńczonym ostrzami zdobnych włóczy. Spadziste dachy, wielkie gotyckie okna i szpaler dębów prowadzący do środka nadawały klimat iście fantastyczny. Jeżeli wierzyć szmatławym popołudniówkom, bywali tam biskupi, politycy, mecenas sztuki wszelakich. Jeżeli wierzyć – ponieważ nigdy żadnemu dziennikarzynie nie udało się dostać do środka, ponieważ bogaci klubowicze opłacali nadzwyczaj sprawną ochronę rekrutowaną z byłych konstabli i żołnierzy kolonialnych. Przełknąłem ślinę głośniejsz niż bym chciał i starając się ukryć zdenerwowanie, pokiwałem głową, zachęcając Beaumonta, aby kontynuował.

– Niestety nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że artysta, z którym byłem umówiony, nie będzie mógł uświetnić tego spotkania. Byłem w najprawdziwszych tarapatach, ale bogowie zesłali mi pana. – Uśmiechnął się, zakładając okulary i otwierając swój nesseser.

– Bogowie? – zapytałem.

– Tak, wybaczy pan. – Roześmiał się z zakłopotaniem. – Ostatnio czytuję do snu *Illiadę* i czasami wymysknie mi się podobne powiedzenie.



Wyciągnął z teczki plik papierów owinięty w delikatną cielecą skórę i zawiązany aksamitnym sznureczkiem. Nieśpiesznie odwinął czarny sznurek z mosiężnej pieczęci przytwierdzonej do skóry i odchylił obydwie poły. Moim oczom ukazał się niewielki stosik śnieżnobiałych kartek zapisanych nutami. Noel podsunął je delikatnie ku mnie, a ja podniosłem je do oczu.

– Czy da pan radę na jutro to przećwiczyć?

Zagłębiłem się w nuty – w głowie odtwarzając melodię, którą właśnie rozczytywałem – i niech mnie porwą diabli, była to prawdziwie przedziwna kompozycja. Rozpoczynające legato, podbijane portato, szaleńcze zmiany tempa i nastroju.

– Taaaak... – wymruczałem. – Myślę, że do jutra dam radę to opanować.

– Doskonale! – Noel zabębnił palcami po stole w podnieceniu. – Jednak mam dwa warunki, które muszą być spełnione.

– Jakie to warunki? – Zgasilem swoją cygaretkę i sięgnąłem po brandy.

– Ostatnią część utworu otrzyma pan jutro w klubie na pół godziny przed swoim występem i co bardzo ważne – uniósł wskazujący palec do góry – będzie pan ją musiał zagrać bez żadnych ćwiczeń.

– Czy ostatnia część odbiega trudnością od tego? – Poruszyłem kartkami w lewo i w prawo, jakby się wachlując.

– Nie, oczywiście, że nie – stwierdził zyczliwie. – Większość, która to grała, twierdziła, że ostatnia część jest nawet odrobinę łatwiejsza.

– A byłby pan łaskaw zdradzić mi, dlaczego nie mogę ostatniej części dostać dzisiaj i jej przećwiczyć?

– Ponieważ – ściszył teatralnie głos i nachylił się ku mnie – ostatnia część to oryginalny rękopis Ericha Zanna.

Zamurowało mnie i ostrożnie odłożyłem kartki na stół, wpatrując się w niego uważnie.

– Niemego Ericha Zanna, który zaginął bez śladu w Paryżu? Przecież ten człowiek to mit, o którym opowiada się szeptem we wszystkich konserwatoriach. Czy pan jest pewien...

Przerwał mi zdecydowanie, podnosząc dłoń. Odchrząknął.

– Nie zaprosiłem tu pana, żeby roztrząsać podobne tematy. Prawdziwa czy nie – dajmy temu spokój, bo chciałbym przejść do drugiego warunku naszej umowy. Całość zagra pan na skrzypcach dostarczonych przez klub.

Zamknąłem usta, bo właśnie dotarło do mnie, że mam je otwarte odkąd usłyszałem o rękopisie.

– To nie powinno stanowić żadnego problemu – odparłem – jeżeli będą dobrze nastrojone i bez defektów.

W Silvercreek Club zagrałbym, nawet jeśli wymagaliby, bym zrobił to nago, ale nie chciałem dać po sobie poznać podekscytowania. Beaumont opierał podbródek na piramidce z palców i spoglądał na mnie z dobrotliwym uśmiechem. Potem ustaliliśmy honorarium, od którego zakręciło mi się w głowie, podałem mu swój adres, na który jutro punkt dwudziesta pierwsza miał przysłać po mnie powóz i pożegnaliśmy się jak dwójka starych znajomych. Gdy tylko Noel zniknął za rogiem, ścisnąłem z całych sił futerał ze skrzypcami i pędem pobiegłem na złamanie karku w kierunku swojego wynajmowanego pokoju, aby jak najszybciej zacząć ćwiczenia. Taka szansa zdarzała się tylko raz w życiu.

Siedziałem w powozie jak na szpilkach i starałem się opanować zdenerwowanie. Ćwiczyłem utwór dostarczony przez Beaumonta aż do szóstej nad ranem, żeby wypaść znakomicie, jednakże to nie ćwiczenia zmęczyły mnie tak bardzo. Wspominałem już, że to, co ćwiczyłem, było niezwykle dziwne i skomponowane w zgodzie ze sztuką, ale podczas ćwiczeń cały czas miałem wrażenie czyjejś nieuchwytniej obecności. Wmawiałem sobie, że to na pewno efekt stresu i zagadki ostaniej części utworu, z którą miałem się zapoznać tuż przed występem, ale było coś, co cały czas nie dawało mi spokoju. Ta obecność podczas ćwiczeń – nieuchwytna, przerażająca. Niepokój, który gnał ciarki po moim krzyżu z każdym dźwiękiem skrzypiec. Mogłem to porównać do stanu po przedawkowaniu laudanum, kiedy człowiek niby jest w całości, ale wewnątrz czuje się jak krucha mozaika, która lada moment może się rozsypać. Odgoniłem od siebie ponure myśli i odpaliłem cygaretkę. Odsunąłem delikatną zasłonkę z okna powozu i spojrzałem na piękny księżyc w pełni. Światło księżyca doskonale oświetlało las, którym mknął powóz, poskręcane gałęzie przypominały węże wijące się w nicości pośród kosmicznej ciemności. Boże, skąd u mnie takie porównania? Wziąłem gwałtownie kilka bardzo głębokich oddechów i poklepałem się mocno po policzkach, aby odgonić szalone myśli po nieprzespanej nocy. Powóz szarpnął gwałtownie i zatrzymał się. Usłyszałem odmykanie ogromnej bramy i za chwilę – już wolniejszym tempem – ruszyliśmy znowu. Kiedy powóz znów stanął, drzwi otworzył mi woźnica, który nadzwyczaj szybko zszedł z kozła. Jakbym miał gdzieś uciec, a jego misją miałyby być powstrzymanie mnie. Podziękowałem skinieniem głową i wysiadłem na ścieżkę wysypaną drobnymi, białymi kamykami. Wygładziłem obiema dłońmi marynarkę i rozejrzałem się. Nie byliśmy pod głównymi drzwiami Silvercreek Club. Spojrzałem pytająco na mojego towarzysza.

– Wejście dla artystów – rzekł, wskazując obutą w białą rękawiczkę dłonią dębowe drzwi, do których prowadziły trzy zgrabne, marmurowe schodki. Ruszyliśmy.

\*\*\*

Stałem pochylony nad niedużą gablotą z kryształowego szkła. W gablocie na czerwonym aksamicie leżała otwarta ostania część utworu, który miałem dzisiaj zagrać. Dwie strony nut wieńczące utwór, który ćwiczyłem całą noc. Bardzo stare i poplamione strony, których pod żadnym pozorem nie wolno mi było dotknąć, a czuwał nad tym służący stojący metr ode mnie i wpatrujący się nieprzerwanie, jak czytam nuty, odrywam się od nich i w powietrzu na sucho przebieram dłońmi. Pozwalało mi się to skoncentrować. Zostałem poinformowany, że owa gablotka zostanie dla mnie wyniesiona na scenę, żebym mógł zagrać bez przeszkód, aczkolwiek Noel był tak miły, że kazał służbie dostarczyć ją do garderoby, żebym się zapoznał. Chętnie pozachwyciłbym się kunsztem tych przedziwnych nut i niewątpliwie niezmierną melodią, którą wydobyję dzisiaj ze skrzypiec, ale teraz mój mózg pracował na jak najwyższych obrotach, aby jak najwięcej przyswoić. Trzasnęły drzwi od garderoby i oderwałem wzrok od kartek. W drzwiach stał sam Noel Beaumont, trzymając pod ramię oszalałymi piękną kobietę. Jej figura była smukła, skóra blada, a twarz przywodziła na myśl jednocześnie namiętność i niebezpieczeństwo. Noel miał na sobie wyborny czarny frak, a tajemnicza piękność wieczorową suknię z głębokim dekoltem i naszyjnik z ogromnym czarnym opalem.

– Pozwolisz, że przedstawię. – Beaumont i dama zbliżyli się do mnie. – Elise Beaumont, moja piękna żona.

Elise podeszła dwa kroki na przód i wyciągnęła swoją długą, smukłą dłoń do ucałowania. Natychmiast zgiąłem się w ukłonie i lekko dotknąłem wargami jej chłodnej skóry pachnącej wyszukаныmi perfumami. Cofnęła dłoń i obdarzyła mnie drapieżnym uśmiechem.

– Jak idzie nauka, mój drogi? – zapytał Noel, biorąc znów Elise pod ramię.

– Dam radę – odparłem z pewnością siebie, która zadziwiła nawet mnie samego.

– Mówiłem ci, że mam oko do artystów – sapnął z podnieceniem wprost w ucho swej towarzyszki.

– Liczymy na pana, to bardzo ważna ceremonia dla członków klubu – powiedziała wyniośle dźwięcznym altem.

– Nie zawiodę państwa oczekiwań, gorliwie się przygotowałem. – Uśmiechnąłem się niepewnie.

Patrzyła na mnie dłuższą chwilę bez jednego słowa, a ja czułem, że cała moja pewność siebie topi się niczym woskowa świeca wrzucona do ognia. Po dłuższej chwili głosem nienawykłym do sprzeciwu rzekła:

– Nie będziemy dłużej przeszkadzać, proszę wszystko raz jeszcze powtórzyć. Mam nadzieję, że po ceremonii zostanie pan z nami na lampkę wybornego wina?

Noel Beaumont zachichotał.

– Oczywiście, będzie mi bardzo miło – wydukałem, lekko się kłaniając.

– Żegnamy i połamania skrzypiec. – Odwróciła się, podając mężowi dłoń i obydwójce wyszli.

Stałem tam jeszcze przez chwilę, chłonąc zapach jej perfum, kiedy ze stuporu wyrwał mnie głos służącego:

– Dwadzieścia minut.

Pochyliłem się znów nad gablotą.

\*\*\*

Stałem na scenie i cały czas w myślach powtarzałem od początku do końca cały utwór. Kurtyna była zasłonięta i panował przyjemny półmrok, a zza niej słychać było przytłumione rozmowy. Przyjrzałem się jeszcze raz niesamowitym skrzypcom, które dostarczył mi służący. Prawdziwy majstersztyk, czarne jak noc, z niesamowicie drogiego gatunku drewna, którego nie byłem w stanie zidentyfikować. Doskonałej jakości struny. Skrzypce były wygodne, jakby ktoś zrobił je na specjalne zamówienie tylko dla mnie. Niesamowita talia, ekscentryczne otwory rezonansowe przywodzące na myśl macki jakiegoś morskiego stworzenia. Położyłem podbródek na instrumencie i złapałem za szyjkę. Kurtyna powoli zaczęła odsuwać się, a moim oczom ukazała się sala balowa dużo mniejsza, niż się spodziewałem. Na sali stały w niesłychanym porządku dwa tuziny postaci. zaskoczyłem byłem lekko zaskoczony, ponieważ wszyscy mieli na sobie długie płaszcze z kapturami. Nikomu nie było widać twarzy, a tylko cztery postacie stojące najbliżej sceny miały białe płaszcze – reszta była ubrana w czarne jak noc. Zaszło mi w gardle z wrażenia, ponieważ panowała wręcz grobowa cisza. Skarciłem się w myślach, bo przecież każdy klub i tajne stowarzyszenie miało swoje dziwactwa. Wziąłem się w garść i ukloniłem się, po czym zamknąłem oczy i zacząłem grać. Sala miała fantastyczną akustykę i pierwsze dźwięki rozbrzmiały głośno i zaskakująco jak grom uderzający w słoneczny dzień. Grałem automatycznie i przymknąłem oczy, aby nie dekoncentrować się widokiem mrocznych postaci. Pierwsza minuta utworu zauroczyła nawet mnie – to nie brzmiało jak wtedy, kiedy ćwiczyłem to w swoim obskurnym pokoiku – brzmiało doniośle, wyraziście. Poczułem zapach, jaki czuje się przed gwałtowną burzą, elektryzujący, pobudzający wszystkie komórki

ciała. Muzyka płynęła nieprzerwanie, a ja wpadłem w rodzaj transu, jakiego nigdy wcześniej nie czułem. Każdy dźwięk porywał moje serce i wzbudzał w moim ciele istny sztorm. Czułem się jak furia natury, jak pogański bóg, który jednym ruchem ręki powołuje do życia niezliczone światy, a drugim niszczy je wszystkie bezpowrotnie. Ścisnąłem instrument z całych sił, jednak to nie zmieniało jego dźwięku. Moje myśli ogarnęła mgła, słodka niczym pierwsze pociągnięcie opium. Grałem i grałem cały czas, przyspieszając i zwalniając, tak jak uczyłem się przez całą noc. Uchyliłem lekko oczy, kiedy dotarłem do spokojniejszego fragmentu i zauważyłem, że po sali chodzą służący ze srebrnymi tacami, na których poukładane są niewielkie, białe bryłki wielkości połowy małego palca. Co u diabła? Narkotyzują się? Co to jest? Urwałem dźwięk pierwszej części – teraz była chwila prawdy. Mój czas. Czas pokazać sztukę wszystkim dziwakom na tej sali. Mój wzrok spoczął na gablocie z rękopisem, a ręka sama, jak za pomocą jakiś bluźnierczych czarów, zaczęła grać. Nuty napisane rzekomo ręką samego Zanna rozjarzyły się upiornym bladoniebieskim światłem i wtoczyły w mój umysł niczym uderzenie morfiny. Wiedziałem, że gram, ale nie słyszałem dźwięków. Leciałem na skrzydłach przedwiecznej, pradawnej siły w najciemniejsze otchłanie kosmosu. Przed moimi oczami przelatywały miliony mrocznych gwiazd zawieszonych poza czasem i przestrzenią. Dziwaczne miasta wznosiły się i upadały w tej samej sekundzie, przedwieczne siły kotłowały się w centrum wszechświata, a ja mogłem tylko podziwiać ten urągliwy bluźnierczy spektakl w samym centrum wszechrzeczy, w chaosie i porządku, zawsze i nigdy. Czułem, że zaraz zmysły opuszczą moje mizerne ciało, głowa i skronie pulsowały, a podbródek palił żywym ogniem. Słyszałem chóralne głosy z sali, wypowiadające jakieś diabelskie zdania w rytm muzyki, którą sam grałem. I kiedy krzyk stał się nie do zniesienia, smyczek puścił struny i opadł w stronę mojego uda. Ocknąłem się jakby ze złego snu i półprzytomnie spojrzałem na salę. Wszyscy klęczeli, przyciskając czoła do dębowej podłogi. Wypuściłem z rąk skrzypce, ale nie wydały żadnego dźwięku. Obróciłem się za siebie i wtedy go zobaczyłem. Nieokreślonego koloru kolos na trzech przypominających pnie nogach. Dwie ogromne szponiaste dłonie, brak twarzy, a zamiast głowy długa obrzydliwa, błyszcząca macka. Sam wygląd tego przeczył prawom natury i poczułem, jak coś pęka w mojej głowie. To nie były fizyczne obrażenia – to coś okaleczało całą moją duszę a obrzydliwa macka delikatnie zakryła mi oczy i nie było już niczego.

\*\*\*

Pierwsza podniosła się wielka magini Silvercreek Club, a właściwie Nieskończonego Kręgu Czarnej Pieczęci, bo tak dla wtajemniczonych nazywało się to zgromadzenie. Elise oderwała czoło od zimnych dębowych desek podłogi i spojrzała na scenę. Poza gablotą na scenie nie było absolutnie niczego – ani skrzypiec, ani skrzypka – za to tajemne glify wyryte na podłodze jarzyły się jeszcze przez chwilę niebieskawym, zimnym światłem. Nowi adepci w białych szatach podnieśli się jak na komendę i odwrócili do kobiety idącej w ich stronę. Elise wyjęła woskowe korki z uszu i rozpostarła szeroko ramiona.

– Dokonało się! Wielki Yog-Sototh, klucz i brama, czas i przestrzeń, przyjął naszą ofiarę! – krzyknęła.

Nowicjusze w białych szatach klękali przed nią, a ona po kolei wolnym krokiem składała matczyne pocałunek na czołach swoich nowych braci. Kiedy złożyła ostatni, odwróciła się do Noela, który już z resztą sabatu czekał, by powitać nowych braci. Podłogę pokrywało morze woskowych korków do uszu, teraz już niepotrzebnych po inicjacji i ofierze. Przyglądała się, jak nieco oszołomieni adepci zmieniają białe płaszcze na smoliście czarne. Beaumont pojawił się z nią i ujął delikatnie za łokieć, a ona złożyła głowę na jego torsie i wyszeptwała:

– Jaka szkoda, że melodię Zanna można usłyszeć tylko raz podczas inicjacji. Tylko raz... – powtórzyła i uroniła łzę, którą Noel złapał z jej policzka jedwabną chusteczką.



# ZAJĄŁEM SIĘ MOJĄ MAMĄ

Michał Krajniak

Stoję w kolejce do okienka, wkurzam się i strasznie się pocę. Jest lato, a w tej pieprzonej aptece chyba nie słyszeli o klimatyzacji. Najwyraźniej nie znają też takiego pojęcia jak sprawna obsługa. Przede mną jest raptem pięć osób plus dwie już obsługiwane, a te pizdy farmaceutki grzebią się jak muchy w smole. Jednej kobiecie poświęciły piętnaście minut. Piętnaście minut! Sprawdziłem z zegarkiem w ręku.

Słyszę, jak za mną otwierają się drzwi. Chwilę potem dobiega mnie człapanie i sapanie. Zerkam za ramię. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że do apteki wszedł

opalony, stary hipopotam z wyjątkowo kiepskim uczesaniem. Ale nie, to tylko stara baba. Wiecie, taka z uboższej rodziny, co to siedzi całymi dniami na ławce pod blokiem, gada z koleżankami o byle czym, pilnuje swoich brudnych wnuków, którym gluty z nosa ciągną się do ziemi i pali ręcznie zwijane papierosy z najtańszego, najpodlejszego gatunku tytoniu. I taka właśnie dostojna dama staje mi centymetry za plecami. Staje i dyszy.

Mam wrażenie, że zatrzymał się za mną parowóz. Jestem sobie w stanie wyobrazić jej pracujące płuca. Do tego czuję smród – wspomnianą wcześniej woń tanich papierosów i spoconego ciała, jak na mój nos nie zażywającego kąpieli od najmniej dwóch dni.

– Kurwa mać... – Słyszę za sobą szept.

Odsuwam się nieznacznie, bo właśnie poczułem na łokciu ciepły powiew jej oddechu. Jestem dość wysoki, baba sięga mi może do barku, więc jej usta są mniej więcej tam, gdzie kończy się krótki rękaw mojej koszulki.

Świetnie – ślamazarna obsługa apteki, brak przewiewu, przez co czuję się, jakbym miał basen pod ubraniem, i na dokładkę kobita dysząca jak zdezelowany niemiecki czołg i śmierdząca jak emerytowany niemiecki czołgista.

– Jezzzzu... – Słyszę jej syk. Spuszczanie powietrza z tłoku lokomotywy.

\*\*\*

Męki wreszcie dobiegają końca i przychodzi moja kolej do okienka. Młoda farmaceutka wita mnie uśmiechem. Powstrzymuję się, żeby nie wygarnąć, co sędzę o szybkości obsługi.

– Kompresy jałowe piętnaście na piętnaście i jedna gaza trzydzieści na sto pięćdziesiąt, proszę.

Farmaceuta robi wielkie oczy.

– To dla pana? – ciekawi się.

– Nie, dla mojej mamy. – Jakimś cudem zdobywam się na nikły uśmiech. – Wie pani, to starsza osoba, właściwie sama się nie rusza... Odleżyny i te sprawy.

Farmaceutka kiwa głową i zdaje mi się, że w jej oczach przez sekundę błyska współczucie. Potem przynosi to, co chciałem. Płacę, dziękuję grzecznie i wychodzę. Odwracam się jeszcze w drzwiach i widzę jak stary hipopotamo-lokomotywo-czołg człapie do okienka.



\*\*\*

Z moją mamą mam spory problem. Kobita ma ponad sześćdziesiąt lat, już od jakiegoś czasu jest na emeryturze (przedtem pracowała jako nauczycielka polskiego w podstawówce), a pół roku temu złamała nogę. Tak poważnie i tak boleśnie, że przykuło ją to do łóżka. Mama od wielu lat cierpi na osteoporozę, a w dodatku w ostatnim roku pojawiły się u niej pierwsze objawy demencji. Zająłem się więc nią.

Przedtem pracowałem jako pielęgniarz, wpierw na oddziale onkologicznym, potem chirurgicznym. Zajmowałem się pacjentami z różnymi uszkodzeniami ciała, od odleżyn, poprzez złamania, aż na ranach pooperacyjnych kończąc. Asystowałem też przy kilkunastu operacjach. Nie muszę chyba więc dodawać, że takie rzeczy jak karmienie i zabiegi higieniczne – na przykład mycie pacjenta czy przebieranie go – były dla mnie chlebem powszednim.

W związku z mamą musiałem zrezygnować z pracy. Nie dostałem żadnej odprawy, a teraz musimy żyć z jej emerytury i zasiłków. Niektórzy mówią, że postąpiłem niewłaściwie. Nie mają racji.

Od dziecka jestem głęboko wierzącym katolikiem, podobnie jak mama, która wychowywała mnie sama. A czwarte przykazanie mówi: czcij ojca swego i matkę swoją. Co prawda ojca nigdy nie poznałem, ale jak mógłbym uniknąć gniewu Boga, gdybym po prostu oddał mamę do jakiegoś zakładu opieki? Wyrzuciłbym ją na śmietnik. Na to nie zasługuje żaden człowiek. Poza tym sam czułbym się z tym fatalnie. Sumienie wpierw męczyłoby mnie okrutnie, aż w końcu by mnie zabiło.

Najwięcej pracy mam przy opatrywaniu odleżyn, ale z mamą jest też dodatkowy problem. Podejrzewam, że to przez tę demencję. Już od samego początku, sześć miesięcy temu, nie rozumiała, że chcę jej pomóc. Opierała się za każdym razem, kiedy chciałem zabezpieczyć ją w łóżku, aby w nocy nie przeturlała się podczas snu, spadła na podłogę i się potłukła. Jednak najbardziej chyba nie lubi zabiegów. Czy wspominałem, że złamana noga mamy już nigdy nie będzie sprawna, a ja muszę co jakiś czas wykonywać przy niej drobne czynności medyczne? Jeśli nie, to już wiecie. Mama jednak za każdym razem stawia mi opór. Nie dociera do niej, że to, co przy niej robię, to dla jej dobra.

Na początku było mi ciężko, ale potem powiedziałem sobie: Bóg tak chciał. Cóż więcej mogłem zrobić? Musiałem się poddać cierpieniu i wypełnić Jego wolę.

Nikt mi nie pomaga. Za opiekunki z opieki społecznej trzeba płacić, a nie mam na to pieniędzy. Muszę sam sprzątać, gotować, prac, opłacać rachunki... no i mama. Całymi dniami mama.

Panie, jeśli jest to twój sposób na nas, byśmy dostąpili zbawienia, daj nam siłę, byśmy nie zwątpili.

\*\*\*

Dziadkowie odeszli kilkanaście lat temu. Siostra mamy też już nie żyje, a brat mamy dogorywa na oddziale paliatywnym w szpitalu w innym mieście. Kuzynostwo od dawna siedzi za granicą, poza jedną kuzynką, ale ta mieszka na drugim końcu Polski i nasz kontakt ogranicza się do składania sobie życzeń świątecznych przez telefon. Koleżanki mamy z pracy nie odwiedzają jej. Boją się zobaczyć ją w takim stanie, obrzydza je choroba.

Lekarz idzie mi na rękę. Wystarczy, że dzwonię i proszę go o wypisanie recept dla mamy, które odbieram osobiście w ośrodku zdrowia i realizuję w najbliższej aptece. Właśnie tej, w której niedawno hipopotam dyszał mi w plecy.

\*\*\*

Zbliżam się do swojego osiedla. Drogę przecinają mi ganiające się dzieciaki. To dwie dziewczynki, które mają na głowie opaski w kształcie uszu kota i jeden chłopiec trzymający w ręku coś, co przypomina miecz. Drą się przy tym wniebogłosy. To, co z tego rozumiem, jest bezmyślnym bełkotem. Dzieci na oko trzecia-czwarta klasa szkoły podstawowej. Za czasów mojego dzieciństwa uchodziłyby za niedorozwinięte umysłowo. Cóż zrobić? Głupie bachory jeszcze durniejszych rodziców.

Przechodzę obok sklepu monopolowego i już widzę, jak do mnie macha, i już widzę, jak do mnie krzyczy wysoki, gruby facet z frajerskim wąsem pod nosem. To Paweł. Chodziliśmy razem do podstawówki. Paweł pamięta mnie i jest wobec mnie życzliwy i serdeczny, jednak lubi też dużo gadać, a to akurat jego największa wada. Bo gdy zaczyna wypowiadać się dłużej na jakikolwiek temat, nie potrzeba dużo czasu, by stwierdzić, że jest intelektualną amebą.

Woła mnie głośno, więc żeby ludzie na ulicy nie zaczęli się dziwnie na mnie patrzeć, podchodzę do niego.

– Co tam, Damian, chłopie? – pyta, podając mi rękę. Drugą dłonią klepie mnie po ramieniu.

– A nic, po staremu – odpowiadam.

– Może walniemy po piwku? Opowiesz mi to i owo.

– Nie, raczej nie. Trochę mi się spieszy.

– Oj tam, nie gadaj! Gorąco jest! Zimne piwko dobrze ci zrobi.

Choćbym nie wiem, jak bardzo się starał, on i tak będzie namawiał. Godzę się więc i już wkrótce stoimy przed sklepem oparci o płótek i pijamy zimnego browara. W sumie Paweł miał rację. Piwo dobrze mi robi. Myśl o tym, ile jeszcze dzisiaj będę musiał zrobić przy mamie, nie przytłacza mnie aż tak mocno jak jeszcze kwadrans temu.

Opowiadam Pawłowi, że u mnie bez zmian. Cały czas zajmuję się mamą i tak dalej. On kiwa głową (myśli, że wygląda jakby mnie rozumiał, gówno rozumie, palant jeden) i zaczyna opowiadać jakąś bezsensowną historię. I wtedy nagle przechodzi do czegoś, co sprawia, że aż krew mi się w żyłach gotuje.

Na ogół gadatliwość Pawła i jego historie, ciągle te same, są dla mnie tylko męczące i nudne. Ale tym razem mówi coś takiego, że mało brakuje, abym mu jebnął. Chętnie rozbiłbym mu butelkę piwa na łbie.

– Wiesz, kiedyś, jak byłem dzieckiem, mieliśmy psa – zaczyna opowiadać – Brutusa. Bardzo fajny zwierzak. Dostałem go, jak miałem jakieś pięć lat. Wszyscy w rodzinie go kochali – ja, rodzeństwo i rodzice. Pies był łagodny, wiesz, rasa rabrador. Lubił inne dzieciaki, w ogóle był przyjazny dla ludzi. Nie chorował, nie miał nigdy wypadku – wiesz, to był mądry pies. Brutus zawsze przechodził przez pasy na zielonym świetle. Żarł tylko karmę dla psów i pił wodę. Do weteryniarza chodziliśmy z nim co jakiś czas, ale tak wiesz, kontrolnie. A tu nagle, jak Brutus miał dziesięć lat, ciężko zachorował. Dokładnie tak, jak teraz twoja mama.

Myślałem, że się zakrztuszę. Łyk piwa zatrzymał mi się w gardle, ale jakoś zdołałem go przełknąć. W pierwszej chwili myślałem, że Paweł zdobył się na jakiś kiepski, złośliwy żart pod moim adresem, ale nie. On gadał całkiem serio.

– Weteryniarz powiedział, że to jakiś rak w mózgu czy coś. W każdym razie Brutus szybko schudł. Robiliśmy przy nim wszystko, co czeba. Wiesz, podtykaliśmy mu żarcie pod nos, myśliśmy go, zmienialiśmy mu koce... a jak już było tak naprawdę źle, to robiliśmy mu okłady na sierść, takie wiesz, z tetrowych pieluch zamoczonych we wodze. Dopóki Brutus jadł, to wtykaliśmy mu pigułki do karmy. Ale jak już nie chciał w ogóle tykać jedzenia, to

pozostały zastrzyki. Prawie rok moja psina tak się męczyła. Jak Brutus odchodził, to jeszcze polizał mnie po ręce. A potem zamknął oczy i już. Nie było go.

Paweł ociera łzę, która mu się zakręciła w oku i bierze solidny łyk piwa. Potem znów kładzie mi rękę na ramieniu.

– Tak że rozumiem cię, chłopie. Cholernie dobrze cię rozumiem.

Wypijam nieco więcej niż pół piwa na duszka i pod pretekstem, że matka czeka na mnie głodna (w rzeczywistość nakarmiłem ją przed wyjściem do apteki), opuszczam płotek pod sklepem monopolowym. Paweł jeszcze krzyczy za mną życzenia powodzenia.

Idę, zaciskam zęby i pięści, tak że aż kłykcie mi bieleją. W reklamówce, w której trzymam opatrunki, powstaje niewielka dziura. Jak ten debil w ogóle śmiał porównywać moją matkę do psa?! Brutus, wierny pies, „rabrador”? Schudł, robiliśmy wszystko, co czeba? Koce, pieluchy tetrowe, pigułki w karmie, serio? Rozumiem cię, chłopie?

Nieraz wyobrażałem sobie, że jak gdzieś wyjdę, ot choćby właśnie do apteki, to kiedy wrócę, moja matka już nie będzie żyła. Lizał go po ręce, potem zamknął oczy i odszedł? Nosz ja pierdolę!

Dla Pawła to było wszystko jedno i to samo. To, co mnie spotkało w życiu i choroba jego psa. Myślał, że mnie rozumie! Kurwa, ludzie z tak bezdenną głupotą fizycznie nie mają prawa istnieć, bo czarna dziura w ich głowie już dawno powinna ich zassać. Ale najbardziej wkurwiła mnie ta jego łza. Łza, którą otarł, porównując swojego zdechłego pchlarza do mojej rodzonej matki.

Przechodząc obok śmietnika, dostrzegam nadgniłe jabłko leżące na ziemi. Kopię je z całej siły, wyobrażając sobie, że to głowa Pawła. Jabłko rozkwasza się o ścianę śmietnika i rozpada na wiele mniejszych kawałków.

Już trochę mi lepiej.

\*\*\*

Wchodzę po schodach naszego jednorodzinnego domu. Otwieram drzwi i wchodzę do środka.

– Już jestem! – krzyczę od progu.

Zero odpowiedzi. W pokoju mamy gra telewizor, dość cicho, mógłbym ją usłyszeć, ale mama nie zawsze odpowiada. Demencja ma to już do siebie. Czasem po prostu występuje brak reakcji. No, chyba, że...

Zaniepokojony zaglądam do pokoju.

– Jestem – powtarzam.

Tym razem matka, leżąc w łóżku, odwraca głowę w moją stronę. Nie mówi nic, tylko obdarza mnie spojrzeniem swoich dużych, nierozumiejących oczu. W telewizji leci jakiś program przyrodniczy. Czyta Krystyna Czubówna.

Mama jest całkiem siwa, włosy, rozczesane po bokach, sięgają do szyi. Zapadnięte policzki, pokryte zmarszczkami, dopełniają obrazu osoby trawionej przez chorobę. Ręce i nogi przypominają suche sęki. Podejrzewam, że nikt nie chce odwiedzać mojej mamy, bo po prostu przykro patrzeć.

Podchodzę do łóżka i sprawdzam pasy. Są ciasno zapięte. To bardzo dobrze. Idę po opatrunki i kładę je na stoliku. Nagle coś mnie rusza. Zerkam na kalendarz. Szesnasty maja, no tak. Kolejna miesięcznica od dnia, kiedy moja mama złamała nogę.

– No, dziś trzeba znów trochę uciąć, mamó – oznajmiam, po czym wychodzę z pokoju.

– Neeee... – Słyszę za sobą. Skubana, jak chce, po potrafi odpowiedzieć!

Wracam z piłą do metalu, opaską uciskową, zastrzykiem ze znieczuleniem i środkiem odkażającym.

Biblia powiada, że każda ciężka przewlekła choroba, która spada na człowieka, jest wynikiem grzechu. Głosi też, że jeśli jakakolwiek część ciała jest przyczyną grzechu, należy ją odciąć i odrzucić. Jezus może uleczyć z choroby. Na pewno to zrobi z moją mamą, kiedy tylko ona odbędzie już swoją pokutę za grzechy i nastąpi zadośćuczynienie. Mama złamała nogę – więc noga jest przyczyną grzechu. Kiedy tylko ją poskładali w szpitalu i uznali, że noga wyzdrowiała, ja uznałem, że wcale nie jest zdrowa. Noga mojej mamy nie jest zdrowa duchowo. Ma w sobie grzech. Jest naczyniem grzechu. Trzeba się więc jej pozbyć.

Z początku nie chciałem ucinać całej nogi. Pomyślałem, że wystarczy stopa. Ale kiedy już to zrobiłem, przez cały miesiąc choroba mamy nie ustępowała. Bóg nie chciał jej wyleczyć. Wszystko stało się dla mnie jasne. Grzech tkwi o wiele głębiej niż w stopie. Żeby się go pozbyć, trzeba ciąć dalej. Dlatego też co miesiąc, szesnastego, ucinam mamie kawałek nogi, bo chcę odjąć od niej grzech. Chcę, by wyzdrowiała.

– Synku, proszę, nie... – mamrocze. Nie rozumie, że to dla jej dobra.

– Spokojnie, mamó. Wszystko będzie dobrze – zapewniam.

Daję jej miejscowe znieczulenie i już wkrótce przystępuję do operacji. Na rękach mam lateksowe sterylne rękawiczki. Higiena przede wszystkim.

Zakładam mamie opaskę uciskową. W pogotowiu mam już przyszykowane kompresy i jałową gazę. Obmywam jeszcze ostrze piły do metalu w spirytusie i przykładam je do

kikuta. Zostało nieco więcej za kolanem. Odmierzam jeszcze odcinek grubości pięciu centymetrów (pięć to liczba ran Chrystusa, a w jego męce topią się grzechy człowieka) i zaczynam ciąć. Mimo opaski uciskowej krew tryska, trochę na gazę jałową, trochę na łóżko. Niedobrze. Trzeba będzie zmienić pościel.

Matka zaczyna jęczeć i czasem wydaje coś na kształt pisku. Do tego mamrocze, coś jakby mantra.

Ostrze piły zagłębia się w mięsie. Ja czuję obrzydzenie. Widzę jak grzech wypływa z tej rany – jest odrażający, gwałcący ludzką godność i obrażający Boga. Jest też niebezpieczny. Może zwabić szatana. Zaczynam odmawiać modlitwy, nie przerywając zabiegu.

– Nie... nie... nie, nie, nie... – mamrocze moja mama. Ech, biedna istota.

Wreszcie natrafiam na kość. Tutaj zawsze jest najciężej. Czasami trzeba piłować kilka minut. Pomagam sobie więc drugą ręką zwiększając nacisk. Tym razem nie jest tak źle. Kość pęka po kilkunastu sekundach z wyraźnym trzaskiem, a mama znów wydaje stłumiony pisk.

Zagłębiam się dalej w mięso. Jeszcze kilka cięć i piłka metalu przerywa skórę z drugiej strony, ujawniając się światu. Jej stal jest cała zabarwiona na czerwono i ocieka krwią.

– No, już prawie po wszystkim – oznajmiam.

Z obrzydzeniem odrzucam ucięty kawałek ciała mojej mamy do kominka. Spali się go wieczorem. Tymczasem odkażam ranę. Chwilę mi zajmuje, nim zakładam odpowiednio zabezpieczony opatrunek.

Idę po kroplówkę i podłączam do żył mamy. Ona wydaje teraz z siebie dziwne pomruki. Oczy ma zamknięte, a z ust cieknie jej ślina. Wycieram jej buzię i przyglądam się. Mój Boże, jak ja ją kocham! Daję jej buziaka i po cichu wychodzę z pokoju.

Nachodzi mnie teraz myśl, co będzie, jeśli i tym razem uciąłem za mało? Cóż, okaże się po miesiącu. Jeśli mama wciąż będzie chora, będę musiał pójść po siekierę żeby się przerąbać się przez kości kolana. Piłka do metalu może nie wystarczyć.

\*\*\*

Wieczorem słyszę słabe odgłosy z pokoju mojej mamy. Idę tam. Mama otwiera oczy i patrzy na mnie. Widzę, że mnie poznaje.

– Synku... – mówi słabym głosem. – Już wróciłeś ze szpitala?

– Tak, mammo. Przyszedłem się tobą zająć.

Nie pamięta, że dla niej zrezygnowałem z pracy. Za każdym razem nie pamięta też w jakim jest stanie i kto ją operował.

Kładę dłoń na policzku mamy i ją głaszczę.

– Boli coś, mammo?

– Nie... nie boli... tylko noga... coś w nodze tak pobolewa... ale tylko trochę...

Dobrze, znaczy, że zastrzyk wciąż działa.

– Napiłabym się...

Napełniam kubek z gumowym smoczkiem i podaję mamie. Wypija prawie cały, ale nieco wylewa jej się na podbródek. Wycieram ją z czułością.

– A może dam trochę zupy? – pytam. – Jesteś głodna, mammo?

– Nie... nie jestem...

Normalne. Przez jakiś czas nie będzie chciała jeść. Wobec tego wymieniam kroplówkę na nową.

– Teraz spróbuj zasnąć, mammo. Przyjdę do ciebie rano.

Coś mruczy pod nosem i zamyka oczy. Zasypia szybko. Jeszcze raz sprawdzam pasy. Mając pewność, że nie wypadnie z łóżka, wychodzę z pokoju.

\*\*\*

Przed zaśnięciem przywołuję sobie jej uśmiech, kiedy mnie dzisiaj poznała. Zdarza się to coraz rzadziej, więc warto łapać jak najwięcej takich chwil. Sam się uśmiecham. Zasypiając, mam w sercu poczucie spełnionego obowiązku.

Nie ma co! Dziś bardzo dobrze zająłem się moją mamą.



# ZANIM SIĘ OBRÓCĘ

Jakub Luberda

– Choćby wydarli ci ostatek rozumu, pod żadnym pozorem nie zapalaj światła! – wciąż brzęczało mi w głowie, gdy pędziłem przez pogrążony w grobowych ciemnościach las.

Biegłem, jakbym się samemu diabłu z kotła wyrwał. Potykałem się o wystające korzenie, pędy jeżyn i rozsiane po zboczu wzgórza głązy, dotkliwie raniąc ręce i nogi. Promieniujący ból spowalniał moje kroki, lecz nie zamierzałem się zatrzymywać. Nie, dopóki serce wciąż biło.

Nie wiem natomiast, co przyszło do głowy mojemu bratu, który biegł tuż za mną. Zwykle wyszczekany, teraz lękał się odezwać. Nie odważył się też odsapnąć, mimo że uginały się pod nim nogi i zapał, jakby nawdychał się dymu pożarowego.



Wiedziałem, że pamięta moje ostrzeżenie równie dobrze jak ostatnie słowa matki. A jednak kątem oka dostrzegłem wątpliwy błysk.

Odwróciłem głowę, ale niczego nie zauważyłem. Zatrzymałem się i nasłuchiwałem.

Odkryłem, że oddech brata zamarł. Tak jak odgłosy jego stóp.

Spodziewałem się rozpaczliwego wołania na ratunek. Albo krzyku z rozdzierającego duszę przerażenia.

Nic. Nawet cichego szelestu odległej kępy trawy.

Paralizująca cisza.

Nagle las wydał się polem czarnych, strzelających ku niebu, upiornie obcych kamieni nagrobnych.

Przemknęło mi przez myśl, by ruszyć za Hadrianem – był mi bowiem droższy niż życie. Rozświetlony światłem księżycy prześwit znalazł się jednak w zasięgu ręki, a za nim stary, opuszczony dworek.

Stałem przez moment bez ruchu, zaciskając bezsilnie pięści. Wiedziałem, że to do niego niepodobne, by nie próbował ratować się, wołając o pomoc. Nie przejąłby się tym, że zmuszają mnie do odpowiedzi, kazałby mi zdradzić swoją pozycję.

A jeśli w ostatnim przyływie sumienia poświęcił jedyną szansę przetrwania dla mnie? Nie mogłem ryzykować, że jego ofiara pójdzie na marne. Nie potrafiłem też znieść myśli, że ostatnie chwile spędził rozgoryczony, że ociągnął ode mnie pogoń, a ja nie próbowałem go nawet odszukać.

Na dodatek lało i gdybym zdecydował się odnaleźć drogę w dół stromego zbocza, najpewniej złamałbym nogę i zamarzlłbym albo spotkałby mnie taki sam los co brata.

Ciężko było mi na sercu. Tym bardziej, gdy z gorzkim posmakiem w ustach i twarzą wykrzywioną w na pół wściekłym, na pół zbolałym grymasie ruszyłem w stronę dwupiętrowej posiadłości.

Powoli.

Jakbym wciąż liczył, że lada moment wybiegnie spomiędzy drzew.

Z każdym kolejnym krokiem czułem się jak Orfeusz, gdy drugi raz stracił Eurydykę. Gdy odwrócił się u wyjścia z piekła, a jej już nie było.

W niczym nie pomagała świadomość, że w tym przypadku nie stało się to z mojej winy.

\*\*\*

...i tak też się stało, że niebo poległo, obłożone przez noc. Ostatnie promienie słońca niczym palce zniknęły za ciemnym konturem sosen i świerków, jakby osunęły się z horyzontu i spadły razem z nim w bezdenną przepaść. Zmierzch nadszedł zdecydowanie zbyt szybko.

Nienaturalnie szybko.

Noc spieszyła się tak bardzo, by mnie tu zatrzymać, jakby z rozmysłem się nad nami pastwiła.

Stałem przy oknie na pierwszym piętrze dworku i zastanawiałem się, ile czasu mi pozostało. Nie żywiłem złudzeń co do tego, że zagłada znajdzie mnie i tutaj.

Przed oczami wciąż miałem ludzi i domy, które w jednej chwili zapadły się pod ziemię, a potem wyrosły jako oślizłe, pulsujące, obrzydliwie mięsiste iglice, piętrzące się na wysokość wielu kilometrów. Ni to konstrukcje owadzie, ni to kosmiczne. Widziałem je nawet stąd, ze szczytu góry. Odcinały się czarnymi sylwetkami na tle atramentowego nieba. W środku zaś – przez ich półprzezroczyste membrany – dostrzegałem ich ofiary.

A raczej to, co z nich zostało – stwory na wpół wcielone do organizmu iglic.

Ciała niektórych zlały się z bezkształtną masą, innym brakowało połowy twarzy. Rozpoznawałem ludzi wciąż żywych, świadomych, walczących; z pępowinami wetkniętymi we wszelkie naturalne otwory. To coś w nich pompowały, to wypompowywały, za każdym razem wywołując konwulsje i ruchliwe odkształcenia na skórze. Nie mogłem znieść tego widoku.

Tamtego dnia przeklinałem moment, w którym zostałem pilotem helikoptera. Życie nie było warte odkładania tego, co nieuniknione. Nie po tym, gdy uświadomiłem sobie, co mnie czeka.

Przypadłem do ściany i ostrożnie, jakbym próbował precyzyjnie przycisnąć szyję między żyłkami, wyrząłem przez okno jadalni na pierwszym piętrze.

Nie tak sobie wyobrażałem ostatnie godziny świata.

To, co wylazło z tych gniazd, nie przypominało niczego, z czym ludzie kiedykolwiek mieli do czynienia.

Gdy przybyli najeźdźcy, nocy nie rozświetliły świecące oczy, nie wskazywały prostego kierunku ucieczki w przeciwną stronę. Żadne jęki i podbijająca napięcie muzyka nie zwiastowały ich przybycia. Żadne okno nie leżało poza ich zasięgiem i z każdej, choćby najkrótszej drabiny potrafiły zrobić użytek. Nieprzewidywalnością dorównywali ludziom i równie nieodgadnione wydawały się ich motywacje.

Śmierć stanowiła jedyną stałą, ale ciężko dopatrywać się w niej pocieszenia.

Wychyliłem głowę trochę bardziej i zamarłem.

Tam, pomiędzy drzewami.

Światło.

Niewidzialny ciężar przygniótł klatkę piersiową, jakby zarzucono mi na ramiona plecak pełen kamieni. Ręce zaczęły drżeć. Stałem twarzą w twarz z koniecznością, której wciąż nie chciałem dopuścić do świadomości, bardziej nawet niż myśli, że mój brat nie żyje.

Mimowolnie spojrzałem na dzierzzonego w ręku obrzyna. Broń w starciu z przeciwnikiem, którego nie można nawet zobaczyć, była dla mnie bardziej jak różaniec. Chwyliłem go mocniej i poczułem przyływ wiary.

Moja ostatnia wymówka, wiszący na niebie księżyc, właśnie zaszył się za wielkim kłębowiskiem chmur.

Czekałem, obserwowałem kierunek wiatru. A może jednak...? – myślałem. Ile bym się nie przekonywał, wniosek nasuwał się sam.

Musiałem wrócić.

\*\*\*

Każdy krok w zapuszczonej trawie brzmiał jak wyrok śmierci. Znalazłem się jednak zbyt blisko granicy lasu, by zawrócić. Przymykałem oczy, by w niemal kompletnych ciemnościach nie dostrzegać kształtów, które urastały do nazbyt plastycznych koszmarów.

Zobaczyłem źródło światła.

Wstrzymałem oddech i podszedłem bliżej.

To była latarka.

Leżała wsparta o wystający korzeń, skierowana do góry. Niewiele się zastanawiając, pochyliłem się, by ją wyłączyć.

Rozległ się nieludzki, gardłowy ryk. Kiedy próbowałem szybko się wyprostować i wycelować broń, straciłem równowagę i przewróciłem się na plecy.

Obrzyn wypadł mi z ręki, a to, na co padał snop światła, nie pozostawiło mi czasu na działanie.

Z szeroko rozwartymi oczyma, ustami rozdziawionymi i trzęsącymi się, jakby nie mogły się zdecydować, czy nabrać powietrza, mówić, czy krzyczeć, wpatrywałem się w twój, który wisiał nad moją głową. Szybko uświadomiłem sobie, że wiem, co to jest.

Mój brat.

Rozciągnięty jak pajęczyna ze skóry, mięśni, flaków, chrząstek, żył, nerwów i ścięgien pomiędzy drzewami. Jego owinięte wokół pnia oko przekreśliło się w moją stronę i wynaturzenie, na które patrzyłem, a którego nie potrafiłem ogarnąć umysłem, znowu zaryczało. Żałośnie. Z jego gardzieli dobywały się na wpół niezrozumiałe, nieskładne słowa.

Chwyciłem za strzelbę i szybko przeliczyłem naboje.

Dziesięć.

Nie starczy, by go zestrzelić.

Przez chwilę obserwowałem odsłonięte, napęczniałe i pulsujące jak monstualny kokon – serce. Rozważałem, czy zaryzykować strzał.

Zacisnąłem usta i podniosłem broń.

Próbowałem się zmusić do naciśnięcia spustu.

To mogłem być ja, myślałem.

Palec powoli zaciskał się na metalowym języku jak pętla na szyi wieszanego skazańca. Uświadomiłem sobie jednak, z jakim hukiem wypali broń. Rozbłysk z lufy, nic to, że chwilowy i mały, wystarczył, by ściągnąć oprawców brata z powrotem.

Nie mogłem jednak pozostawić brata w takim stanie i pozwolić, by cierpiał. Nie mogłem też skazać na taki los siebie samego. Wtedy już nikt by mu nie pomógł. O ile ktokolwiek potrafił.

Nieproszone łzy zaczęły cisnąć się do oczu. Znałem wielu, których w przyływie gniewu gotów byłem przekroić żywcem na pile tarczowej, ale losu Hadriana nie życzyłbym najgorszemu wrogowi.

Staralem się zagłuszyć myśli. Wyłączyłem latarkę i podniosłem pozostawiony przez niego obrzyn. Walczyłem o każdy oddech z nawału emocji. W końcu odwróciłem się na pięcie i pobiegłem do dworku.

\*\*\*

Każda odrzucana myśl wracała ze zdwojoną siłą. Serce kłuło jak sztylet bez względu na to, czy myślałem o swoim bracie ze współczuciem, czy próbowałem zlekceważyć go jako kolejną ofiarę nierównej walki. Byłem tak roztrzęsiony, że nawet nie zwracałem uwagi, czy kładę stopy na skrzypiących schodach, które mogły ściągnąć na mnie niebezpieczeństwo.

Byłem w połowie drogi na piętro, gdy w świetle wpadającego przez okno księżycy dostrzegłem poruszający się cień.

Przygryzłem wargę. Wiedziałem, że jeśli przystanę, dam intruzowi do zrozumienia, że jestem świadom jego obecności. W osłoniętej z obu stron klatce schodowej stałem się łatwym celem.

Nie miałem wyjścia. Stawiając ostrożnie kroki, parłem naprzód.

Cień przestał się przemieszczać. Zorientował się, że idę.

Stałem na ostatnim stopniu. Byłem pewien, że jeśli postawię kolejny krok, oberwę w głowę od kogoś, kto przyczaił się przy drzwiach.

Nie pozostawił mi żadnego wyboru.

Rzuciłem broń na podłogę przed sobą. Głuchy łomot odbił się echem od ścian.

Czekałem w napięciu na jakikolwiek ruch.

Cisza.

Upłynęła minuta, może dwie.

Zganiłem się za swoje przewrażliwienie. Pewnie sowa przeleciała za oknem, pomyślałem, kręcąc głową. Wszedłem na piętro i pochyliłem się po broń.

Poczułem ból w potylicy.

Zamroczył mnie.

Odruchowo złapałem za strzelbę i wyciągnąłem przed siebie, w porę blokując kolejny cios. Napastnik odrzucił podłużny przedmiot, który z metalowym brzęknięciem wylądował na drewnianej podłodze, po czym złapał za lufę.

Zaczęliśmy się szamotać.

Próbował wyszarpnąć mi broń z ręki. Kiedy mu się to nie udało, kopnął mnie w bok i z bólu wypuściłem lufę z dłoni.

Zamierzył się do kolejnego kopnięcia.

Gdy balansował na jednej nodze, popuściłem uchwyt, a następnie pociągnąłem przedmiot sporu szybko do siebie.

Przewrócił się, a ja skoczyłem na równe nogi, mierząc do niego z obrzyna. Przesunąłem palec w kierunku spustu.

– N-nie! – jęknęła. Tak, ona. Przez luźny ubiór nie rozpoznałem w niej kobiety.

Zamarłem.

Znałem ten głos. Należał do mojej siostry, Ewentydy.

Zdrajczyni.

– Co tutaj robisz?!

– Hadrian powiedział, żebym przyjechała!

– PRZYJECHAŁA!? – wrzasnąłem, zbyt późno przypominając sobie o ciszy, którą próbowałem zachować. Obraz zmasakrowanych zwłok brata chwilowo przesłonił jaskrawy pas światła ciągnący się za jej samochodem w górę wzgórza.

– Wiem, wiem. Ostrzegałeś. Ale nigdy bym tu nie dotarła z Esther na własnych nogach, a tym bardziej z nią na rękach.

– Zostawiłaś nas na śmierć! – wycedziłem przez zęby.

– Ja... nie wiedziałam, co zrobić!

– Zabranie nas ze sobą samochodem starczyłoby na początek!

– Nie miałam czasu!

– Wiedziałaś, gdzie oboje byliśmy! Chwila moment i dobiegliśmy do auta! – Ponownie wycelowałem w nią broń, ledwo panując nad emocjami.

– Ja...

– No co, bałaś się, że jeden z nas jest już jednym z nich? Bałaś się o swoją cholerną córeczkę!?

Wtem z kąta rozległ się płacz.

Małej dziewczynki.

Dziewczynki, której swego czasu nieba bym uchylił. Ba, zamek Piotrowych Bram wyłamał, gdyby tylko spóźniła się na godziny otwarcia. To dziecko siłą głosu wywlekało na wierzch wszystko, co we mnie było najlepsze.

Moje oczy rozwarły się szeroko, jakbym uświadomił sobie, że wdepnąłem na minę. Patrzyłem to na nią, a to na jej matkę. Zacisnąłem usta i wskazując małą niedbałym machnięciem lufy, dałem jej do zrozumienia, by ją uspokoiła. Na szczęście nie musiałem dwa razy powtarzać. Siostra poderwała się i popędziła do córki na kolanach. Ta przestała płakać.

Ewentyda pocieszająco pocierała jej plecy, w końcu popatrzyła na mnie i zapytała:

– Gdzie Hadrian?

Zerwałem kontakt wzrokowy i odwróciłem się do okna. Za nic nie chciałem pokazać jej twarzy, na której malował się wyraz jak u kogoś, kto jest na granicy oskarżenia jej o śmierć członka rodziny.

W oddali błysnął grom i zobaczyłem swoje odbicie w szybie.

Wyglądałem upiorniej niż Hadrian.

\*\*\*

Chmura się oberwała i duch lasu zaczął nad nami ronić rzewne, acz fałszywe łzy. Najął do tego, zdawałoby się, całą rzeszę płaczek. Słyszałem ich zawodzenie w porywistym wietrze. Drewno starego domu trzeszczało, jakby co rusz ktoś wchodził i schodził po schodach lub wspinał się po ścianach, szukając wejścia przez dach.

Zaproponowałem, żeby się przespały, a ja postoję na warcie. Były jednak zbyt przerażone, by na to przystać.

Trawy szumiały, jakby przedzierały się przez nie nienazwane siły.

Wewnątrz panowała cisza jak w piwnicy, gdy po deskach cienkiego stropu stąpają ciężkie buty niemieckiego okupanta.

Znajdowaliśmy tej ciszy pewne ukojenie po całym dniu spędzonym na ucieczce. Udało się nawet na chwilę zapomnieć, że czekamy na zbawienie, które nigdy nie nadejdzie.

Wtedy rozległ się głośny huk.

Błyskawica musiała uderzyć blisko, pomyślałem.

Zignorowałem odgłos i nadal wpatrywałem się w okno. Chwilę potem odwróciłem się, zaniepokojony. Pośród zapachu grzyba i wilgoci poczułem jeszcze coś.

Swąd.

Popatrzyłem w górę. Pomiedzy deskami stropowymi, odsłoniętymi przez tynk wyszczerbiony przez czas, szalał ogień. Wyjrzałem przez okno.

Trawy wciąż szumiały, jakby przedzierały się przez nie nienazwane siły.

Tyle że wiatr ustał.

– Nie możecie tutaj zostać! – wrzasnąłem, popychając je w kierunku garażu.

– A-ale gdzie mamy pójść?! – zaprotestowała, zapierając się nogami.

– Budynek się pali, w drodze jesteście bezpieczniejsze niż tutaj!

– Nie zostawię cię!

Przeładowałem obrzyna i wymierzyłem w nią z zaciekłym wyrazem twarzy. Spojrzała, jakbym postradał zmysły i powoli zaczęła się wycofywać, nie spuszczać ze mnie wzroku. Gdy znalazła się na schodach, zbiegła po nich, ciągnąc za sobą córkę.

Pobiegłem na strych, by odwrócić od nich uwagę i opóźnić pościg. Na górze chwyciłem za pierwszy lepszy przemoczony pled i począłem nim bić o płonący otwór w dachu.

Pled z mokrym plaśnięciem uderzył w odrażającą twarz mojego brata. Nastąpiła chwila napięcia, gdy w bezruchu wpatrywaliśmy się w siebie. Rzuciłem się ku broni wspartej

o skrzynię. Hadrian skoczył za mną i owinał się wokół mojej szyi, nim zdążyłem osiągnąć strzelby.

Próbowałem oderwać jego potworne zwoje od krtani, ale przewyższał mnie siłą. Poczułem, jak do ucha wślizguje mi się obleśny język, który zmierza wprost do mózgu.

To koniec, pomyślałem. Umysł zalewały wspomnienia z ostatnich godzin.

Jak zatrzymaliśmy się z Hadrianem podczas zbierania grzybów i jak brat załatwił się na czarny monolit w sercu głuszy. Wydrążenia w kamieniu układały się w napis w obcym, prastarym języku. To właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Obelisk musiał zareagować na krew w jego moczu. Hadrian chorował na nerki.

Następnie przypomniałem sobie, jak oczy moje i Ewentydy spotkały się w lusterku samochodu pędzącego drogą przez las, gdy zostawiła nas na pewną śmierć.

Powoli traciłem przytomność. Głos w mojej głowie przekonywał, bym dobrowolnie dołączył do wysiłków kolonizacyjnych najeźdźców. Stopniowo nabierałem ich mentalności, odnajdywałem się w systemie, przekonywałem do przyszłej roli w społeczności. Z moich genów miało powstać następne pokolenie wojowników. Poprzez dostęp do świadomości roju widziałem inne planety, które uległy ich sile. Miliony światów, a wśród nich cywilizacje dalece bardziej zaawansowane niż nasza.

Poczułem żal i opór.

Natychmiast zaczęto mnie przekonywać, że to jedyny sposób, by nasz dorobek przetrwał śmierć Słońca za cztery miliardy lat, a wcześniej – za trzy miliardy i siedemdziesiąt pięć milionów lat – rozciągnięte na kolejne miliardy lat zderzenie Drogi Mlecznej z Galaktyką Andromedy i Galaktyką Trójkąta. Zaś jeszcze później pochłonięcie nowej galaktyki przez supermasywną czarną dziurę w centrum wszechświata.

Moja wola słabła, a z nią uścisk na pętli wokół szyi. Zaczynałem rozumieć kosmiczną wagę powierzonej mi misji.

Kończyny mi zwiotczały i opadłem bezwładnie w uścisku Hadriana.

Nagle z zamroczenia wyrwał mnie kolejny huk. Poczułem przeraźliwe zimno. Ucisk na tchawicy zelżał.

Hadrian ryczał przeraźliwie i wycofywał się. Ewentyda postępowała w jego kierunku, omiatając go strumieniem z gaśnicy wodorowej, a gdy wycofywał się przez wyłom w dachu, opary padły na płomień szalejące wokół dziury.

– Weź ze sobą Esther i biegnij na dół! – wycedziła z zaciekłą determinacją

– Ale...!

– Pilnuj jej!



– Może ja powinienem? – Wyciągnąłem rękę w stronę gaśnicy.

Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym zapytał, czy dorabia w domu publicznym po godzinach, więc odpuściłem.

Ostatkiem sił zabrałem broń i zbiegłem po schodach.

Minęła chwila napięcia. Zapadła cisza.

W końcu usłyszałem jej niespieszne kroki. Potem trzask drewna i warknięcie z bólu.

Już miałem pobiec do niej, kiedy znalazła się z powrotem na dole. Wyglądała, jakby szamotała się z diabłem o bilet do nieba.

– Wszystko w porządku?

Zawahała się na moment, po czym pokiwała głową.

– Co to za hałas?

Wzdrygnęła się jakby wyrwana z głębokiego zamyślenia.

– Deska się złamała i poharatałam sobie stopę.

Zamierzałem ponownie obserwować sytuację za oknem, gdy moją uwagę zwróciła marynarka przyciśnięta do brzucha Ewentydy. Podeszedłem bliżej i wskazałem palcem.

– T-to nic! – Machnęła lekceważąco.

Nie ustępowałem i pociągnąłem za materiał.

Krew.

Zachłysnęła się powietrzem, zszokowana.

– Oni ci to zrobili?

Nie odpowiedziała, unikając mojego wzroku. Potem zakłopotana popatrzyła na Esther.

– Nie musi wiedzieć – wyszeptalem.

Popatrzyła na mnie pytająco.

– Nie masz wiele czasu.

– Ile?

– Sądząc po tym, co zrobili z Hadrianem, to kwestia minut.

Przytaknęła.

– Nie możesz skazać jej na taki los.

– Ja wiem, co oni robią z ludźmi! Nie musisz mi mówić!

Miejszem wokół rany wstrząsnęły konwulsje. Wyglądała, jakby miała nadzieję, że nie zauważę, wpatrzony w jej wyzywająco spoglądające oczy.

Ale zauważyłem. Wycelowałem w nią obrzyna.

Przygryzła wargę.

– Daj mi się z nią pożegnać.

Skinąłem głową.

Uklękła przy córce, lecz jej ręka zaczęła wędrować w stronę porzuconego wcześniej pogrzebacza.

Demonstracyjnie przeładowałem broń.

Zacisnęła pięści.

\*\*\*

– Mama musi teraz wyjechać, skarbie. Daleko – powiedziała Ewentyda małej córeczce, która starała się powstrzymać drżące od płaczu wargi. Przygryzała je w bezskutecznej próbie bycia dzielną. Tak jak obiecała matce, która ledwo powstrzymywała łzy. – Jeśli kiedyś wspomnisz ten dzień, chcę, byś pamiętała jedno. Oddałam ci swe życie, kiedy mówili, bym oddała się karierze. Ofiarowałam je, kiedy byłaś chora i potrzebowałaś przeszczepu nerki. Podarowałabym ci je za każdym razem, gdy byłoby to potrzebne i nie pozwolę *im* go tobie odebrać.

– Ale ja chcę iść z tobą, mamo! Nie zostawiaj mnie, proszę! Wiem, że czasem jestem niegrzeczna, ale już nie będę! Obiecuję!

– Nie, skarbie, to w ogóle nie jest życie. Nie bez ciebie. I nikogo, kto by o mnie pamiętał.

– A czy wujek Talus nie będzie pamiętał? – zapytała, patrząc na mnie.

Wymruczała odpowiedź, niepewna, co rzec. Potem wstała, zawahała się i zwróciła do mnie. Moje dłonie zacisnęły się na obrzynie jeszcze mocniej.

– I jak, Talus? Zapamiętasz siostrę? – W jej głosie odnalazłem cień nadziei. Pokusiła się nawet o odrobinę zycziwej żartobliwości, jakby znała odpowiedź. Zrobiła krok w moją stronę, ale zatrzymała się, gdy zobaczyła, że się wzdrygnąłem.

– Nie przytulisz siostrzyczki na pożegnanie? – Zabrzmiała tak smutno, że zacisnąłem usta z bezsilności.

Wahałem się. Przez moją twarz przebiegło kilka bolesnych skurczy. Przymknąłem oczy, które zaczęły nagle boleśnie piec. Wgryzłem się zębami w wewnętrzną część policzka. Cierpiałem, a to znalazło odbicie w wyrazie mojej twarzy. Nie potrzebowałem lustra, by to wiedzieć. Otworzyłem oczy. Patrzyłem niepewnie, na przemian na nią i na podłogę.

Opuściłem broń.

Podeszła powoli i objęła mnie jak prawdziwa dama, ale jednocześnie tak mocno, że prawie czułem ból. Jej uścisk się przedłużał. Stałem się niespokojny. Pociłem się. Krople potu

wystąpiły na czoło; czułem je jak jadowite pająki, pełzające w dół ku brwiom. Kilka kropel spłynęło po plecach, wzdłuż kręgosłupa, wywołując dreszcz. Zacząłem się opierać, zeszywniałem, ale uścisk nie zelżał.

– Starczy! – wycedziłem przez zęby, ledwie się powstrzymując. Ręce drżały od powstrzymywanych emocji. Za nic nie chciałem jej odepchnąć – nie w takim momencie, nie w takiej chwili.

Nic nie powiedziała. Wypuściła mnie tak, jakby upuszczała coś cennego. Uklękła, by objąć córkę. Tym razem w jej geście była pewna naturalność, coś, czego brakło, gdy przytulała mnie. Widziałem to wyraźnie w jej ruchach, w geście dłoni wplecionych w długie włosy, w czułości, jaka malowała się na jej smutnej twarzy. Potem wstała i ponownie zwróciła na mnie ciemne, wypełnione lękiem i łzami oczy. Ruszyłem w stronę schodów prowadzących do garażu. Szła przede mną. Stopnie były pograżone w ciemności, ale znałem drogę prawie na pamięć. Wiedziałem, który zaskrzypi pod moim ciężarem.

Ciemność była naszym największym wrogiem, ale jednocześnie najcenniejszym sojusznikiem. Przeciwnicy skąpili światła, po którym moglibyśmy poznać, gdzie się czają, więc nie zamierzaliśmy pozostawać dłużni.

Schodząc, miałem nadzieję, że to się szybko skończy. Podejrzewałem, że znalazła się już w samochodzie. Do mnie należało otwarcie drzwi, by mogła wyjechać. Żywiłem nadzieję, że zdąży, zanim usłyszą ryk silnika i zobaczą otwarte wejście.

Przekręciłem klucz w zamku i przesunąłem je do góry. Włączyła silnik. Następnie nie tyle wyjechała, ile wystrzeliła z garażu i pomknęła długą, ciemną drogą w dół wzgórza. W jednej ręce trzymała obrzyn. Uszczuplając zapasy amunicji, wiele ryzykowałem, ale nie mogłem wypuścić siostry na zewnątrz zupełnie bezbronnej.

Widziałem przez chwilę czerwone światła wozu, gdy zniknęła za zakrętem.

Zamknąłem drzwi, upewniając się przedtem, że wokół panuje spokój. Poszedłem na górę.

Esther zniknęła.

Może poszła spać, zastanawiałem się.

Wyrzałem przez okno. Ciemny kształt na tle granatowego nieba pozostawiał czerwoną smugę, która wyglądała jak oszalałe z bólu i rozpacz widmo. Chwilę później zobaczyłem, jak auto miota się między jednym pasem ruchu a drugim.

Pozostawiony na podłodze telefon rozbrzysnął światłem. Zautomatyzowany spam, nic więcej.

Trawy zaczęły szeleścić, deski zaskrzypiały.

Wziąłem głęboki oddech, szepcząc „O nie, o Boże, nie!”, i przycisnąłem obrzyn mocniej do piersi.

# HORROR W MUZYCE CZY MUZYKA W HORRORZE?

Czyli o uwielbieniu grozy przez groźnych długowłosych

Aleksandra Kaczmarska

Wiele jest rzeczy, które my, umiłowani w grozie, uwielbiamy i traktujemy jako coś normalnego. Szukając sensu w ohydzie, piękna w horrorze, głębszych prawd w weirdzie, często nie zwracamy uwagi na to, jak większość ludzi patrzy na nas – z ukosa. Często przecież są przypadki, gdy ktoś, zapytawszy o nasze preferencje literackie, stwierdzi: „aa, pewnie jeszcze słuchasz metalu?” i na odwrót. Oczywiście, jest to w pewnym sensie generalizowanie, ale czyż nie ukrywa się w tym choćby gram prawdy? Czy poza specyficzną fikcją literacką jest bowiem coś, co budzi równie wielki niesmak, ba, grozę wręcz w wielu osobach, jak te piekielne riffy, dudniąca perkusja, opętańcze wokale i często obrazoburcze teksty w muzyce metalowej?

Twórcy tegoż gatunku lubią horror. I lubią te inspiracje podkreślać w swojej sztuce. Interesuje nas dziś cięższa muzyka, więc pomijając klasyka shock/horror rocka Alice'a Coopera jako pioniera w grozie metalowej, śmiało wskazuję Kinga Diamonda. Niegdyś lider legendarnego Mercyful Fate, obecnie kontynuujący solową karierę, od zawsze podkreślał swoje uwielbienie horroru, czy to przez estetykę swoich widowiskowych koncertów, czy albumy koncepcyjne koncentrujące się na mrożących krew w żyłach historiach. Nie da się ukryć, że wyjątkowa skala głosowa wokalisty, pozwalająca mu zarówno na wysokie zaśpiewy, jak i charczenie, dodaje jego muzyce jeszcze więcej grozy, a my wierzymy, że naprawdę słyszy głos wielkiego Cthulhu...

Pisząc o grozie w metalu, nie sposób nie wspomnieć o najczęstszym chyba romansie – czyli najbrutalniejszych odmian tegoż gatunku flirtujących z gore. Tutaj najbardziej

kojarzonym przykładem z pewnością są bezkompromisowi i kontrowersyjni death metalowcy z Cannibal Corpse, ale trzeba również wspomnieć o legendarnym Death, Necrophagii, Venomie... Wymieniać można długo. Ale cóż się dziwić, w końcu „śmierć metal” nie może się obyć bez morza krwi, kubłów pełnych flaków i wszelkich przykładów dewiacji, których w swoich opowiadaniach nie powstydziliby się Edward Lee.

Nie zawsze jednak horror wiązał się z metalem tylko dla wywołania kontrowersji wśród ludzi. Równie często muzyków dopadała prawdziwa groza życia. Najbardziej obrazowym przykładem jest tutaj scena black metalowa. Obląkańcze, graniczące z opętaniem zachowania członków zespołów, samookaleczanie, samobójstwa, satanistyczne hasła wcielane w życie gorliwiej niż kiedykolwiek wcześniej, depresje... Wszystko to odbijało się na muzyce. Nieżyjący już Per Yngve Ohlin, znany niegdyś jako Dead, lubował się w... trupach. Przed koncertami z grupą Mayhem zakopywał swe ubrania w ziemi, aby doszczętnie przesiąkły zgnilizną, a w trakcie występów z lubością podcinał sobie żyły. Poza tym zbierał szczątki martwych zwierząt, uwielbiał przesiadywać w kostnicy, czując wyłącznie obecność martwych ciał. I tak aż do jego samobójstwa, które do dziś owiane jest czarną legendą. Hardkor? Jego następca, Maniac, co prawda upodobał sobie już sztuczną krew, ale za to z radością machał w stronę publiczności ostrzem z nabitym świńskim łbem. Wielu jednak jako najbardziej odstręczającego wokalistę norweskiej hordy wskazuje Attilę, przebierającego się na scenę. I nie są to bądź co bądź kiczowate kostiumy w stylu GWAR czy Lordi. Csihar upodobał sobie nazistowskie stroje, hybrydy ludzi i zwierząt oraz naszpikowaną kolcami postać satanistycznego piewcy.

To jednak nie koniec mrozących krew w żyłach skandynawskich odchyleń. Enigmatyczny wykonawca depresyjnej odmiany black metalu, Nattram, to osobistość godna bohatera krwawego horroru. Pomijając jego radosną twórczość w zespole Silencer, wielu wierzyło, że dopuścił się okrutnego morderstwa dwójki małych dziewczynek. Ale czego się spodziewać po osobie, która podczas sesji nagraniowych cięła się, by jego krzyki i śpiew brzmiały bardziej wiarygodnie, przywiązywał sobie bandażami świńskie raciczki, smarował krwią z rzeźni, a w ramach rekonwalescencji w szpitalu psychiatrycznym dalej tworzył swoje schizofreniczne pieśni o holocauście, z odgłosami medycznego sprzętu w tle? Zaciekawionych konotacjami blacku z horrorem warto tutaj zachęcić do zainteresowania się najnowszą antologią wydawnictwa Horror Masakra – *Po drugiej stronie światła*, gdzie zarówno starzy wyjadacze, jak i debiutanci zmierzili się z tematyką muzycznej grozy.

Odchodząc od przygnębiających tematów, wiele zespołów grozę traktuje jako część swoich występów. I tak, pomijając wspomnianego już Króla oraz lżejsze gatunkowo GWAR

i Lordi, jednym z najbardziej znanych bandów, uwielbiających horrorową estetykę jest holenderski Carach Angren, grający symfoniczną odmianę black metalu, bez nadęcia Cradle of Filth i kiczowatości Dimmu Borgir, które niegdyś równie mocno czerpały z ciemnej strony ludzkiej natury. Miłośników gore mogą tu zachęcić do obejrzenia *Kołycki strachu* – cztery makabryczne historie łączy postać Daniego Filtha, lidera CoF. Nic odkrywczego i raczej dla koneserów podziemnego kina, ale zerknąć warto, by po raz kolejny przekonać się, jak strach filmowy i muzyczny zgrabnie łączy się w jedno.

Wiele zespołów już samą nazwą sugeruje uwielbienie niewyjaśnionych, mrocznych historii. Nie mogę tu nie wspomnieć o moich ulubieńcach, czyli Finach z melodic death metalowego Children of Bodom. Czy może kogoś dziwić, że specyficzny skandynawski ludek w przyptywie typowo wisielczego humoru ochrzci się, korzystając z czarnej legendy jeziora Bodom, nad którym rzekomo dokonał się niezły slasher w postaci tajemniczych zgonów nocującej tam młodzieży? Próby przeniesienia tej historii na ekran są cokolwiek marne, natomiast muzyka Dzieciaków, nad których twórczością czuwa sam Kosiarz – świetna (pamiętajcie, *de gustibus...*).

Nie da się ukryć, że jednym z najbardziej znanych, także w popkulturze, twórców literackiego horroru jest Howard Phillips Lovecraft. Nie ma się więc co dziwić, że mitologia Cthulhu równie często jak tematy sataniczne i gore przewija się w tekstach groźnych metalowców. Wychwalanie Przedwiecznych usłyszymy między innymi w twórczości Thergothon, Rotting Christ, Sulphur Aeon, Iced Earth i... Mercyful Fate. Czy pisałam już, że King Diamond wszechstronnym twórcą jest?

Jak wiadomo, polski rynek muzyczny, wbrew ignorancji mainstreamowych mediów również posiada prężną scenę metalową. I oczywiście, w tym wypadku nie unikniemy bardziej i mniej subtelnych nawiązań do horroru. Najbardziej znanym twórcą tekstów pełnych gotowych fabuł jest oczywiście Roman Kostrzewski, głos legendarnego Kata. W jego lirykach bez problemu odnajdziemy fascynację twórczością Tadeusza Micińskiego, znanego z pewnością miłośnikom poetyckiej grozy. Poczynając od *Oddechu wymarłych światów*, a kończąc *Różach miłości*, znajdziemy wręcz kopalnię cytatów poezji artysty. Zdziwią się miłośnicy ballady *Łza dla cieniów minionych*, oj, zdziwią. Inni, znani bądź warci poznania reprezentanci miłośników Micińskiego, to gotycki Mystherium, awangardowa Lux Occulta oraz słynny Behemoth. Z drugiej strony melancholijna muzyka gotycka to temat równie pełny grozy, ale może już na kolejny artykuł. Warto bowiem wiedzieć, że egzaltowane panienki w gorsetach nie słuchają tego gatunku jedynie dla ckliwych opowieści o wampirach... Ale pisząc o metalu, nie można pozwolić sobie na rozrzewnienie.

Literacki horror przewija się przez wiele aspektów naszego życia. I nic z wielu dóbr kultury nie uświadomi Wam tego dobitniej, waląc między oczy, jak muzyka metalowa. Liczę, że z uwagi na mnogość podgatunków każdy Czytelnik znajdzie coś dla siebie.





(ze zbioru *Na wzgórzu róż*)

## Stefan Grabiński

Przyplątał się do mnie, nie wiem jak i kiedy.

Nazywał się Brzechwa, Józef Brzechwa. Co za imię! Coś w nim zaczepia, zahacza, drażni nerwy chropawym dźwiękiem. Był zezowaty. Szczególnie przykro spoglądał prawym okiem, które wyzierało skalistym spojrzeniem spod rudych rzęs. Mała, szpetna twarz, pokryta ceglastym rumieńcem, krzywiła się wiecznie w uśmiezkach złośliwej pólironii, jakby mszcząc się w ten nędzny sposób za własną brzydotę i plugawość. Drobne, rdzawe wąsiki, podkreślone zawadiacko do góry, ruszały się ustawicznie niby macadelka jadowitego żuka, ostre, klujące, złe.

Ohydny człowiek.

Zwinny był, elastyczny jak piłka, postaci nikłej, wzrostu średniego, chodził krokiem lekkim, nieuchwytnym, umiał wślizgiwać się nagle jak kot.

Nie cierpiałem go od pierwszego wejrzenia. Jego odrażający wygląd przejmował mnie nieopisanym wstrętem, każąc domyślać się odpowiadającego mu charakteru.

Człowiek ten krańcowo różnił się ode mnie usposobieniem, upodobaniami, rodzajem reagowania na podniety. Dlatego stanowił dla mnie uosobienie antypatii, był moją żyjącą antytezą, z którą by mnie nic na świecie pojednać nie mogło. Może właśnie dlatego przypił się do mnie z wściekłą zapamiętałością, jakby odczuwając moją ku niemu żywiołową niechęć.

Prawdopodobnie doznawał szczególnej rozkoszy, widząc, jak bezskutecznie usiłuję wydobyć się z sieci, którymi mnie oplątywał coraz zwarej. Był mym nieodstępnym towarzyszem w kawiarni, na przechadzkach, w klubie, umiał wkręcić się w koła mych najbliższych znajomych, co więcej, zdobyć przychylność kobiet, z którymi mnie łączyły żywsze stosunki, wiedział o każdym mym najdrobniejszym projekcie, najlżejszym ruchu.

Niejednokrotnie, by choć dzień jeden nie widzieć jego obmierzłej fizjognomii, wymykałem się niespostrzeżenie dorożką lub automobilem za miasto, lub też słowem nie zdradziwszy przedtem zamiaru, wyjeżdżałem na jakiś czas do innej miejscowości. Któż opíše w tych wypadkach me zdumienie, gdy po jakimś czasie jak spod ziemi wyrastał nagle przede mną Brzechwa i z uśmiechem słodkawo-drwiącym cieszył się z niespodziewanie dla się miłego spotkania.

Doszło wreszcie do tego, że począłem przed nim uczuwać pewien rodzaj zabobonnego strachu i uważać go za swego złego ducha czy demona. Jego ruchy kocie, drażniące, filuterne przymykanie oczu, zwłaszcza zaś ów skalisty, zimno połyskujący białkami zez ścinały mi krew niepojętą grozą, budząc równocześnie wściekłość bez granic.

A wiedział wybornie, jak najłatwiej przyprowadzić mnie do pasji. Umiał zawsze dotknąć mej najczulszej struny. Raz podpatrzywszy me upodobania, wybadawszy poglądy i zasady, przy każdej sposobności wygłaszał z brutalną ironią wprost im przeciwne w sposób tak bezwzględnie arbitralny, że zdawał się wykluczać wszelką opozycję.

Jednym takim punktem spornym, zasadniczo nas różniącym, była kwestia indywidualizmu, której zawsze broniłem z namiętym zapamiętaniem. W ogóle mam wrażenie, że dookoła tej właśnie osi obracał się cały nasz antagonizm.

Byłem zagorzałym wielbicielem wszystkiego, co osobiste, oryginalne, jedyne, w sobie zamknięte – Brzechwa, przeciwnie, szydził z wszelkiego indywidualizmu, uważając go za chimerę zarozumiałych półgłówków; stąd nie wierzył w żadną inwencję, pomysłowość, sprowadzając je do wykładników wpływów środowiska, rasy, tzw. ducha czasu itp.

– Przypuszczam nawet – cedził niejednokrotnie, zezując w mą stronę – że w każdym z nas siedzi kilka indywiduów i drze się o marny ochłap tzw. duszy.

Było to oczywiście już wyraźne przekomarzenie się ze mną i chęć wywołania namiętnej reakcji za wszelką cenę. Spostrzegłszy to, udawałem, że nie słyszę, i obojętnie pomijałem milczeniem. Wtedy czyhał na inną sposobność, by zaznaczyć swe „społeczne”, jak się wyrażał, stanowisko.

Ilekcroć okazywałem podziw i zachwyt z powodu jakiegoś nowego dzieła sztuki lub naukowego odkrycia, Brzechwa z cynicznym spokojem usiłował wykazać bezpodstawność uwielbienia lub też milcząc siadał wprost naprzeciw i przez cały czas przeszywał mnie mrozącym do szpiku zezem, gdy uśmiech zjadliwej ironii nie schodził z niedomkniętych warg.

Już to w ogóle nie odczuwał żadnych wstrząsów estetycznych; piękno nie działało nań w całym tego słowa znaczeniu. Był za to typowym snobem sportu. Nie było rekordu

automobilowego, zawodów cyklistycznych lub *matchu footballowego*, do których by nie stawał w pierwszym szeregu. Bił się na szpady jak fechtmistrz, strzelał bajecznie, uchodził za pływaka pierwszej wody. Naukę i uczonych ignorował, trzymając się zasady *nihil novi sub sole*. Mimo to nie można mu było odmówić wcale wysokiej inteligencji, która szczególnie przejawiała się w dowcipnych, zaprawionych zjadliwością powiedzeniach. Natury gwałtownej, nie znoszącej opozycji, miał wieczne awantury i niezliczone mnóstwo honorowych spraw, z których zawsze wychodził obronną ręką.

Rzecz jednak dziwna – na mnie nigdy się nie „obrażał”, pozwalając mówić sobie słowa nie już niegrzeczne, lecz wprost obelżywe, do czego niejednokrotnie zmuszało mnie jego zachowanie się. Ja jeden miałem przywilej bezkarnego znieważania go. Widocznie upatrywał w tym należną mi rekompensatę za ciągle drwiny i prześladowanie bez końca mojej osoby. Zresztą może był powód inny, głębszy – nie wiem.

Czasami umyślnie przesadzałem w obelgach, by zmusić go do rozprawienia się ze mną na serio, a w następstwie do zerwania zupełnego stosunków. Nadaremnie. Przeczuwając, o co idzie, zbywał moralne policzki słodziuchnym uśmiechem i obracał wszystko w żart...

W końcu pozbyłem się go. Zaszedł wypadek, który zdawał się mnie raz na zawsze uwalniać z jego szponów. Zginął nagle, śmiercią gwałtowną, i to pośrednio przeze mnie.

Raz przywiedziony do ostateczności uderzyłem go w twarz. Brzechwa w pierwszej chwili zachnął się; zbladł jak ściana, i wtedy raz jedyny w życiu ujrzałem szczególny, stalowy błysk w jego oczach. Lecz był to tylko moment, bo zaraz maskując wzburzenie położył mi drżącą jeszcze rękę na ramieniu i rzekł z dziwną wibracją w głosie:

– Niepotrzebnie się pan uniósł. To na nic się nie zda. W ogóle ani ja pana, ani pan mnie nie może obrazić. Widzi drogi pan, to całkiem tak, jak gdyby ktoś chciał spoliczkować samego siebie. My obaj stanowimy jeden układ.

– Podlec! – mruknąłem przez zęby.

– Jak pan uważa. To sprawy w niczym nie zmieni.

I począł okropnie zezować.

Awantura miała jednak poważne, tragiczne dlań następstwa. Ponieważ wszystko zaszło w obecności kilku świadków, nikt odtąd ze znajomych nie chciał mu podać dłoni. Brzechwa wściekał się, urządzał skandaliczne „kawały”, a wreszcie zmusił jednego z najtęższych przeciwników do rozprawy na rewolwery. Mimo że ja właśnie wywołałem zajście, prosił mnie Brzechwa na świadka. Odmówiłem, ofiarując z własnej inicjatywy swe usługi stronie przeciwnej, chociaż partner Brzechwy był mi skądinąd antypatyczny. Lecz zrobiłem to z umysłu, zadowolony, że choć pośrednio zetnę się z mym prześladowcą. Propozycję moją

przyjęto i pojedynek przy bardzo ostrych warunkach odbył się w podmiejskim lasku. Padł Brzechwa, ugodzony śmiertelnie w czoło.

Pamiętam jego ostatnie spojrzenie; było zwrócone na mnie: skośne, przesywające na wylot, paralizujące wolę. Zaraz potem wyzionął ducha. Odszedłem, nie śmiąc patrzeć dłużej w tę demonicznie wykrzywioną twarz. Lecz maska ta nigdy już nie usunie się z mej pamięci, wytrawiona tam, w głębi, niezatartymi rysami, i wiecznie przeorywać będzie mą duszę kosym rzutem ten okropny zez.

Śmierć Brzechwy, zwłaszcza scena agonii, wstrząsnęła mną tak silnie, że wkrótce potem zapadłem ciężko na zapalenie mózgu. Choroba przeciągnęła się na miesiące, a gdy dzięki nieustrudzonej pomocy lekarzy, wśród ustawicznej obawy przed recydywą, wreszcie wyzdrowiałem, zmieniłem się nie do poznania. Charakter mój wypaczył się najzupełniej i wszedł na obce sobie dotąd, nawet wrogie tory. Dawniejsze upodobania, szlachetna namiętność ku wszystkiemu, co piękne i głębokie, subtelna zdolność wyczuwania drgnień oryginalności znikły bezpowrotnie. Pozostała tylko – szczególnie zagadkowy – pamięć, że je niegdyś posiadałem, i cierpienie z powodu zaszłej zmiany.

Stałem się człowiekiem praktycznym, „zdrowym”, normalnym do obrzydliwości, wrogiem ekscentryków dowolnego rodzaju i – rzecz dla mnie najboleśniej – zacząłem szydzić z mych dawnych ideałów. Już to ironia, uśmiech złośliwy, uszczypliwość przeglądały odtąd w każdym mym ruchu, słowie, wiły się fałszywą linią przez wszystkie me czyny.

Najciekawszym jednak było, że mimo to zdawałem sobie najzupełniej sprawę z tych niespodzianych przekształceń, którym bezskutecznie usiłowałem przeciwstawić dobrą wolę. Stąd wszczęła się we mnie zajadła walka dwóch zasadniczych motywów, dwóch naczelných nastrojów, o których współlistności byłem najgłębiej przekonany. Lecz zawsze brał górę ten nowy, przybylczy, co się wczougał we mnie nie wiadomo jakim sposobem, i z wewnętrznym wstrętem słuchałem zawsze jego podszeptów.

Były to jakby teoria i praktyka. W teorii pozostałem tym samym, co dawniej, i z oburzeniem śledziłem postępkę tamtego drugiego, który jak złodziej wkradł się w najgłębsze me tajnie i wyrzucał nagromadzony w nich dobytek, zastępując go mierzwą.

I nie mógłbym tego nazwać znanym powszechnie rozdzieleniem osobowości, gdyż zachodziła tu sprawa całkiem inna, którą trudno było przewidzieć, wydedukować na podstawie pierwszej połowy mego życia. Czulem, że tu nie można mówić o jakimś rozdwarzaniu się – tu raczej zaszło zdwojenie, jakaś przekłeta przymieszka, tu wnącił się jakiś intruz. Nosilem go w sobie, ustawicznie kalecząc się tą ohydłą współbytnością, bezsilny, zrozpaczony świadomością zmiany, której usunąć nie mogłem. Każdy mój czyn wzbudzał we

mnie wewnętrzną opozycję, przedstawiał mi się jako narzucony z zewnątrz obcą wolą, każde me słowo było kłamstwem niepopartym przez przekonanie, pozbawionym siły uczuciowej, jakąś pasożytną naroślą. Co gorsza, intruz wkraczał w zakres mych myśli, przekonań, starając się przerobić mnie na swój rytm do przyciesi.

Ilekczo chciałem postąpić w sposób zgodny z najgłębszą mą jaźnią i przybrać dawną postawę do świata i ludzi, coś mocnego jak rozkaz zawracało mnie na nową, nieznośną drogę, jakiś chichot wewnętrzny rozsadzał mi piersi, a w oddali błyskał skośną rysą piekielny zez...

Znienawidziłem siebie fizycznie i moralnie, nie mogłem znieść własnej osoby, bo wydała się wstrętną, karykaturalną.

By sprowadzić wybryki mego nowego „ja” do możliwego minimum, zamykałem się całymi dniami w domu i stroniłem od ludzi, w których oczach widziałem zdumienie i odrazę.

Tutaj, w mym cichym domu, w ustronnej dzielnicy miasta, przeżywałem długie godziny duchowej męczarni, pasując się z ukrytym mym wrogiem. Tutaj, w czterech głuchych ścianach, przemyślałem długie chwile wewnętrznej katuszy.

W miarę borykania się z obcym natrętem doszedłem do pewnej wprawy w wyłączaniu go przynajmniej na jakiś czas poza obręb konstrukcji myślowych. Osamotnienie bezwzględne, swoboda od gwaru ludzi pozwalały mi choć na parę chwil ześrodkować mą właściwą, dawną jaźń i wyzwolić ją spod brutalnej pięści intruza.

Były to wysiłki prawdziwie olbrzymie; miałem wrażenie człowieka, który tytanicznym napięciem mięśni rozdziela dwa nieprzepracowane ku sobie ciężące półkłęgi kuli i tak przez jakiś moment trwa, trzymając je w odosobnieniu.

Wtedy korzystając z chwili rzucałem się do pisania i wypełniałem całe rękopisy myślami, które mżały we mnie od dawna, lecz nie mogły uzewnętrznić się, zduszone gwałtem przez tamtego. Pisałem jak szalony, z zapartym tchem, wodząc ręką po papierze, by wypowiedzieć, co myślę i czuję, by zaznaczyć przed idealną widownią świata, że jestem innym, niż się za godzinę, za minutę wydam.

Lecz wściekły wysiłek nie trwał długo. Wystarczył krzyk życia z ulicy, wejście służi do pokoju lub twarz przechodnia, a napięte nerwy rwały się jak postronki, wyprężone mięśnie pękały z głuchym trzaskiem i uparte półkule zwierzały się w całość krągłą, jednolitą, zamkniętą, bez wyjścia. Na ustach wykwił śmiech, ohydny, cyniczny śmiech i łkając z bólu, rwałem w kawały rękopisy, deptałem zapisane kartki, niszczyłem całe arkusze...

I znów wracałem w świat pomiędzy ludzi haniebnie zmienionym szydercą bez czci i wiary, człowiekiem niskich pragnień. I od nowa trzeba było długich wysiłków myśli,

odsuwania się od środowiska ludzkiego, bezwzględnej samotności, by choć na chwilę parę izolować się od nalatów znieawidzonej istoty i wykluczyć ją poza nawias mej duszy.

Lecz w miarę ponawiania owych doświadczeń dochodziłem do coraz bardziej pocieszających wyników. Coraz dłużej udawało mi się utrzymywać siebie w rozłączeniu z obcym przybyszem, coraz wyraźniej w przeciągu tych krótkich chwil czułem swą odrębność i oczyszczałem się z pasożytniczych napływów.

Potem wracało wprawdzie wszystko do dawnego stanu, lecz pamięć osiągniętych na jakiś czas wyzwolin zachęcała do nowych prób. W końcu byłem dawnym sobą już przez parę godzin, które wyzyskiwałem możliwie najpożytecznie, spiesząc się, zanim mój wróg powróci.

Ciągła uwaga i pilnowanie się na każdym kroku, konieczne przy tej psychicznej elektrolizie zdwojonego „ja”, nużyły mnie tylko niepomierne, pozostawiając po sobie ślady w formie zdenerwowania i gwałtownych bólów głowy.

Mimo to zdobywszy słabą nadzieję odzyskania siebie, nie szczędziłem trudu i marzyłem już o tym, by móc bezkarnie we własnej osobie zjawić się w towarzystwie ludzi...

Pewnego razu po dłuższym pobycie na świecie zamknąłem się znów we wiadomym celu i podjąłem żmudne dzieło wyosobniania się.

Ponieważ skutek wprawy tym razem szło łatwiej i niebawem znalazłem się w swoistej atmosferze własnego indywidualium, zacząłem zwracać uwagę na bezpośrednie, fizyczne otoczenie, by przez tę pierwszą próbę przyzwycząić się do utrzymywania na wodzy swej osobowości i wobec stokroć silniejszej dystrakcji zewnętrznej, jaką stanowili dla mnie ludzie.

Gdy tak z wolna odbiegałem uwagą od siebie i w półroztargnieniu błądziłem oczyma po pokoju, nagle zdało mi się, że za ścianą po lewej stronie słyszę jakiś szmer. Zainteresowany zacząłem nadśluchiwać, lecz to skierowało mnie zbyt silnie na zewnątrz, powodując fatalne zlanie się dopiero co wyodrębnionych elementów, i znów przestałem być sobą.

Zrozpaczony kląłem podejrzany szmer, który zresztą mógł być tylko złudzeniem mych rozigranych przez napięcie nerwowe zmysłów. Tak tedy pierwsza próba odzyskania siebie wobec zmienionych warunków spełzła na niczym.

Przecież nie straciłem otuchy i w parę dni potem podjąłem eksperyment.

Dopóki byłem zajęty sobą, nie słyszałem nic podejrzanego za ścianą – gdy tylko jednak zacząłem poświęcać więcej uwagi środowisku, doszedł mnie znów od lewej strony ten sam zagadkowy szmer.

Chociaż wiedziałem doskonale, że przez to utracę siebie, wracając do obmierzłej podwójności – mimo to wychyliłem się natychmiast przez okno i spojrzałem w lewo w nadziei, że wykryję przyczynę szczególnego odgłosu.

Dom, w którym mieszkałem, był parterowy i składał się z trzech partii. Zajmowałem samo skrzydło, tak że poza mną z lewej strony nie było już żadnych pokoi, a ściana wychodziła na mały ogródek otoczony parkanem. W tej chwili nie było w nim nikogo, jak zresztą zwykle; w ogóle na moją stronę nikt nigdy nie zachodził, szanując cudza granice i dyskretnie unikając linii mych okien.

Zaniepokojony cofnąłem głowę do wnętrza.

Przyszło mi na myśl, czy przypadkiem zagadkowe szemranie nie towarzyszyło już dawniej procesowi oczyszczania jaźni; prawdopodobnie jednak, zajęty intensywną pracą wewnętrzną i z rzutowywaniem jej na papier, nie zauważyłem przez czas jakiś tego, co się wkoło mnie działo. Dopiero odsunięcie się na pewien dystans od świeżo skryształizowanej osobowości i zwrot ku otoczeniu pozwoliły na percepcję tajemniczych dźwięków. Niezupełnie przekonany o przyczynowej zależności tego fenomenu od usiłowań duchowej emancypacji, wreszcie musiałem przystać na to, że jakiś związek zachodzi, bo szmer odzywał się tylko wtedy, ilekroć zdołałem zrzucić z siebie nienawistne pęta.

Niejednokrotnie będąc w zwykłym zdwojonym stanie nadśluchiwałem, czy z tamtej strony głos mnie jaki nie dojdzie – lecz bezskutecznie: ściana nie przepuszczała wtedy najlżejszego drgnienia.

Czasami myślałem, że ulegam złudzeniu akustycznemu i że szmer w istocie rzeczy dochodzi od ściany prawej, poza którą mieszkał zresztą jakiś cichy i wiecznie milczący kawaler. Lecz i ten domysł upadł po sumiennym zestawieniu dźwięków...

Więc szemrało coś tylko za ścianą po lewej, za ścianą, która zamykała dom i sąsiadowała z pustką. To przecież dziwne!

Po pewnym czasie, gdy odgłosy nie ustawały, począłem dokładniej badać ścianę z lewej strony.

Niebawem doszedłem do przekonania, że musi być wewnątrz wydrążona i pod wpływem moich uderzeń dudniła głucho.

Przypuszczenie to wzmocnił szczegół zaobserwowany w dalszym ciągu na zewnątrz domu. Przypatrzwszy się baczniej lewemu skrzydłu, zauważyłem po raz pierwszy, ku niemałemu zdziwieniu, że odległość węgła ujmującego ściany graniczne od ostatniego okna wynosi aż cztery metry; ponieważ ściana mego pokoju wysunięta na lewo i zamykająca rzekomo dom oddaloną była od wspomnianego okna co najwyżej na metr, więc ewentualna

grubość jej musiałaby dochodzić aż do trzech metrów, rozmiarów jak na zwykły mieszkalny dom trochę nienaturalnych. Poza mną tedy był jeszcze jakiś pokój ślepy, zamurowany, bez drzwi i okien, bez wejścia. I stamtąd szedł ów szczególny szmer. To było oczywiste.

Zdumiony odkryciem, przez dłuższy czas niemal nie opuszczałem mieszkania, poświęcając całe godziny samoześrodkowywaniu się. Teraz jednak przychodziło mi to z większą trudnością, bo zbyt prędko odrywałem się od własnej osoby, wychytując głosy pustki. Zrozumiawszy, że tą drogą nie dopnę celu, całą mocą skupiłem myśl na sobie i dopiero czując silne napięcie odzyskanej osobowości, nadśluchiwałem szmerów, które płynęły ze ślepego pokoju.

Po czasie zauważyłem, że istnieją w nich pewne, wcale wyraźne odcienie, jakby stopniowania. Gdy głębiej zabrnąłem w procesie mych duchowych wyzwolin, ilekroć czułem się bardziej sobą, w wyższej mierze oczyszczonym z obcych nalotów – szmer odzywał się wyraźniej; coś niespokojnego tukało się wśród zamkniętej przestrzeni, wałęsało po kątach, tułało wzdłuż ściany jakby we wścieklej bezsilności.

Gdy bardziej tkwiłem w stanie nieszczęśliwego zdwojenia, silniej skrępowany współbytnością pierwiastka obcego – głos zza ściany ścichał, zamierał jakby ukojony.

Było w tym coś zagadkowego, coś, co podniecało ciekawość do najwyższego stopnia, a zarazem budziło zimny, ścinający zęby strach.

Miało się uczucie, że podczas gdy ja tutaj pasuję się z nienawistnym wrogiem, usiłując go wyrugować z mej nieszczęsnej jaźni, tam za ścianą rodzi się jakiś byt, coś się stwarza, powstaje... Wreszcie postanowiłem wywalić ścianę i wtargnąć do ślepej przestrzeni.

Lecz należało postępować systematycznie i powoli, by nie spłoszyć dziwnej istoty. Ilekroć bowiem przez dłuższą chwilę przysłuchiwałem się szczególnie jej ruchom, wszystko milkło, a ja – rzecz dla mnie niepojęta – wybuchalem piekielnym śmiechem i wracałem do podwójności.

– To jakaś szczwana bestia – mruczałem, uspokoiwszy się po tych niespodzianych dla mnie samego wybuchach.

– Lecz znajdziemy i na to środek, znajdziemy, i to niezawodny. Trzeba zaskoczyć cię znienacka.

Wkrótce przystąpiłem do wykonania planu. Zakreśliwszy kredą na ścianie czworokąt o wymiarach odpowiadających mniej więcej mej osobie, odłupałem w granicach zaznaczonych tynk, po czym ostrożnie ściosalem ostrym narzędziem wewnętrzną część muru, tak że została tylko płytka warstwa, która według mych obliczeń musiała ustąpić pod jednorazowym uderzeniem.



Po ukończeniu przygotowań w ciągu dnia postanowiłem jeszcze tegoż wieczora wdrzeć się do pustego pokoju i przychwycić owo coś, niepokojące mnie od wielu tygodni.

Na dworze było dżdżysto, jesienna, zmokła szaruga. Wczesny zmrok snuł po wąskich, podmiejskich uliczkach szare sznury zsiadłej mgły i wsiąkał w łzawe przetaki drzew. Od rzadko porozrzucanych latarń szły żółte, gromniczne smugi i marły w napęczniałej wodą przestrzeni. Jakieś wozy mokre, oślizgłe wlokły się drogą, kłańcając łańcuchem...

Zapaliłem storę i zapaliłem lampę.

Było mi dziwnie i nieswojo. Opuściłem znużoną głowę na ręce i pograżyłem się w pracy wyzwolin. Jak zwykle przypomiąłem sobie swój dawny charakter, swe postąpienia, zamiłowania, wnrzałem się w wychwytywanie swych przeżyć przed chorobą, wmyślałem się w typowe dla siebie sytuacje, na których tle osobowość moja ujawniła się najdobitniej. I tak szedłem dalej i dalej, zapuszczałem się coraz głębiej, docierając do najpierwotniejszych pokładów swej jaźni...

74

Byłem szczęśliwy, byłem tym dawnym sobą, pełnym wiary i ufności w przyszłość, z piersią tchnącą miłością dobra i piękna, zachwytem dla życia i jego tajnych cudów. Byłem u szczytu wyzwolin, bez odrobiny obcej przymieszki, najczystsza jaźnią...

Nagle – obejrzałem się wkoło, obejmując krótkim rzutem oka pokój. W tejże chwili od lewej strony przeniknął w moją samotnię hałas: coś rzucało się za ścianą jakby od posadzki po powałę, drapało w rozpacz po murach, tarzało w konwulsjach bóleści bez wyjścia...

Słuchałem z zapartym tchem, ściskając w ręce żelazny drąg.

Po kilku minutach szmery uspokoiły się i przeszły z kolei w niespokojne, nerwowe kroki. Ktoś najwyraźniej w świetle chodził tam za przepierzeniem z kąta w kąt...

Podniosłem oskard i z całej siły uderzyłem nim w wyszczerbiony czworobok...

Posypało się rumowie, odsłaniając czarne, wąskie wejście.

Wpadłem do wnętrza i w tymże momencie zaległa grobowa cisza.

Uderzyła mnie duszna woń zgnilizny zamkniętej przestrzeni.

Zrazu nie widziałem nic, rażony ślepotą ciemności. Lecz za mną wkradł się do pustki długi pas świetlny mej lampy i liznąwszy klinem podłogę, przypelzał do kąta...

Spojrzałem tam i zdjęty dreszczem przestrachu bez granic wypuściłem z rąk oskard.

Tam, w rogu pustego pokoju, wciśnięta między dwie ściany przykucnęła jakaś ludzka postać i wlepiła we mnie kose, zielonkawe spojrzenie. Pociągnięty magnetyczną siłą wzroku, podszedłem... Postać wyprostowała się, urosła... krzyknąłem; był Brzechwa...

Stał niemy, bez słowa, poruszając lekko wąsem. Nagle pochylił się w moją stronę, oparł się mi na piersi i... wszedł, rozplynał się we mnie bez śladu...

Odurzony, jak automat porwałem lampę ze stołu i wpadłem z powrotem przez wyłom. Na próżno. Pokój był pusty. Pod sufitem wahały się pajęczyny, ze ścian ściekały zimne łyzy wilgoci...

Nagle zabrzmiał głos ochryply, świszczący, chropawy...

– Co to?! Co to?!

Wtem zorientowałem się: był to mój śmiech



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS  
DESIGN



DARK ART  
AND DESIGN

GOODBYE

# PARTNERZY





Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

